

W NUMERZE: ■ XI Światowy Festiwal Młodzieży w Hawanie ■ Żołnierskie wspomnienie przed forsowaniem Bugu ■ Rozmowa z prof. dr Władysławem Welfe o ekonomice ■ Wisła – królowa polskich rzek ■ Zabytki w Łodzi i Krakowie ■ Komunikacja w mieście ■ Bełchatowski węgiel ■ Historia sportu w Łodzi ■ Magazyn Kulturalny ■ Recenzje

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź



NR 30 (1076) ROK XXI

23 LIPCA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



22 LIPCA 1978 ROKU

Foto: Archiwum

KRZYSZTOF POGORZELEC

INTRONIZACJA KRÓLOWEJ

PYTANIA: Czym będzie Wisła w przyszłości? Żywą rzeką, ściekiem czy legendą? Czy będzie umożliwiała zaspokojenie potrzeb ludności, przemysłu, rolnictwa, kształtowała krajobraz i umożliwiała wypoczynek?

OBAWA: A może stanie się jedną z tych bezsilnych, nękanych i brudnych rzek?

PEWNOŚĆ: Wisła powinna się stać rzeką o wodach czystych i zagospodarowanych, bowiem wody jej są potrzebne w rozwoju naszego kraju i niczym ich zastąpić nie możemy!

DECYZJA: Zabudowa i wykorzystanie gospodarcze osi Wisły muszą być traktowane jako kluczowa lecz integralna część składowa ogólnego problemu gospodarki wodnej, obejmującego również odpowiednie prace w dorzeczu Odry i Warty. Mamy więc przed sobą wielkie zadanie wymagające znacznych środków materialnych i mobilizacji społecznej, dobrego przygotowania naukowego, technicznego i organizacyjnego. Jest to zadanie na miarę pokolenia..

Te pytania zaczerpnięte z książki prof. Aleksandra Tuszkó pt. „Wisła przyszłości”, publikacji która spotkała się z ogromnym zainteresowaniem nie tylko w kregach specjalistów. Natomiast odpowiedzia jest fragment referatu Biura Politycznego KC PZPR wygłoszonego na XII Plenum Komitetu Centralnego partii przez Edwarda Gierka.

Rzeka symbol

Mówi się — najwspanialsza polska rzeka. Królowa!
Wisła. Wprowadziła w całym swoim biegu tylko przez jedno państwo biegnie, jeden kraj ożywia, ale jak wspaniale: samym środkiem, szeroko rozwidlona, swoimi dopływami na

prawo i lewo, obejmuje dorzeczem jak gałęziami potężnego dębu blisko 200 tysięcy km kw., obsługuje większość całego naszego kraju. Ryśunek jej rzutu przyjęli za symbol swojej wiary z Macierzą wszyscy rozproszeni po świecie Polacy. Rzeka piękna, owiana legendą.

„Samowładnie wężowały klerunek brzegów i swawola samicy głównego nurtu, mnóstwo martwych odnóg, płytkich, stojących jeziorzysk, poprzegradzanych łachami, wciąż na nowo tworzące się drogi wodne i strumienie, niezmierną nierówności dna, gdzie obok mielizn czyhają studnie i jamy bezdenne, wywiercone przez wiry...”

Tak tę najbardziej polską z polskich rzek widział Stefan Żeromski i jest to wizerunek rzeki tyle samo romantyczny co prawdziwy. Tak zresztą widziła nasza swoją Wisłę każdy współczesny Polak, a podkreślając jej urokliwie piękno nie tknięte często ręką człowieka, techniki, chce nieco wstydliwie zakryć drugą stronę owego „kompleksu Wisły”, choć oczywiście dobrze go zna, wie, że praktycznie rzecz biorąc jest to obecnie jedyną w tej części Europy wielką rzeką, która prócz urody niewiele daje człowiekowi, nie służy

pełni jego gospodarce, choć od dawna, bardzo dawna była obiektem zainteresowania, ba, — nawet pewnych praktycznych poczyniń, by zaczęła pracować dla człowieka, by służyła mu, a nie swoją upartą i przeogromną siłą niosła zniszczenie, by ta jedna z największych potencjalnie wodnych arterii komunikacyjnych przestała być przysłowiowym korciem środkowej Europy.

Rzeka — problem.
Rzeka — historia.

Melchior Wańkowicz w „Sztafecie”, książce, która w zamierzeniu miała być apologią przedsięwzięcia gospodarczych i technicznych podejmowanych w Polsce międzywojennego dwudziestolecia napisał:

„Z dawien dawna waleczono z rzeką i parano się z komunikacją po niej. Wały pierwotne wzdłuż Wisły wznosił Kazimierz Wielki. Ale gdyby ów hrabia za swoich czasów przejechał się aeroplanem nad Wisłą i teraz ten lot powtórzył zobaczyłby, że nie się nie zmieniło w ciągu siedmiu stuleci. Nie tak nie nauczy problemu Wisły, jak przelot nad nią w słoneczny dzień. Wówczas widać, że „królowa rzek polskich” to kałuża płytko po gruncie rozlana, gęsto wy-

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WISŁA

(fragmenty)

Płynie Wisielka, rzewna i wąska.
Coś tu się będzie działo!
Zbiornik dla Śląska, woda dla Śląska,
na Śląsku wody za mało!

Tama ogromna! Ziemia i beton.
Jezioro będzie w tej wiosce.
Ach! jakże warto być dziś poetą
w Polsce!

A jam nie Smętek, jam nie Żeromski,
nie Fantazy, nie Zadumaniec,
ja jestem kamień, który do Polski
z szanica rzucono na szaniec.

I jestem w Polsce, i ramię w ramię
idę z moim narodem.
Ja z murarzami, z inżynierami —
przodem!

Czemuż to — przodem? Bo ten kto pierwszy,
jak drogocenne narzędzie,
niósł słowo walki — ten piorun z wierszy —
jest, córko, w Polsce i będzie.

Dalszy ciąg na str. 5

OJRZEŃ 1944

W wyniku porozumienia między Komitetem Okręgowym Polskiej Partii Robotniczej, Zarządem Wojewódzkim Stronnictwa Ludowego „Wola Ludu” i innymi siłami lewicowej demokratycznej postanowiono powołać w lipcu 1944 r. konspiracyjną Łódzką Wojewódzką Radę Narodową. Początkowo planowano jej pierwsze posiedzenie zwołać w centrum miasta Radomska w dniu 15 lipca (rocznica bitwy grunwaldzkiej). Ponieważ nie było tam jednak możliwości należytego zabezpieczenia posiedzenia, w którym miała uczestniczyć dość znaczna liczba osób, postanowiono odbyć je 30 lipca (nie-dziela) w malej gajówce Stefana Dłubka w podradomszczańskiej miejscowości Ojrzeń. Do zabezpieczenia obrad wyznaczono batalion Armii Ludowej im. gen. Józefa Bema.

W określonym dniu, około godziny 9, do ojrzeńskiej gajówki zaczęli przybywać delegaci, których na miejsce doprowadzili systemem sztafetowym łącznicy AL. Pośród 27

delegatów znajdowali się przedstawiciele PPR, SL, ZWM, AL, BCH i bezpartyjni. Reprezentowali oni robotników, chłopów i inteligencję z terenu woj. łódzkiego i częstochowskiego. O godzinie dziesiątej rozpoczęły się obrady, którym przewodniczył Aleksander Burski (pseudonim „Julian”) — sekretarz KO PPR. Jak podają w swych relacjach niektórzy uczestnicy posiedzenia, jego atmosfera była podniosła i pełna nadziei na lepsze jutro, do czego przyczyniły się wieści o utworzeniu w oswoobodzonym Chełmie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i o osłabieniu przez Armię Radziecką linii Wisły.

Podczas posiedzenia rady przemawiało 14 delegatów, a w tym: w imieniu Krajowej Rady Narodowej, jej członek, prezes Zarządu Wojewódzkiego SL „Wola Ludu” — Jan Kociol (ps. „Dąb”) i z ramienia Sztabu Okręgu AL, dowódca okręgu Bolesław Boruta (ps. „Hanicz”), który zadeklarował podporządkowanie wszystkich jed-

nostek AL dyrektywom LWRN. Wybrano 5-osobowe Prezydium Rady. Przewodniczącym został Jan Kociol („Dąb”), zastępcą przewodniczącego — Aleksander Burski („Julian”), sekretarzem — Henryk Domagalski („Socha”), członkami — Jan Lorek („Sek”) i Bolesław Boruta („Hanicz”).

W końcowej fazie posiedzenia zebrani przedyskutowali i uchwalili program działalności rady na najbliższy okres. Przewidywał on organizowanie dalszych powiatowych i gminnych rad narodowych, popularyzowanie wśród społeczeństwa programu KRN i Manifestu PKWN, sprawowanie zwierzchnictwa nad AL na terenie objętym działalnością LWRN. Postanowiono zwrócić się do PKWN z wezwaniem o zapewnienie pomocy dla oddziałów AL, w postaci zrzutów broni, materiałów wybuchowych i wykwalifikowanych instruktorów wojskowych. Powołano też komitet redakcyjny „Informatora LWRN” i zobowiązano Prezydium Rady do czuwania nad regularnym wydawaniem tego podziemnego organu prasowego.

Po posiedzeniu rady nastąpiło przed gajówką, na obszernej polanie, uroczyste wręczenie sztandaru batalionowi AL im. gen. Józefa Bema. Przekazania sztandaru, wykonane-

go przez grupę członków AL z Częstochowy, dokonał nowo wybrany przewodniczący LWRN — Jan Dąb-Kociol na ręce Bolesława Boruty-Hanicza. Gdy po uroczystości wręczenia sztandaru partyzanci gościli delegatów żołnierskim, połowym obładem, rozległy się nagłe wystrzały. Okazało się, że do pobliskiej wsi Wygoda wtargnął duży oddział SS z brygady RONA, której główne siły przeciągały wówczas na południowy zachód szosą prowadzącą do Gidel i Częstochowy. Hitlerowcy zaczęli plądrować wieś i mordować jej mieszkańców. Na pomoc napadniętym chłopom z Wygody pospieszył pluton AL z oddziału ochraniającego posiedzenie, dowodzony przez zastępcę dowódcy batalionu Jakuba Salnikowa („Jasz”) — lejtnanta Armii Radzieckiej, który zbiegł z niemieckiej i wstąpił w marcu 1943 r. do Gwardii Ludowej.

Zaatakowani faszysty wycofali się, alarmując główne siły. Przybycie z pomocą grupy AL, dowodzonej przez podporucznika Czesława Kowalczyka („Bogdana”), umożliwiło odparcie hitlerowców i przedostanie się uczestników posiedzenia LWRN z gajówki w Ojrzeniu w bezpieczne miejsce. Podczas rozgrywających się w Wygodzie wydarzeń spłonęła wieś, zginęło 14 jej mieszkańców

i kilku okolicznych chłopów. W walce poległ Jakub Salnikow i plutonowy Mikołaj Akulaszewicz — młodszy technik wojskowy Armii Radzieckiej, a dwóch partyzantów raniono. Partyzanci zabili 16 faszystów i zdobyli 5 karabinów.

Posiedzenie LWRN stanowiło uwiecznienie wytrwałych poczynań PPR, zmierzających do konsolidacji sił demokratycznych i patriotycznych, w celu walki z okupantem hitlerowskim i odbudowy Polski na nowych zasadach. LWRN kierowała siecią rad narodowych i przygotowała je do objęcia władzy po wyzwoleniu. W istniejących w 1939 roku 13 powiatach województwa łódzkiego w 1944 roku powołało 8 powiatowych rad narodowych, spośród 36 miast 4 zorganizowały miejskie rady narodowe, a na 199 gmin w 36 utworzono gminne rady narodowe.

LWRN wydawała w trudnych warunkach okupacji własne pismo „Informator”, które na lamach 22 numerów, jakie ukazały się od sierpnia do grudnia 1944 r., popularyzowało idee rad narodowych, informowało o pracach rady oraz mobilizowało społeczeństwo województwa łódzkiego do walki z okupantem. Znaczenie tego pisma było tym ważniejsze, że konspiracyjna prasa warszawska przestała już wte-

dy docierać na teren województwa łódzkiego, a prasa wolnej części Polski przybywała z Lublina drogą lotniczą nieregularnie.

Po wyzwoleniu członkowie LWRN współpracowali przy organizowaniu Urzędu Wojewódzkiego, do którego już od stycznia 1945 r. zaczęli przysyłać się pierwsi pracownicy. Organizowali także władze w terenie. Pierwsze w wolnej Polsce plenarne posiedzenie LWRN odbyło się 25 lutego 1945 r. Dokonano na nim wyboru wojewody (został nim Jan Dąb-Kociol) zaakceptowano też działalność rady konspiracyjnej i wybranych przez nią członków do KRN.

Obecnie w miejscu, gdzie 30 lipca 1944 r. odbyło się pierwsze posiedzenie konspiracyjnej LWRN wznosi się pamiątkowy obelisk, wystawiony tu w 1959 roku. Przypomina on odwiedzającym Ojrzeń turystom o tym ważnym etapie kształtowania się władzy ludowej w Polsce środkowej. Miejscowość ta leży na turystycznym szlaku partyzanckim.

HENRYK SZUBERT

CZAR WALCA

Wiedeński srebrny walc za-brzmiał na zakończenie sezonu w Teatrze Muzycznym, który rozstrajując się nami na okres lata (oby tylko bardziej słonecznego) przedstawił na swojej scenie „CZAR WALCA” Oscara Straussa.

Oscar Strauss nie był spokrewniony ze słynną wiedeńską rodziną kompozytorów, za której protoplastę uważamy dziś Johanna Straussa. Aliści (jak mawia nasz mistrz i wzór niedościgniony) takie nazwisko — nawet jeśli tylko z jednym „s” na końcu — zobowiązuje. Poczuł więc twórca „Czaru walca” to samo brzemie odpowiedzialności, które największemu Straussowi (Johannowi — synowi) kazalo stworzyć tak niesłychaną ilość drobnych i większych dzieł. W tych niezwykłych czasach — gdy królował walc — wiedeńscy nie pozwoliliby zresztą swemu ulubieńcowi komponować ani mniej, ani inaczej. Jak powiada Joseph Wachsberg w swej wydanej u nas obecnie książce pt. „Królowie walca” Johann Strauss (syn) „rozpieścił wiedeńców”. Domagali się jego szalonych walców, urzekających rytmów tanecznych i nawet słuchając operetek stale wychylenia następnego wielkiego walca, a piękna muzyka między tymi walcami przepływała w większości mimo ich uszu.”

Takim wymaganiom nielato było sprostać. Nic więc dziwnego, że po Straussach ranga wiedeńskiej operetki obniżała się z premii — na premierę. Raz tylko zajaśniała jeszcze równie silnym blaskiem w twórczości Lehara, by potem zniknąć całkowicie w mrokach seryjnej zgoda produkcji. Tego obniżania lotów najbliższe z muz nie udało się już zatrzymać. Przykład Oscara Straussa stanowił może tylko chwalebny wyjątek. Dzięki niemu utwierdzamy się w przekonaniu o urokach wiedeńskiego walca, o tym jak pełen jest prawdziwego czaru.

„Czar walca” Oscara Straussa to przede wszystkim piękne melodie, z dramaturgią bowiem, dbając głównie o muzykę, kompozytorzy wiedeńscy radzili sobie już nieco gorzej. Łódzka inscenizacja tej operetki odpowiada niejako wprost propor-

cjonalnie tak właśnie rozłożonym wartościom. W przygotowanym muzycznie przez Beatę Ambros, a wyreżyserowanym przez Aleksandra Długosza przedstawieniu muzyka Straussa jest jego najciekawszym i najcenniejszym elementem, nie znaczy to oczywiście, że inne jego składniki pozabawione są teatralnej wartości, niemniej z recenzentkiego obowiązku odnotować muszą te drobne mankamenty spektaklu, które przysiały nieco ów blask, jakim widowisko to winno lśnić zgodnie z najlepszą i widoczną wolą swoich twórców.

Sprawną, co widać po precyzyjnym rysunku sytuacji scenicznych, reżyseria winna, jak sądzę, w większym jeszcze stopniu zmierzać do przyspieszenia rytmu całego przedstawienia i bardziej proporcjonalnego rozłożenia jego fabularnych akcentów. Bo chociaż pozytywny dla spektaklu rezultat przyniosły dokonane przez Aleksandra Długosza skróty libretta, to i tak zawijazanie scenicznej intrygi trwa dosyć długo, a jej pozytywnemu (jak zwykle w operetkach) rozwiązaniu brakują wcześniejszego przygotowania prowadzonego tak, by nie wydał nam się ów finał zakończeniem, które w teatralnym języku zwykło się określać mianem „deus ex machina”.

Niejakie postępy poczynili w sferze działań aktorskich niektórzy (szkoda, że tylko niektórzy) soliści Teatru Muzycznego. Coraz bardziej podobać się może Elżbieta Ptań-Araskiewicz, ślicznie i przeczysto śpiewająca partię Księżniczki Heleny. Prawdziwy talent dostrzegam w osobie Teresy Mulawy (Franzi). Jej bardzo ładnie brzmiący, choć nie największy głos, ma miłą barwę, a młoda artystka operuje nim z dużą swobodą pozwalającą (przy świetnych warunkach zewnętrznych i zdumiewająco dużym obyciu scenicznym) wróżyć jej znakomitą przyszłość w teatrze muzycznym. Wiele natomiast ma jeszcze do zrobienia Jerzy Czaplński (Niki), a wytrwałości w pracy nad pełnym opanowaniem techniki wokalnej życzyć mu tym serdeczniej, by w przyszłości uniknąć mógł takich choćby niedoma-

gań jak śpiewanie jednej frazy w kilku tonacjach. Młode-mu człowiekowi o ciepłej barwie głosu i dobrych warunkach scenicznych efekt dalszej pracy przyda się także i na to, by dla dobra przedstawienia i własnej kreacji móc ograniczyć nieco nieustanny, bo wynikający z niepewności kontakt z reżyserem na rzecz większego kontaktu z partnerem scenicznym.

Na sprawę kontaktu z partnerami pragnęłabym zresztą zwrócić uwagę wszystkich wykonawców tego przedstawienia. Nader pozytywnie zaznaczył swój udział w spektaklu Adam Koziołek. Zdecydowanie nie podobala się natomiast Krystyna Przybylska-Potomska. Szale oceny — przeważa tu zwłaszcza strona wokalna jej propozycji scenicznej. Bardzo przyjemnym zaskoczeniem był występ pełnej wdzięku Anny Gębickiej w charakterystycznej, niewielkiej, ale dopracowanej, niewielkiej, ale dopracowanej w każdym szczególe roli Fifi. Duże brawa (zwłaszcza za duet z Franzi) zebrał Jerzy Nejmian (Lotar). W roli Joachima wystąpił Janusz Duński, a w roli Generała oglądaliśmy Jana Padkowskiego. Mniej korzystnie niż w ostatnich spektaklach (np. w „Gasparone”) wypadł chór przygotowany przez Romana Panitę. Swą stwierdzoną już sprawność potwierdził natomiast balet w układach choreograficznych będących dziełem Zygmunta Kamińskiego.

Nabyt „operetkowa” dekoracja i aż chyba przesadzone nieco w swym teatralnym bogactwie kostiumy (scenografia: Jerzy Groszang i Marla Horbaczewska) o tyle sprawdziły się w swym zamierzonym (w co wierzę) przyszywanym, iż z jednej strony podniosły efekt bajkowej niemal rzeczywistości scenicznej, owego przedstawionego nam na scenie księżęcego dworu, z drugiej zaś podkreśliły całą umowność gatunku, jego niezmienną i przeciwstawiającą się wszelkim nowym prądom konwencje inscenizacyjną. Wszyscy przecież lubimy klasyczną operetkę. Oglądamy ją więc taką, jaką była w dniu swoich narodzin, błyszcząca i migotliwa, wystawiona na tle malowanych horyzontów, na których w zachwianych nieco proporcjach jawiły się alejki Grinzingu, z teatralnych ogródków płynęła „szalona” muzyka, a w walcu Johanna Straussa pobrzmiwały echa opowieści Lasku Wiedeńskiego... Ale może warto, byśmy powoli, nie rezygnując z tej dobrej muzyki, zaczęli sobie i innych przyzwyczajając do takich inscenizacji operetek wiedeńskich, by w większym nieco stopniu odpowiadały one swym kształtem wymaganiom współczesnej estetyki...

EWA PANKIEWICZ

DOROBEK NAUCZYCIELI — TWÓRCÓW

W przygotowaniach do reformy kształcenia zawodowego dużo uwagi poświęca się właściwemu doborowi i efektywnemu wykorzystaniu środków dydaktycznych. W nowoczesnej szkole, a w szkole zawodowej przede wszystkim, są one niezbędną pomocą zarówno dla uczniów, jak i dla nauczycieli. Ułatwiają opanowanie dużych ilości materiału informacyjnego oraz obserwację i rozumienie skomplikowanych zjawisk i procesów. Pobudzają też ucznia do aktywnego uczestniczenia w procesie nauczania. Nauczycielom dają możliwość pełniejszego i bardziej efektywnego wykorzystania czasu zajęć lekcyjnych, poprzez lepszą ich organizację. Bez przesady można stwierdzić, że dobre wyposażenie szkół w środki dydaktyczne oraz umiejętność właściwego ich stosowania — to podstawowe warunki powodzenia nowej koncepcji nauczania w szkołach zawodowych.

Dlatego z dużym uznaniem witamy oryginalne przedsięwzięcie Kuratorium Oświaty i Wychowania m. Łodzi. Jest nim ekspozycja pomocy i materiałów dydaktycznych oraz wyrobów produkowanych w warsztatach szkół zawodowych woj. łódzkiego. Zorganizował ją, w pomieszczeniach Zespołu Szkół Budowlanych nr 2 w Łodzi, przy ul. Kopcińskiego 3/11, Zespół Wzrostowy Metodyków Przedmiotów Zawodowych KOiW. Koordynator tego zespołu, starszy wizytator mgr inż. Janusz Moos podkreśla, że nie jest to okazjonalna wystawa osiągnięć szkół zawodowych, lecz stała ekspozycja, która ma spełniać wiele ważnych funkcji praktycznych. Jedną z najistotniejszych jest pobudzenie nauczycieli do twórczej aktywności poprzez ukazanie dorobku ich kolegów z innych szkół. Autorytet prezentowanych środków dydaktycznych, choć zazwyczaj nie zgłaszają swych pomysłów do opatentowania, a uzyskanych efektów nie przeliczają na złotówki, są jednak autentycznymi wynalazcami i racjonalizatorami. Praca nauczyciela obmyślającego wykonanie np. tablicy świetlnej do nauczania funkcji logicznych lub modelu ukazującego zakryte zwykle wnętrza pracującej maszyny, niczym właściwie nie różni się od pracy konstruktora w biurze projektów.

Ekspozycja przekonuje, że nauczyciele — wynalazcy jest w łódzkich szkołach zawodowych wielu. Jeśli po obejrzeniu ekspozycji dołączą do nich nowi, jeden z głównych celów przedsięwzięcia będzie spełniony. Sprawa jest tym ważniejsza, że CEZAS w zasadzie nie

dysonuje środkami dydaktycznymi do nauczania przedmiotów zawodowych. Dlatego każda funkcjonalna pomoc do nauki wykonana dzięki inwencji nauczycieli, a więc ludzi dobrze znających potrzeby w tym zakresie, jest cennym elementem kształtującym oblicze szkoły zawodowej jutra.

W pełni doceniając ten problem łódzkie władze oświatowe zaprosiły istniejącą przy Ministerstwie Oświaty i Wychowania specjalną komisję z udziałem przedstawicieli tego resortu, Instytutu Kształcenia Zawodowego oraz OBR Zjednoczenia Przemysłu Pomocy Naukowych, którą zakwalifikowała do produkcji seryjnej 14 spośród prezentowanych środków dydaktycznych. Nie oznacza to, że pozostałe nie nadają się do upowszechnienia. Wiele z nich można wykonywać w pracowniach i warsztatach szkolnych. Dokonanie wyboru ułatwiają dołączone do wszystkich ekspozatów karty informacyjne, w których wyszczególniono m. in. przedmioty nauczania i tematy, do których dany środek dydaktyczny można zastosować, formy i sposoby wykorzystania, charakterystykę techniczną, ocenę funkcjonalności itp. Nauczyciel zwiędający ekspozycję otrzymuje więc pełną informację, jaka jest potrzebna, by dokonać oceny przydatności prezentowanej pomocy lub materiału dydaktycznego w jego własnej pracy.

Większość ekspozatów zgromadzonych w Zespole Szkół Budowlanych nr 2 stanowią uczniowskie prace dyplomowe. Wykonując je uczniowie w dużej mierze przyczyniają się do unowocześnienia pracowni przedmiotowych w swych szkołach. Oczywiście, pomysłodawcą jest zazwyczaj nauczyciel, który podaje uczniowi temat pracy i nadzoruje jej wykonanie.

W osobnej sali zgrupowano ekspozaty obrazujące produkcję warsztatów szkolnych. Zwraca uwagę duża różnorodność produktów. Obok wielu maszyn i urządzeń takich, jak frezarki, tokarki, prasy hy-

drauliczne, szlifarki do lastri-co, aparaty do taśmowania i inne, są też poszukiwane tkaniny i ubrania wykonane przez uczniów szkół wykienniczych i odzieżowych. W bogatym asortymencie produktów dominują wyroby, których brakuje na rynku. Popyt na niektóre artykuły znacznie przekracza możliwości wytwórcze szkół zawodowych, które w wielu przypadkach jako jedyne w kraju podjęły niechcianą przez wielki przemysł produkcję.

Integralną część ekspozycji stanowi wybór publikacji metodycznych. W większości są to prace wykonane przez członków istniejącego przy Kuratorium Nauczycielskiego Zespołu Postępu Pedagogicznego grupującego wizytatorów i nauczycieli przedmiotów zawodowych. Zgromadzone tu teksty do sprawdzania poziomu wiedzy i umiejętności uczniów, uszczegółowione rozkłady materiału do poszczególnych przedmiotów, konspekty trudnych tematycznie lekcji itp. Starszy wizytator J. Moos podkreśla duży wkład twórczej pracy nauczycieli wielu szkół województwa. Bez ich udziału nie mogłaby powstać opisana ekspozycja. Na wyróżnienie zasługują przede wszystkim nauczyciele z Zespołów Szkół Elektrycznych, Energetycznych nr 1, Elektrycznych, Budowlanych, EZB, Mechanicznych nr 1, nr 3, i nr 4, Włókienniczych nr 1, Budowlanych nr 2, Gastronomicznych oraz z Zasadniczych Szkół Mechanicznych nr 1 i 2, ZSZ „Elita” i ZSZ nr 2 w Pabianicach.

Osiągnięcia wymienionych szkół umiał właściwie wykorzystać Zespół Wizytatorów Metodyków KOiW, organizując ekspozycję, która jest cenną pomocą dla nauczycieli przedmiotów zawodowych w doskonaleniu form i metod ich pracy dydaktycznej. Zyskamy na tym wszyscy, gdyż od poziomu przygotowania absolwentów szkół zawodowych w dużym stopniu zależy przyszłość gospodarki naszego kraju.

PAWEŁ PATORA

Diugoletniemu redaktorowi „ODGŁOSÓW”
JANOWI KOPROWSKIEMU
oraz Rodzinie
wyrzy głębokiego współczucia z powodu śmierci syna JACKA

składa
Zespół „Odgłosów”

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stała współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCYŃSKA, WLADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.



Foto: Archiwum

LEON DUBICKI

ZANIM PRZESZLI BUG

Pod koniec marca i na początku kwietnia 1944 roku Naczelne Dowództwo Radzieckie przegrupowało I Korpus Polski ze Smoleńszczyzny na Ukrainę w rejon Żytomierza. Następnie Korpus został przeformowany w I Armię Polską składającą się wówczas już z: trzech dywizji piechoty, trzech brygad artylerii oraz jednostek armijnych innych rodzajów wojsk i służb. W nowym rejonie koncentracji wszystkie formacje kolejno, w miarę zakończenia przegrupowania, niezwłocznie rozpoczęły wzmoczone szkolenie bojowe w ramach przygotowań do wielkiej ofensywy letniej, która miała wyzwolić ojczyznę spod jarzma niewoli hitlerowskiej.

W ostatnich dniach kwietnia 1944 roku przeprowadzono zespolone, kompleksowe, sprawdzające ćwiczenia taktyczne. Wyniki ćwiczeń były zadowalające. Armia Polska zdała pomyślnie trudny egzamin szkoleniowy. 29 kwietnia podporządkowano ją więc operacyjnie dowódcy I Frontu Białoruskiego, generałowi armii Konstantemu Rokossowskiemu. Zgodnie z jego rozkazem od 3 do 15 maja siły główne I Armii WP zostały przegrupowane bliżej pola walki, na Wołyn w rejonie Łucka i włączone w skład wojsk drugiego rzutu operacyjnego frontu.

Rano 23 maja 1944 roku dotarła do nas wiadomość o przybyciu do Moskwy w dniu 16 maja delegacji pełnomocników Krajowej Rady Narodowej oraz o uznaniu jej przez rząd radziecki za jedyną i wyłączną ośrodek kierowania walką zbrojną o wyzwolenie Polski. W końcu zaś ma ją dowiedzieliśmy się, że wkrótce delegacja przybyła do Łucka, a Wołyn w rejonie Łucka i włączone w skład wojsk drugiego rzutu operacyjnego frontu.

4 czerwca 1944 roku dowiedzieliśmy się, że I Armia Polska w ZSRR będzie połączona z Armią Ludową, walczącą w kraju, w jednolite Wojsko Polskie kierowane przez KRN. Otrzymałmy również wiadomość z dalekich Sum, położonych we

wschodniej Ukrainie, gdzie odbywało się przyspieszone formowanie i szkolenie 4 dywizji piechoty oraz innych polskich formacji i jednostek wojskowych. W skład tych jednostek weszło przeszło 49 tysięcy Polaków z Wołynia i zachodnich obwodów ZSRR. 1 czerwca 1944 r. całość I AP liczyła już ponad 77 tysięcy ludzi i składała się z: czterech dywizji piechoty, brygady kawalerii, brygady pancernej, dywizji artylerii przeciwlotniczej, pięciu brygad artylerii oraz licznych jednostek armijnych innych rodzajów wojsk i służb. Była więc już poważną i szybko wzrastającą siłą bojową.

Czerwiec spędziliśmy na kompleksowych ćwiczeniach wspólnie z radzieckim korpusem pancernym. W końcu czerwca generał Zygmunt Berling zdecydował, że obchody pierwszej rocznicy naszej przysięgi, złożonej w Sielcach nad Oką, odbędzie się 10 lipca, a nie 15 — jakby wypadło. Wywnioskowaliśmy stąd, że w drugiej dekadzie lipca, prawdopodobnie będziemy już na froncie.

Obchody pierwszej rocznicy przysięgi w dniu 10 lipca 1944 roku miały przebieg nieoczekiwany i nawet dramatyczny. Stojąc w szyku cała dywizja w napięciu czekała na lądowanie samolotu generała Zygmunta Berlinga, który miał z Moskwy przylecieć na plac uroczystości. Minęła godzina 10, a samolotu nie było. Napięcie rosło w miarę upływu czasu. Po godzinie oczekiwania jasne było już, że coś niezwykłego przydarzyło się naszemu dowódcy, znanemu z punktualności i obowiązkowości. Po południu dowiedzieliśmy się, że w rejonie Łucka samolot generała zaata-

kował myśliwiec niemiecki. Dzięki przytomności i zręczności radzieckiego pilota uszkodzony samolot pomyślnie wylądował na lotnisku polowym, a generał Zygmunt Berling cało opuścił maszynę. Około godziny 15 przyleciał do nas „kukuruznik” i rozpoczęło uroczystości.

Wieczorem 10 lipca w sztabie artylerii armii otrzymałem rozkaz i wytyczne dla marszu artylerii naszej dywizji do strefy frontowej. Polska artyleria bowiem miała wspierać swym ogniem natarcie radzieckie 69 Armii na kierunek Turzysk — Chełm. Natomiast polska piechota miała być wprowadzona do bitwy o kilka dni później, już po sforsowaniu Bugu przez wojska radzieckie. Dumni byliśmy z faktu, że polscy artylerzyści pierwsi włączą się do walki o polskie ziemie.

Po południu 11 lipca 1944 roku miała kolumna samochodów naszego sztabu i pododdziału dowodzenia wyruszyła w kierunku Turzyska. W Lutyni spotkał nas szef sztabu artylerii armii ppłk Adolf Krzysztofowicz. Towarzyszyłem mu podczas wizyty w sztabie artylerii 69 Armii. Armia ta miała natarć na lewym skrzydle wojsk I Frontu Białoruskiego na kierunku: Turzysk, Chełm, Lublin w pasie szerokości 30 km. Główne uderzenie powinien był wykonać prawoskrzydłowy 91 korpus armijny, który we współdziałaniu z lewoskrzydłową 88 dywizją 8 Armii gwardii miał przelać niemiecką obronę na odcinku szerokości 4,5 km na północ od Dolska.

Termin gotowości bojowej ustalono na rano 17 lipca. O zmierzchu, 11 lipca 1944 r. dotarliśmy do wyznaczonego nam rejonu koncentracji na skraju lasu nieopodal Turzyska, położonego około 19 km na południowy zachód od Kowla. Odgłosy walki oraz odłaski wybuchów artylerii i rakiet oświetlających świadczyły o bliskości frontu. Rano 12 lipca po krótkiej odprawie u ppłk. Adolfa Krzysztofowicza, wyruszyliśmy w teren w celu wybrania miejsc na stanowiska ogniowe, stanowiska dowodzenia i punkty obserwacyjne. Z wyborem tych ostatnich mieliśmy najwięcej trudności. Bowiem na jedynym dogodnym do obserwacji wzgórze 192,0 większość jednostek chciała urządzić

swoje punkty obserwacyjne. Rozpoczęły się więc targi o „lepsze miejsce pod słońcem”.

Przez całą noc, w ciemności, maszerowały do rejonu Turzyska duże i powolne kolumny polskiej artylerii. Baterie artylerii lekkiej i moździerzy posiadające „Studebakery” pokonały odległość w ciągu jednej nocy. Baterie zaś artylerii ciężkiej, posiadające powolne amerykańskie ciągniki gąsienicowe, dotarły do nowego rejonu koncentracji dopiero rano 15 lipca.

Od wieczora 13 lipca przez kilka następujących dni trwała wytężona i trudna praca przy przygotowaniu naszych oddziałów do wykonania wszystkich zadań bojowych. Rozbudowywano i urządzano punkty obserwacyjne i stanowiska ogniowe oraz opracowywano dokumentację bojową. Sztaf grupy pod kierownictwem mjr Bogdanowa, pracował niemal bez przerwy, w dzień i w nocy.

Do moich obowiązków jako zastępcy dowódcy do spraw liniowych należała ciągła kontrola przebiegu prac przygotowawczych w poszczególnych oddziałach i pododdziałach artylerii. Byłem ciągle w ruchu, tak w dzień jak i w nocy. Szczególnie niebezpieczna była kontrola punktów obserwacyjnych. Czasami długo trzeba było czołgać się pod ogniem nieprzyjaciela, aby pokonać otwartą przestrzeń na stoku lub grzbiecie wzgórza.

15 lipca 1944 roku — w pierwszą rocznicę naszej przysięgi — dowiedzieliśmy się, że zgodnie z rozkazem marszałka Konstantego Rokossowskiego I Armia Polska, w dniach 16—18 lipca, powinna była być przygotowana do przejścia na polską ziemię. Poszczególne dywizje piechoty miały rozpocząć marsz do ojczyzny z takim wylizowaniem, aby w dniach 21—23 lipca przekroczyć rzekę Bug i rozpocząć pościg za nieprzyjacielem w kierunku Wisły, maszerując przez Chełm i Lublin.

Wieczorem na odprawie dowódcy grupy ppłk Adolf Krzysztofowicz powiadomił nas, że początek natarcia ustalono na rano 18 lipca.

Nadeszła pochmurna i parna noc. Przed północą radzieckie lotnictwo bombowe rozpoczęło kilkugodzinne bombardowanie niemieckiej obrony. Ziemia stękała i trzęsła się od potężnych wybuchów. Z zaciekawieniem obserwowaliśmy grę świateł i błysków po stronie niemieckiej. Przed świtem bombardowanie stopniowo ucichło. Zapanował całkowity spokój — przysłowiowa cisza przed burzą. O godz. 4.55 otrzymaliśmy telefoniczny rozkaz — „Uwaga, załadować!”. O godz. 4.59 nadeszło sakramentalne „Ognia!”, a w powietrzu wzbily się serie rakiet. Przeciagły, przeraźliwy grzmot wstrząsnął ciszą poranka. Ziemia znów jęknęła i zadrżała. Potężny buk zdmawił i zagłuszył wszystko.

Około godziny 10 czołowe pododdziały piechoty 312 dywizji wiały się na głębokość 3—4 km i opanowały kluczowe wzgórza 206,9 panujące nad okolicznym terenem. Wyruszyłem w kierunku zdobytego wzniesienia. W południe na wzgórze 206,9 przybyli prawie wszyscy dowódcy pułków naszej grupy a za nimi ppłk Adolf Krzysztofowicz. Powstał niesamowity tłok. Niemiecka artyleria nie prowadziła już ognia, a na niebie królowało radzieckie lotnictwo. Po południu przybył na wzgórze dowódca artylerii generał Aleksander Modzelewski i poinformował nas, że armijna grupa artylerii dalekiego działania zostanie rozwiązana, a polskie brygady artylerii będą podporządkowane ppłk Adolfowi Krzysztofowiczowi. Odąd już całość sił polskiej artylerii będzie więc wspierała natarcie dywizji.

Do końca dnia trwała zaciekła walka o całkowite opanowanie dużego kompleksu leśnego Berestynia. Z kolejnych punktów obserwacyjnych kierowałem ogniem naszej grupy. W ciągu dnia całkowicie przelamano główny pas niemieckiej obrony.

Przez całą noc i następny dzień radziecka piechota parła na zachód, ścigając wycofującego się nieprzyjaciela.

Późnym wieczorem 19 lipca 1944 roku na odprawie ppłk Adolf Krzysztofowicz ustalił, że następnym zasadniczym zadaniem naszej grupy będzie wsparcie forsowania Bugu przez radziecką piechotę. Poszczególne pułki naszej artylerii miały bezpośrednio wykonywać zadania ogniowe stawiane przez dowódców poszczególnych pododdziałów piechoty. Ja miałem posuwać się na czele artyleryjskich grup rozpoznawczych w celu zapewnienia należytej koordynacji ognia dla poparcia naszej grupy i informowania sztabu o sytuacji na polu walki.

20 lipca 1944 roku sztab 312 dywizji piechoty przygotowywał forsowanie Bugu. Pułki piechoty pierwszego rzutu wszczęły walkę o wioski: Wilczy Przewóz i Bereże położone na wschodnim brzegu Bugu. Przebieg forsowania obserwowałem z nasypu kolejowego na wschód od zburzonego mostu. Radziecka piechota była już na przeciwnym brzegu Bugu i bez walki posuwała się w głąb Polski.

Leon Dubicki — generał w stanie spoczynku, uczestnik walk I Armii WP.

RZECZ O WINCENTYM WITOSIE

Książka ta ukazała się po raz pierwszy przed rokiem, w okresie wakacyjnym i tak szybko zniknęła z półek księgarskich, że po powrocie z urlopu nie udało mi się już jej zdobyć. Dorwałem się więc do niej teraz, kiedy do księgarń dotarło jej drugie wydanie. Kiedy piszę te słowa, dzieło Andrzeja Zakrzewskiego, zatytułowane: „Wincenty Witos — chiński polityk i mąż stanu”, opublikowane przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą (wydanie drugie, 1978) można jeszcze tu i ówdzie znaleźć. Czy jednak będzie ono dostępne wówczas, kiedy ten felieton się ukazuje, za to ręczyć niepodobna.

Jest to doprawdy książka znakomita, świadectwo rzetelności i pasji badawczej młodego autora, a jednocześnie rzadkiego dziejopisarskiego talentu. Nie trzeba przypominać, jak trudno jest pisać o wybitnych postaciach życia politycznego z niedawnej całkiem przeciw przeszłości. Szkoła polega tu nie tylko na trudnościach związanych ze zdobyciem materiału źródłowego, który przecież jedynie w nikłej części spoczywa w bibliotekach i archiwach, w znacznej zaś jest rozproszony w rękach najrozmaitszych osób, które w ten, czy inny sposób stykały się z daną postacią. Największą trudność polega na tym, aby umieć sobie wyrobić — wobec sprzecznych relacji źródeł — własny, naukowy uargumentowany pogląd na badaną postać, by ustrzec się sugestii innych, zarówno tych, którzy widzieli w niej wcielenie wszelakich cnót, jak i tamtych, którzy by ją chętnie zmieszali z błotem, by potrafił spojrzeć na badanego bohatera z historycznej perspektywy. Najtrudniej też jest zdobyć się na taką optykę historycznego spojrzenia, która pozwoliłaby badaczowi na sformułowanie własnych, możliwie jak najbardziej adekwatnych sądów.

Ocena historyka bynajmniej nie musi, ba, częstokroć wprost nie może być prostym powtórzeniem czy kompilacją sądów już zastanych i przez kogoś sformułowanych. Myli się ten, kto mniema, że najlepiej znali przeszłe sprawy ci, którzy wówczas żyli i się z nimi stykali, że więc wystarczy tylko przepisać ich opinie, ułożyć je w jakims rozsądnym porządku, i otrzymamy naukowy uargumentowany pogląd na interesujący nas problem czy postać. Uczestnicy życia politycznego są, chcąc nie chcąc, stronami w toczącej się walce i jej to warunki oraz okoliczności zakreślają horyzont ich ocen. Historyk ma obowiązek je znać, ale poprzestać mu na nich nie wolno, winien zdobyć się na sąd własny, zbudowany w oparciu o rzetelną wiedzę nie tylko o tym, jak to niegdyś było, ale również i o tym, co z tego wszystkiego... wynika. Powiada się nieraz, że czas zacierza szczegóły minionych zdarzeń i jest w tym wiele racji, ale pamiętajmy również, że wydobycia on ich ogólne kontury.

W przypadku postaci tak wybitnej, a jednocześnie tak kontrowersyjnej, jaką był Wincenty Witos, owo wyważenie ocen, zdobycie się na adekwatny sąd historyczny, było niezmiernie trudne. Wincenty Witos był — jak powiada Andrzej Zakrzewski — „dla jednych bożyszczem, dla innych obiektem oszczerstw. Pisano o nim poematy i opiewano niewybredne dowcipy”. Sam bohater książki A. Zakrzewskiego zdawał sobie z tego doskonale sprawę i pisał we wspomnieniach: „Były czasy, kiedy dla jednych byłem chłopem — arystokratą, dla drugich zaś równocześnie zwyczajnym „sanguszowskim drwalem”. Gdy jedni chcieli widzieć we mnie tylko rozbójnika — Szęle, pragnącego pożreć żywcem szlachtę, a nawet księży, to w tym samym czasie drudzy ogłaszali mnie uroczyste zdżrąganie chłopów, księstw parobkiem i pańskim lokajem”. Oczywiście, wiele w tych słowach autoironii, ale i prawdy nie mało.

Książka A. Zakrzewskiego z pewnością nie zadowoli ani tych, którzy spoglądają na postać Wincentego Witos przez różowe okulary, ani tych, którzy widzą ją jedynie w ciemnych barwach. Myślę jednak, że zarówno jednych, jak drugich, przedstawiona przez autora argumentacja skłoni do refleksji, a co za tym idzie, do zweryfikowania swych sądów, którym dotąd tak chętnie dawali wiary. Stanie się tak jednak pod warunkiem, że zechcą się oni zapoznać z całością rozważań historyka, a nie ograniczą się — jak to nieraz bywa — jedynie do wychwytywania z jego narracji tych elementów, które mogłyby potwierdzić wyznawane przez nich poglądy. Ale takim „miłośnikom” najnowszej historii chyba nie pomoże żadna, nawet najlepsza książka.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZENON DUNAJCZYK

PIEŚNI

(fragmenty)

„Spoza gór i rzek...”

Jak dzisiaj pisać oręż
Czy tak samo od krwi
od ryby uwikłanej w sieci
lśniące z czekania
jeszcze żywe z głodu
Czy tylko wolno zliczać te węgłębienia —
razy zadane myślom
głazdy napięty skórę pamiętania
z ciężaru rozwiązywać dłonie —
można nim góry zrównać
dotknąć kamienia wyjętego z rzeki —
ile jej przepłynęło — — —
z rdzy się w śladach rozbiierać
wciąż rozwiewa ją wiatr — — —
Jaka to już jest cisza —
choć świeża — przez dzieci
wnuki — w trzecie pokolenie
i każdy drugi dom inny
i każdy drugi człowiek młody
a ile lat to tak po prostu
tak zwyczajnie jest — w nas
To jakby cofnąć — nie wiadomo
a gdyby wznieść — zadźwięczy
na nowo — stanie się
Tak dzień po dniu
spoza gór i rzek —
a przecież to już było jest będzie

— gdzie dziś
„wyszliśmy na brzeg”

II

„Rozszumiały się wierzby...”

a przecież to tak stukają w gałęziach godziny
i przesypane liście wiatru czasu
twoje — moje życie w pętlę krajobrazu
z wierzby — ze śladem po domu
po tamtych sterczących jak wkrzyknik kominie
w powietrzu szerniałym z przerażenia
w pamięci zbolalej od pamiętania
Twoje ręce są pełne ognia i popiołu
lecz jakby moją opłatały głowę
żyje w nich jeszcze miłość i pragnienie
Dokąd — wytrwale — musisz tutaj czekać
aby krajobraz ułożyć na nowo
korzenie sprawdzić w nie ostygiej ziemi
w domyśle już się to trochu zielenić
i tak w sobie zbudzić delikatność
żeby w niej metal nie zakwitał śmiercią
Jeszcze się słowa obnażą urodą
z krzyku z belkotu cofną się do miejsca
z którego ciągle żegnasz odchodzących
i do mundurów ich przypinasz gwiazdę
co się w twym oku jak iza odmięła

Teraz to widzisz pojęta z sierpnia
i owinięta w nić babiego lata

WŁADIMIR IRININ

MIASTO LIPCOWE

Dziś Łódź lipcowo jest pogodna;
Potoki słońca, zielony wiatr
Przelatuje jasny, swobodny
W dniu wolności od morza do Tatr.

Jest tak, jakbym nigdy nie był
Na tej wojnie groźnej — styczniowej;
Pamiętała o tym każą mi mogiły
Mych żołnierzy z linii ogniowej.

I nagle — droga z karabinem
Przez białe pole w karmin dali
Idę w szyneli; wokół miny
Wybuchem grozą; świat się pali...

Przez sennie lasy dziką ścieżką
Prowadzi nas czerwona gwiazda.
Pamiętam Puszczę Białowieską,
A w niej niemieckie wilcze gniazda.

Przez mgły i ogień suną czołgi;
Padam w lipcowo krwawe zboże
I słyszę głos, nie ten znad Wolgi
Lecz inny: polski! Czy pomoże?...

I gdzie wy teraz, polscy bracia?
Gościnnie tam pamiętam dom;
Gdyby nie wy — bym życie stracił;
A tak ruszyłem znów na front.

Dobiliśmy wspólnego wroga!...
Dawne dzieje; jam w Polsce znów.
Wspólna jest teraz nasza droga:
Wita mnie dobre miasto Łódź...

Przełożył: ROMAN GORZELSKI

WŁADIMIR IRININ — (ur. w 1920 r.) poeta, dziennikarz i dramaturg, pracuje w dzienniku „Wieczorną Moskwę”. Jego komedia muzyczna pt. „Kwitnienie czerechów” była swego czasu wystawiana przez Teatr Muzyczny w Łodzi. Irinin brał udział w wyzwolaniu ziem polskich służąc — początkowo jako szeregowiec, a przy końcu wojny awansował do stopnia majora — w Armii Radzieckiej, w latach 1940-45. Już po wojnie kilkakrotnie odwiedził Polskę, a także Łódź.

ANTONI NOWAKOWSKI

PRZEDZIAŁ

Młody działacz wojewódzkiego zarządu organizacji studenckiej wyjeżdżał do oddalonego miasta. Sześć „firmy” — tak w swoim grobie nazywali zarząd związany z nim ludzie — polecił mu znaleźć dom wypoczynkowy o pojemności dwustu pięćdziesięciu miejsc. Znalazienie domu było potrzebne natychmiast — „na wczoraj” — działacz firmy w taki właśnie sposób określali tego rodzaju sytuację. W dniu jego wyjazdu apani podmuchami pierwszy śnieg. Szybko zamieniał się na chłodziak w biurowym, czarna papę.

W firmie rozgarnięte. Następnego dnia bowiem rozpoczęły się studenckie spotkania teatralne. Coroczna impreza otoczona została przez organizatorów, a także w dużej mierze przez widzów, była intelektualnej oryginalności i niezwykłego znaczenia artystycznego. Niektórzy wyrażali przypuszczenie, że podczas tego przeglądu widzowie ujrzą zupełnie nowe formy teatru. Pewien początkujący krytyk teatralny umieścił nawet w „Polityce” dwuszpaltową notkę anonsującą przegląd; tę utrzymywaną w pochlebnym tonie informację, starannie naklejona na karton, działacze komisji kultury wywiesili przed wejściem do zarządu.

Najbardziej teraz w zarządzie zajęta osoba była kierowniczka biura organizacyjnego firmy. Przekazywała telefonicznie tym zaprzyjtanym dziennikarzom, którzy zajmowali się w swoich dziennikach sprawami organizacji społecznych i młodzieży, wykaz zaproszonych zespołów, listę oficjalnych gości oraz główne tezy przemówienia przewodniczącego zarządu, przygotowanego na otwarcie imprezy. Była zła, zmęczona i podenerwowana; dostała ostateczny komplet danych przed chwilą, szef zaś przywiązywał wielką wagę do umieszczenia w prasie na czas informacji o tym, co zrobiła jego organizacja. Męczyły ją również i inne problemy: przy tego rodzaju prestiżowych akcjach kulturalnych zawsze były potrzebne kłopoty z uzyskaniem fikcyjnych rachunków za koniak, kawę i upominki dla oficjeli i jury. Poza tym miała za sobą nie przespaną noc kucia do egzaminu poprawkowego.

Rozgorączkowany tłum studentów kłębił się w hallu i na klatce schodowej. Skotłowani, poskręcany wąż chłopaków i dziewczyn zwijał się wzdłuż ręcznie kutej balustrady schodów. Trzy rzędy kolejkki wchodziły w szeroko otwarte drzwi działu księgowości. Tu-taj wąż zamieniał się w wielką, nie zorganizowaną tłum parujących kurtek, czapek, mokrych parasoli. Błyskały okulary.

Wszystkie obiegali trzy młode dziewczyny, sprzedające karty wejścia. Wysunięte z tłumem ręce pośpiesznie wrywały im upragnione wejściówki i kładły na blacie wyliczoną z góry należność. Co pewien czas stojący na schodach napierał gwałtownie do przodu. Wtedy dodatkowa partia czekających z przeciagłym jękiem wpadała do pokoju. Pchającym się gwałtownie chodziło o to, aby zdążyć zdobyć pojedyncze bilety na najbardziej okryzyczne w środowisku widowskie. Tylko studenci pierwszego i drugiego roku kupowali zbiorcze karty na wszystkie przedstawienia. Wtajemniczeni kupowali wejściówki na trzy-cztery spektakle.

Ich tytuły znajomi podawali sobie wzdłuż kolejkki. Facet wyglądający na asystenta instytutu nauk politycznych perorował głośno: — Siedem, siedem z Łodzi przyjeżdża! Dają rzeczy polityczne. Niby, bracie, nie ma jeszcze spektaklu. Taki jakiś cocktail-party czy też śledzik w kuluarach. Na stole stoi autentyczne pół litra, muzyka. Nagle ktoś z tłumy jak nie wrzasnie: — „Kto winien!”

— Cóż się wtedy, bracie, robi jak makciem posiał. Później wszyscy, widzowie i aktorzy, schodzą do normalnej sali konferencyjnej. Na środku barykada czy może forteca, diabli wiedza, taki czerwony bok zastawiony z mównic, portretów, transparentów, znaków drogowych. Na rogach zwalone sztandary. No i wtedy, dopiero wtedy, zaczyna się dział...

— Obejrzyjmy ten „sexodus”. Wspaniałe, urokliwe teksty — nie to, co Jacob Lech. Prawdziwa poezja — dodała dziewczyna w okragłych okularach, liczących sobie nie mniej niż sześć dioptrii. — Na „sexodusie” dwóch facetów gra przez cały czas na fujarach marsza Rakocznego i czastuski. A nagle dziewczyny — oczywiście mają trykoty — ze skrzydłami u ramion płyną nad głowami, trzymane przez sznurki, zamocowane do sufitu — wpadł ktoś inny dziewczynie w słowo. — He, he, Marsza Rakocznego! Ależ słuzę politycznej! — zaśmiało się kilku słuchających.

Zaferowanym działacze zarządu szybko przemycali z pokoju do pokoju, dumnie w przelocie prezentując wpięte w koszułe znaczki przeglądu. Z powodu duchooty prawie wszyscy z nich pozedjmowali marynarki, niektórzy zakasali nawet rękawy. Odwoływali na bok znajomych i wybrane dziewczyny, ukradkiem wręczali darmowe bilety wejścia, znaczki, informatory i plakaty.

Chłopak krążył wśród tłumy. Śmiał się radośnie do znajomych, podniecony wyjazdem i powierzoną mu misją. Pośród wasów, bród, wojskowych butów i rozchylonych pod kożuchami bluzek dziewczyn czuł się dobrze. Znał tutaj prawie wszystkich.

Lubił i cenil sobie poczucie ważności pracy w organizacji studenckiej. Odpowiadała mu atmosfera tego świata. Był przekonany, że oni wszyscy tutaj reprezentują jakąś specjalną grupę młodych ludzi, są czymś lepszym od szarego tłumy w autobusach i tramwajach.

Pogadywał ze znajomymi z rady uczelnianej, wręczając odznaki, podkreślał w rozmowie mimochodem, ale dobitnie, swoją rolę w organizowaniu obozu. Lokalizacja obozu to jest sprawa — gorączkował się — sprawa-płotun, na wyjazd. Telefoniary się tego nie załatwi.

Zawiesił z uśmiechem głos. — Sam siebie, chłopcy, zaproponowałem. Bardzo dużo rzeczy zależy od tego obozu. Trzeba przecież, nie mówiąc już o innych sprawach, wykształcić dla środowiska nową kadrę działaczy dla rad wydziałowych i uczelnianych. To zaś jest uwarunkowane od jednej, zdawałoby się śmiesznie prostej historii: od zdobycia w odpowiednim terminie hotelu lub domu wczasowego.

Pojechadł do tego miasta, położonego w Bieszczadach, osobowym pociągiem. Jeszcze w siedzibie zarządu z zadowoleniem wyczuwał palcami w kieszeni sześćsetzłotową zaliczkę. W drogę zabrał też nową zieloną kurtkę. Do torby zapakował nowo wydany tom opowiadań Margueza.

Uwielbiał Margueza. Stawiał go znacznie wyżej od Cortazara, Vargasa Llosy, Carpentiera i innych pisarzy tego samego nurtu. Podziwiał i prawie kochał go za umiejętność wydobycia niezwykłości i bajkowości ze zwykłej, ludzkiej codzienności. Odszukiwał w utworach tego pisarza literackie odniesienia do zdarzeń, dziejących się dookoła jego samego. To była zawsze duża rzecz, patrząc na motorniczego tramwaju, kojarzył sobie widzianą postać z jakimś fragmentem utworu Margueza i poczwał się tak, jakby w zamkniętym pogięta blachą pudle tramwaju działał się jeszcze coś więcej od rozhisteryzowanego przepychania się pasażerów w godzinie komunikacyjnego szczytu.

Zaliczka okazała się zbyt małą na opłacenie pobytu w hotelu, pilnych rozmów telefonicznych, różnych wyjazdów. Trząsł się w małych, odbranych pekachach do Soliny, Ustrzyk, Polańczyka. Ochryplym głosem indagał kierowników biur turystycznych.

Wszystcy mówili mu, że domy wczasowe zawsze zamawia się cztery miesiące wcześniej. Byli uprzejmi, ale rozkładali ręce. Musiał wracać z niczym.

W ostatnim dniu pobytu przekonał się, że zaliczka i jego prywatne fundusze razem wzięte wystarczyły ledwo na opłacenie pobytu w hotelu. Zabrakło mu nawet na nowa żyłkę, nie mówiąc już o kupnie powrotnego biletu.

Wszedł do przedziału pierwszej klasy. Był w nim sam. Zimno szczypało w nos i w policki. Podniósł więc kołnierz kurtki, zaplął go szcześnie pod brodę. Położył się na szerokim, pluszowym siedzeniu. Nie zdjął ciepłych skórzanych rękawic, podbitych kożuskiem, dlonie opatulił dodatkowo jeszcze polami kurtki.

Myslał niezbornie o różnych rzeczach. O tym, że nie włączył ogrzewania. Z wściekłością myślał o swoim zarości, i że zjawi się w firmie niczego nie załatwiwszy. Momentami zaczynał się jakby dusić od przypływu złości na siebie samego i na tych wszystkich, z którymi spotykał się w biurach turystycznych i domach wczasowych.

Patrzył na drzwi przedziału, czekał na coś, co wyrwie z odrętwienia. — Szczególna klamka. Wszedł konduktor, pstryknął przełącznikiem światła. — Bilety do sprawdzenia — prozę — jego głos miał schrypięte brzmienie stacyjnego megafonu. Chłopak wyciął z kieszeni kurtki dowód osobisty. Powiedział spokojnie: — Biletu nie posiadam. Pieniędzy też nie mam. Niech pan napisze kredytowy do końca trasy. Bardzo proszę, żeby pan napisał go szybko i nie udzielał mi żadnych pouczeń.

Konduktor nie podobał mu się. Był na pewno powszednim zjadaczem, który nie wyobrażał sobie nawet, nad jakimi istotnymi sprawami pracuje się w organizacjach studenckich. I na pewno, gdyby je znał, nie zwróciłby na nie najmniejszej uwagi, tak jak ci kierownicy domów wczasowych. Tymczasem kolejarz wyciągnął ze skórzanej torby grubo rozkład

jazdy, rozłożył kalkę ołówkową i włożył ją pomiędzy jakieś pokratkowane blankiety.

— Zapłacił pan trzysta dwadzieścia dwa złote — stwierdził spokojnie. Panie kawalerze, co pan tak buty sobie o siedzenie czyści? Tutaj też czasami siadają ludzi — dodał.

Chłopak pomyślał, że ten człowiek sprawa wrażenia, jakby w kieszeniach nosił kilka razy reperowane okulary w drucianej oprawie. Miał też chyba w nich i czarna od papierosowej smoly dufalę. Taką cygarniczkę i okulary posiadał ojciec — chłopaka. Miał je dopóty, dopóki chłopak nie wyrzucił ze wściekłością tych wszystkich grałów do zlewu sanatoryjnej łazienki. W sąsiadującym z łazienką pokoju jego ojciec zmarł na raka śledziony.

On sam z tego powodu nie palił. Uważał zresztą, że przyszły działacz polityczny powinien ograniczać nałogi, ludzie bowiem na wszystko zwracają uwagę.

Wspierał się na lokciach, odrzekł ostrym tonem: — Szanowny panie! Nie jest pan tym, który mógłby mi udzielać uwag. Niech pan wypisze lepiej bilet kredytowy. Place, jadę i żęgnam.

Mocno wspierał buty o plusz oparcia. Kolejarz wrzucił dowód do torby. Bardzo spokojnie odrzekł: — Wypisz pan bilet później.

Trzasnął drzwiami, odwrócił się ciężko i poszedł dalej. Zgasł przed wyjściem światło.

Ściągnął ciąża, zmęczone wysiłkiem napięcia i rozluźniania, mowu drżały. Ział był niesamowity. Kierował więc myśl na znane mu dotychczas opowiadania Margueza. Przypomniał sobie przeczytane przed wyjazdem recenzje o tomiku, który wziął ze sobą w podróż. Staral się ułożyć w myślach szkic artykułu o twórczości Margueza do jednodniówki studenckiej. Szaregował i klasyfikował cechy twórczości pisarza. Wyszukiwał w pamięci celne określenia, jakich użył w recenzjach, które przeczytał. Chciał tym wszystkim skłonić umysł do zajęcia się czymś innym niż przedkidywany chłód, do snucia intelektualnych spekulacji i przemyslenia.

W pewnej chwili doszedł do wniosku, że konduktor za długo nie wraca. Stwierdził z niezasadzoną wściekłością, że sam będzie musiał pofatygować się do tego „starego przyka”. Na korytarzu nie zobaczył nikogo. Inne przedziały tego wagonu, nieomalnie uroczyste, zieleńiały odpychającą samotnością siedzeń i popalonych firanek.

Znalazł służbowy przedział konduktorski na końcu składu. Oprócz konduktora siedział w nim jeszcze dwaj inni kolejarze. Przez szybki drzwi widział, jak konduktor i jego towarzysze w milczeniu i z powagą jedli kanapki z wędliną.

— Ludzie pracy — pomyślał — bardzo poważnie traktują swoje posiłki.

Otworzył drzwi i uprzejmie zapytał: — Można?

Stanął na progu przedziału. Kolejarze patrzyli na niego w milczeniu. Jeden z nich wyciągał teraz z teckki owinięte w papier kotlety mielone. Konduktor rozkładał na kolanach kilka czerwonych bułek, przecierał wędliną szmatką starych nóg z utamanym ostrzem. Trzeci z nich uprawnie robił nowa kanapki.

Chłopak intuicyjnie wyczuł nieprzychylny nastrój tych ludzi. Przebiegł mu przez głowę, że trzeba będzie usposobić ich bardziej przyjaźnie.

— Ja w sprawie biletu. Taka przgoda mój się zdarzyła. Zabrakło mi otóż, tak po prostu, pieniędzy na powrót.

Nabrał oddechu: — Przyjechałem załatwić lokalizację obozu studenckiego. Szkoleniowego. Jeździłem, telefonowałem, same rozmowy międzymiastowe. A pilnie to podwójnie kosztują. I w ogóle, przecież wszystko drożeje. No, zabrakło niestety pieniędzy na bilet powrotny. Musiałem tak zrobić, jak zrobiłem, rozumieja panowie, bo oboz to dla nas, studentów, niezwykle ważna społecznie sprawa. Rozumieja panowie? Kazali załatwiać, to załatwiałem. Myślałem, że pieniądze starczy.

Oczy konduktora patrzyły na niego spokojnie, bez mrugnięcia, jak oczy ryby. Zarosnięte, sfaldowane policzki poruszały się rytmicznie, przekuwając pilnie kolejne kęsy. Czekał statecznie, zakrywając usta dłonią.

— Wsiądzie pan we Wrocławiu. Odbierze pan swój dowód od dyżurnego ruchu, Oczyszczył starannie wędliną szmatką zatuszowane palce.

Biletu kredytowego pan nie dostanie. Nie dam. Jedzie pan na gapę. Nie ma pan pieniędzy na bilet. Na ludzi pan, kawalerze, krzyczy. Buty pan sobie w jedynce oparciem czyści. To wsiądzie pan we Wrocławiu.

Chłopak poczuł nagły przypływ paniki. Mówił szybko, żarliwie: — Panie konduktorze! Niechże pan zrozumie. To jest mój jedyny pociąg bezpośredni. Jak wsiądę we Wrocławiu, to na następny będę czekał ze sześć, siedem godzin. Pojadę dalej z przesiadkami. Całą noc czekać bez pieniędzy na dworcach? A jadę przecież, rozumieja panowie, w ważnej, doniosłej społecznie sprawie. Organizacja czeka na wiadomość.

Sześciu kolejarza rytmicznie żuły dalej. — I tak dobrze, że nie zatrzyma pana milicja. Mogę dać raport kierownikowi składu i zawiądowny stacji. Jesteśmy tutaj jako urzędnicy państwowi, rozumie pan?

— A kimże ja jestem, jak nie urzędnikiem państwowym? — zaręplikował chłopak błyskawicznie. — Przecież, panowie, ja mam delegację. Jak się, ot tak sobie jedzie, to delegacji nie dają. Chyba, że ktoś jako urzędnik państwowy...

Widzi starannie złożony żółty prostokąt papieru w ręce najbliższego kolejarza.

— No, jeżeli jest delegacja, to przecież co innego... powiedział tamten.

— Rzeczywiście, jeżeli jest urzędowa delegacja... zastanowił się trzeci kolejarz.

Konduktor rozpostarł blankiet delegacji na blyszczącej skórze służbowej torby. Takie same torby, zakładane luźno na ramię, stanowiły ostatnio — razem z wojskowymi butami i chłopięcimi maciejówkami — ostatni krzyk zarządowej mody. W zatraskach od lampy sygnałowej i chorągiewki studenci wtykali mazaki i długopisy.

Z wnętrza torby wyjął konduktor stare, okragłe okulary, posklepane plastrami. Uważnie czytał z delegacji.

Chłopak podał konduktorowi swoją organizacyjną legitymację. — Tam jest potwierdzona moja funkcja — zaznaczył przymilnie.

Widział, jak wzrok czytającego ślizga się z uwagą i szacunkiem po wielkiej, czerwonej pieczęci i zamasyzowanym podpisie przewodniczącego firmy.

Napięty wewnętrznie, czuł, że prawie przekonał konduktora. — Przyrzekam, że będę na przyszłość uważał.

Szklana cygarniczka, która wyjął z kieszeni konduktor, była rzeczywicie tak jak przypuszczał, czarna od papierosowej smoly. „Stary przyk” osadził w niej polowicką papirosa. Szczęknął wielką, miosną zapalniczką.

— Pan sobie siądzie — burknął — należność wyniesie jednak 354 złote. Inna strefa dopłaty. — A ludzi, to panie kawalerze, trzeba szanować. Trzeba patrzeć też, na czym się nogi opiera. — Proszę — wręczył chłopakowi dokumenty. — I zaraz przejdzie kawaler do przedziału drugiej klasy. Zeby sobie jeździł jedynką, trzeba na nią zarobić.

Chłopak wracał z powrotem do swego przedziału przyjazną teraz pustką korytarza. Szybko ułożył kurtkę na torbie, spiął ją paskiem. Udradowany pomysłnym zakończeniem niespodziewanych kłopotów, nie czuł już zimna.

Przedzielił do przedziału drugiej klasy, w którym po drodze dostrzegł wolne miejsce.

Reszcie drogi przespał smacznie. Tuż przed końcową stacją obudził go sąsiadki z przedziału. Rozgadane, z wysiłkiem taszczyły walizy i torby.

Wyskoczył w biegu i pobiegł do tramwaju, stojącego na peronie. To był pierwszy ranny tramwaj. Gwizdał zawiądowno, przerzucając torbę z ręki do ręki.

Jadąc tramwajem do akademika, osadzał wyniki swojego wojażu. Mimo wszystko, oceniał go pozytywnie. Oczywiście, bezpośrednio sam wyjazd w Bieszczady nie przyniósł organizacji żadnych realnych zysków. Ale on, jako działacz, nauczył się na przyszłość sposobu załatwiania rezerwy domów wczasowych, poznał również system pracy biur turystycznych, rządzące tą sferą życia układy i zależności. Tego rodzaju szersze doświadczenia — tak sądził — zaowocują w jego przyszłej społecznej pracy i organizacja na pewno też wyniesie z tego jakiś profit. Sposób, w jaki załatwił sprawę biletu, potwierdził w jego oczach własne predyspozycje do kierowania ludźmi i umiejętność wywierania na nich wpływu, a to było przecież w pracy firmy bardzo istotne.

Na większe przemyslenia, tak jak i wszyscy jego koledzy z firmy, nie miał zresztą wiele czasu. Podczas jego nieobecności inny działacz zarządu załatwił lokalizację obozu — w Giżycku, w hotelu „Wodnik”; tak więc oboz rozpoczął się zaraz po zakończeniu przeglądu, zupełnie się jednak nie udał. Wszyscy pili, połowa osób nie chodziła na zajęcia, spała do dwunastej w południe, i to nie sama. Kilku zaś członków kadry obozu przekonało się o istnieniu dużego jeziora tuż obok hotelu dopiero wtedy, gdy wpadli do wody pijani w sztok.

Sekretariat firmy ocenił przygotowania do obozu i sposób jego prowadzenia bardzo negatywnie, a nikt z jego uczestników nie wyrósł później na rasowego studenckiego organizatora. Tylko działacz, który załatwił lokalizację obozu — użył do tego celu koneksi swojego wujka, dyrektora dużej centrali włókienniczej — wspiął się o kilka szczebli wzwyż w pionie komisji organizacyjnej.



Foto: Archiwum

Intronizacja KRÓLOWEJ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Statuty Piotrkowskie nakazywały bezwzględnie otwieranie na Wisłę wszelkich jazów czy też innych przeszkód i to bez pobierania jakiegokolwiek myta, kładły nacisk na „wykorzystywanie „pospolitego dobra” za jakie już wtedy uważano tę rzekę. W roku 1578, mocą ustanowionego prawa Sejm stwierdził, że „wszelkie główne czeki mają być wolne od grobel, tam, młynów i zabudowania wszelkiego, co zwykło impendiować (tutaj — utrudniać) nawigację”. Już więc wtedy doskonale pojmowano funkcję i znaczenie wielkiego, ogólnie dostępnego traktu wodnego dla gospodarki kraju, przy czym wysiłki szły nie tylko w kierunku spożytkowania owego „pospolitego dobra” ale również — poprzez udoskonalenie wodnej drogi — do rozszerzenia jej wpływu na bliższe i dalsze zaplecze. Z tego zamysłu biorą się dotacje na właściwe utrzymanie tej wodnej arterii, co skrzętnie odnotowały kroniki.

W roku 1764 opiekę nad utrzymaniem Wisły w należytym stanie przejął Komisja Skarbu, w czterech latach później Sejm postanawia wydatkować wcale niemałą jak na ówczesne czasy kwotę 200 tysięcy złotych polskich „na czyszczenie rzek, budowę mostów i dróg”, a specjalna komisja wysuwa projekt budowy tam pod Nowym Miastem, Korczynem, zamysła o dużym porcie rzecznym w Kazimierzu, który miałby spełniać ważką rolę w udoskonaleniu transportu wodą płodów rolnych, głównie pszenicy, eksportowanej przez Gdańsk dalej w świat.

I tak właściwie było zawsze. Wisła nigdy nie przestała być przedmiotem nie tylko emocjonalnego zainteresowania naszego społeczeństwa, światłych jego kręgów, ale na równi z tym, w świadomości narodu występowała jako niezmiernie poważny czynnik integrujący oraz rozwijający gospodarkę kraju również wtedy gdy słowo Polska znikło w

państw rozbiórczych z politycznej mapy Europy. U schyłku XIX w. Bolesław Prus pisał:

„Jużem się wiece państwo tak zmachał, że mówiąc o Wiśle nie mam nawet ochoty wspomnieć o jej regulacji, a jednak zrobić to, bo warto”

Było więc to pielegnowaniem swego kompleksu Wisły mającego swoje uzasadnienie w historycznych

latach po II wojnie światowej, mimo ogromu zniszczeń kraju, podjęto pierwsze kroki nad „Programem Wisła”. W latach siedemdziesiątych zespół naukowców kierowany przez prof. prof. Bokerskiego i Tuszę tworzy zarys perspektywicznego planu gospodarki wodnej w Polsce. Jego częścią składową jest zamysł budowy Centralnego Kanalu, którym przerzucano by duże ilości wody z dolnej Wisły, a także Odry do najbardziej potrzebujących wody obszarów przemysłowych kraju. W latach 60 zrealizowano tzw. stopień wodny we Włocławku.

doświadczeniach naszego społeczeństwa, w losach kraju.

Ale — kto wie, czy jeszcze ważniejsze nie było przypadkiem inne usiłowanie, konkretne poczynania realizujące się — wobec braku jakichkolwiek możliwości praktycznych — w ówczesnych warunkach politycznych i gospodarczych, w koncepcjach perspektywicznego kształtu tej rzeki, w projektach, które powinny zaowocować w przyszłości, kiedy tylko stanie się to możliwe.

W roku 1916 krakowski uczyony — prof. Ingarden odnawia myśl budowy wielkiej drogi Wschód — Zachód właśnie poprzez regulację Wi-

sty. Wtedy też, po raz pierwszy, pojawia się projekt kanalizacji rzeki. „A to przez jej spiętrzenie stopniami wodnymi tak, by wyprowadzić Wisłę z dzisiejszego zupełnie zdzieciakiego stanu w drogę wodną europejskiego znaczenia.” Ta myśl spiętrzenia wód przez kaskadę i podniesienia ich poziomu o dwa metry, co uczyniłoby Wisłę spławną dla największych barek, stanie się osią każdego z późniejszych programów regulacyjnych królowej naszych rzek.

Tak jest — również późniejszych. I nigdy, jak do tej pory, konsekwentnie nie zrealizowanych. Przypomnijmy tylko: w 1919 roku prof. Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej wysuwa projekt regulacyjny zaczynający się od budowy zbiorników na górnych dopływach Wisły — w Rożnowie i Porąbce. Elementy kompleksowego potraktowania tego problemu zawierają w sobie prace podjęte już w latach trzydziestych, kiedy to powstaje zbiornik w Porąbce, zaczyna się obwałowywać Wisłę, podejmuje roboty w Rożnowie, porządkuje „drogę” Wisły przez Centralny Okręg Przemysłowy...

Patrząc z perspektywy minionego czasu można chyba powiedzieć tak: jak na ówczesne warunki, możliwości społeczne, polityczne, a przede wszystkim gospodarcze — uczyniono już wtedy dla Wisły i jej roli spełniającej wobec kraju sporo.

A równocześnie trzeba dodać: było to o wiele za mało w stosunku do już wtedy ukazujących się potrzeb. I chyba w tej niemożności było coś więcej aniżeli symbol.

Jeszcze raz Wisła

„Zabudowa i wykorzystanie gospodarcze osi Wisły musi być traktowane jako kluczowa, lecz integralna część składowa ogólnego problemu gospodarki wodnej obejmującego również odpowiednie prace w dorzeczu Odry i Warty. Mamy więc przed sobą wielkie zadanie wymagające znacznych środków materialnych i mobilizacji społecznej, dobrego przygotowania naukowego, technicznego i organizacyjnego. Jest to zadanie na miarę pokoleń.”

Tak brzmi fragment referatu wygłoszonego w imieniu Biura Politycznego KC PZPR przez Edwarda Gierka na XII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, a powtórnice przytoczyłem go tutaj, gdyż jak sądzę, zawiera w sobie wszystko: i rozmiar zamierzenia, na które bierzemy „zamiar”, jego rangę społeczną i gospodarczą, jak i element emocjonalny. Ten ostatni wcale nie jest w tym hasle „Wisła” najmniej istotny...

Ale jest w tym fragmencie partyjnego przebiegu politycznego dokumentu, stanowiącego równocześnie inspirację oraz konkretny program, jeszcze coś innego, co, gdy wypowiadamy słowo Wisła, gdy analizujemy losy tej rzeki, jej dotychczasową rolę w gospodarce naszego kraju, trzeba koniecznie wydobyć. Otóż nie ulega kwestii, że po raz pierwszy patrzmy i zamierzamy rozwiązać ten historyczny problem w całej jego złożoności kompleksowo, właśnie na miarę możliwości, potrzeb naszego pokolenia, państwa, w którym żyjemy. Tego właśnie nie stało nawet najgorętszym odrędnikiem intronizacji Wisły na prawdziwie królewski tron. Po prostu brakowało tej dziejowej szansy, naszego dziś, w którym nasz kraj rozciąga się po obu brzegach tej rzeki, buduje wsparty przyjaźnią i współpracą sąsiadów, na których pomoc w rozwiązaniu i tego problemu może z pewnością liczyć.

Ale właśnie. Przejdźmy do problemów, które warunkują podjęcie tego zamierzenia oraz jego realizację.

Wielkie pragnienie

Tak jest. Chodzi o największą wodę.

Chociaż tym razem proponuję czytelnikom, by zechcieli nieco szerzej popatrzeć na ten problem nie tylko poprzez uciążliwość ewentualnych kłopotów „z ciśnieniem”, w którymś z mieszkaniowych wysokościowców. Czemu właśnie tak? Otóż sądzę, że jest to doskonały przykład na poparcie tezy o ogromnej złożoności procesów gospodarczych i społecznych, uwarunkowań i barier jak i potrzeb, które trzeba nam pokonywać a równocześnie zaspokajać. Jest to też dobry przykład ukazujący rozmiar zadań i niezbędnych środków, które muszą być zaangażowane, jeśli chcemy skutecznie zapobiegać pewnym zjawiskom — dodajmy od razu — bardzo niepokojącym i szkodliwym i równocześnie rozwiązywać liczne problemy dalszego ekonomicznego rozwoju kraju.

A teraz w charakterze przykładu: już w latach pięćdziesiątych naukowcy z Uniwersytetu Poznańskiego zaobserwowali na sporych obszarach Wielkopolski zjawiska stepowienia, które szybko powiązali z pogorszeniem „stosunków wodnych” na tym obszarze. Miało to i nadal ma określone negatywne skutki dla rezultatów osiąganych przez rolnictwo tego rejonu, choć nie tylko w tej dziedzinie zaczęto odczuwać rezultaty nie

zaspokojonego pragnienia. Na skale problemu popatrzmy jednak zupełnie inaczej. Wypada bowiem przyglądać się sytuacji w całym kraju i to w dziedzinie w ogromnym stopniu warunkującej np. wysokość otrzymywanych przez polskie rolnictwo plonów, możliwości dalszego rozwijania choćby hodowli trzody i by-

Największa z polskich rzek poddawana jest też — na razie cząstkowym — zabiegom unowocześnianym. W górnym jej biegu i na dopływach powstają nowe zbiorniki — m. in. przy okazji budowy Nowej Huty, zespołu elektrowni w Skawinie, w Łęgu. Podjęto prace przy regulacji Wisły środkowej. Wszystko to jednak nie rozwiązało oczywiście problemu właściwego wykorzystania zasobów wodnych królowej.

dia, co jak wiadomo od lat stanowi przysłowiową piętę Achillesa naszej gospodarki a pośrednio również jest przyczyną bardzo wielu rynkowych kłopotów.

No więc właśnie. Niestety. Sytuacja, w jakiej się w tej dziedzinie znajduje Polska, przynajmniej aktualnie rzecz biorąc, nie należy do łatwych. Dane statystyczne wskazują, że pod względem przeciętnych opadów — przeciętnych opadów, nasz kraj zajmuje przedostatnie miejsce w Europie, a deszcze i śniegi przynoszą nam „dawkę” wilgoci obliczaną w skali jednego tylko roku na jakieś 186—187 miliardów metrów sześć. wody. Tutaj trzeba jednak dodać, że tylko stosunkowo mała część tego naturalnego przyrostu naszych zasobów wodnych, ta która jest zatrzymywana w glebie bądź spływa do rzek, służy nam i krajowej gospodarce. Zresztą — też w sposób niedoskonały jako że — choćby przykładowo biorąc — królowa polskich rzek Wisła ciągle w małym stopniu technicznie zagospodarowana na miarę współczesnych potrzeb nie może i nie wykonuje tych funkcji, których można by po niej oczekiwać.

W dodatku w grę wchodzi jeszcze jeden wcale niebagatelnej wagi szczegół — otóż obszar między Bugiem i Odrą, a więc naszymi rzekami granicznymi, jest niezwykle chłonny, woda z opadów atmosferycznych przenika głęboko i w rezultacie ogromna jej ilość przedostaje się do warstw obecnie niedostępnych, a więc przestaje się liczyć dla gospodarczych i społecznych przedsięwzięć człowieka. Efekt? No cóż, tutaj jeszcze raz posłużę się statystyką: zajmujemy ostatnie miejsce w Europie pod względem rocznego przyrostu zasobów wodnych, licząc tak w odniesieniu na „głowę” mieszkańca naszego kraju, jak i na km kw. powierzchni Polski.

Nie tak dawno opublikowano niezmiernie ciekawe dane odnoszące się do rejonu Krakowa. Obliczono mianowicie, iż zapotrzebowanie samego tylko miejscowego przemysłu około roku 1980, a więc za dwa lata, osiągnie poziom 20 m sześć/sek przy czym należy do tej ilości dodać jeszcze jakieś 4—5 m sześć. wody pitnej. Tymczasem Wisła w najniższym przepływie prowadzi 16—18 m sześć/sek wody pitnej, co oznacza ni mniej ni więcej, jak tylko zupełnie realną możliwość, iż któregoś dnia po prostu zostanie całkowicie... wypita i w dodatku nie zaspokoi do pełna pragnienia.

Na rozmiar i rangę problemu właściwego wykorzystania, zagospodarowania zasobów wodnych naszego kraju, unowocześnienia skomplikowanego mechanizmu stosunków, a przede wszystkim nadania prawdziwie nowoczesnego kształtu polskim rzekom, głównie Wiśle, wskazują jeszcze inne liczby. Słusznie bowiem podkreślając ogromną doniosłość rozwoju przemysłu, niekiedy, a raczej z reguły, nie zdajemy sobie sprawy z implikacji towarzyszących tym procesom. Tak więc dla przemysłu rozwój takich dziedzin jak wydobywanie dwóch tylko bogactw naszej ziemi — węgla kamiennego oraz miedzi, to równocześnie ogromny wzrost zużycia tak bardzo już — co chyba udowodniłem — deficytowej wody. Na każdą bowiem wydobytą na powierzchni tonę węgla kamiennego potrzeba około 1,5 m sześć. wody, w przypadku miedzi około 1 m sześć., przy czym nie są to wcale dziedziny najbardziej „spragnione”. Chemia pod tym względem jest jeszcze bardziej wymagająca, szczególnie gdy chodzi o produkcję włókien sztucznych, bez których, pozbawieni właściwych surowców naturalnych tego rodzaju, po prostu nie możemy się obejść.

Nie możemy się też obejść bez dalszej rozbudowy potencjału przemysłowego kraju, bez intensyfikacji produkcji rolnej, bo to oznacza rozwiązanie problemu wyżywienia narodu, likwidację dających o sobie

znać napięć. A wreszcie pamiętać też trzeba o procesach urbanistycznych kraju, budownictwie mieszkaniowym, gospodarce komunalnej.

Naturalnie, powinniśmy, a nawet musimy znaleźć właściwą odpowiedź na to społeczne i gospodarcze zapotrzebowanie, urastające do rangi jednej z barier dalszego postępu i rozwoju. I oczywiście program lagodzący ów wzrastający z każdym rokiem niedostatek w zaspokojeniu tego wielkiego pragnienia istnieje, jest stopniowo realizowany. Przypomnę tylko, iż opierał się on na lepszym spożytkowaniu „uciekających” nam do tej pory zasobów wodnych południowego obszaru kraju, gdzie opady są największe, w Tatrach np. przekraczają 2 tysiące mm w skali rocznej. Niestety, jak do tej pory niewielki z nich pożytek, jako że często wobec narosłej dziesiątkami lat słabości i zacofania w dziedzinie gospodarki wodnej ten okresowy nadmiar wody miast być dobrodziejstwem, niesie z sobą kłęską powodzi, przetaczając się nie uregulowaną Wisłą do Bałtyku.

Fachowcy mówią, że nadszedł już najwyższy czas byśmy się zabrali do tego problemu. I właśnie taki czas nadszedł.

Już nie widać

Pierwsze kroki zostały już podjęte. Prace nad projektem generalnego rozwiązania problemu unowocześnienia królowej polskich rzek — Wisły trwały 6 lat i nadal są jeszcze kontynuowane, wkraczając jednak w fazę rozwiązania. Wisła ma się stać rzeką w pełni technicznie przygotowaną do spożytkowania jej wód tak przez rolnictwo, gospodarke komunalną jak i przemysł, a ponadto będzie spełniała ogromną rolę jako arteria wodna transportująca ogromne masy towarów przede wszystkim węgla, tarno-brzeskiej siarki oraz cementu.

W górę rzeki sędzi będzie transport towarów importowanych do Polski przez nasze porty. Tutaj wypada powiedzieć, iż transport wodny stanowi ciągle słabą stronę naszej gospodarki, jako że ciągle niewiele ponad 4 proc. wszystkich produktów przewożymy drogami wodnymi, a więc tym najtańszym z środków lokomocji. Aby jednak mogło się to spełnić Wisła musi osiągnąć stan techniczny kwal-

Problem stworzenia z Wisły nowoczesnego szlaku transportowego, wykorzystania gospodarczego bogactwa wód prowadzonych przez tę największą polską rzekę, został włączony do portfeli zadań prowadzonych pod patronatem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ich celem było opracowanie najlepszego wariantu zagospodarowania rzeki.

fikujący ją do IV klasy międzynarodowych dróg wodnych. W tym miejscu dodam, iż na niektórych jej odcinkach poczyniono pierwsze kroki rozpoczynające proces kompleksowej regulacji.

Na górnej Wiśle powstały trzy stopnie wodne, a w trakcie budowy znajdują się następnym: „Kościuszkowski”, „Dwory”, „Smolice”. Jest to jednak ciągle jeden z etapów nadawania Wiśle nowoczesnego kształtu jako że tylko na odcinku między Krakowem i Sandomierzem ma powstać 12 takich stopni.

Najbardziej trudnym do opanowania fragmentem naszej królowej rzek jest chyba odcinek środkowy, wymaga on bowiem najbardziej technicznych, które udrożnią Wisłę w tym rejonie i opartą jej niszczycielskie kaprysy. Tutaj program przewiduje regulację rzeki za pomocą ostróg, opasek i przetamowań tzw. starorzeczy, co doprowadzi w rezultacie do koncentracji koryta Wisły i znacznego jej pogłębienia.

Rejon dolnej Wisły będzie natomiast spełniał szczególną rolę — po udoskonaleniu technicznym — w układzie energetycznym kraju. Budowa stopnia wodnego we Włocławku, a następnie uzupełnienie tej inwestycji już przecież zrealizowanej o dalsze 6 stopni pozwoli wnieść kilka wodnych elektrowni dających w razie konieczności gospodarce kraju jakieś 1600 megawatów energii elektrycznej.

Do panoramy przebudowanej Wisły trzeba jeszcze wpisać sieć nowych mostów tak, by Wisła nie dzieliła lecz łączyła zaplecze rozrzucone po jej brzegach, by intensyfikowała obszary znajdujące się pod jej wpływem rolniczo, przemysłowo.

Tak to ma być. Tak ma być Wisła za kilkanaście lat, po roku 2000. I taka będzie.

KRZYSZTOF POGORZELEC



Foto: Archiwum

EKONOMETRYCZNE — CO BY BYŁO, GDYBY...

Rozmowa z prof. dr. WŁADYSŁAWEM WELFE

Uniwersytet w Uppsali przyznał doktorat honoris causa profesorowi Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr. Władysławowi Welfe. Jest to akt kurtuazji, wynikający z szacunku dla nauki polskiej reprezentowanej przez polskiego profesora, dla jednego z działów ekonometrii, pomysłnie rozwijającej się w Instytucie Ekonometrii i Statystyki UŁ, kierowanym przez prof. Welfe. Jest to jedyna w Polsce (obok Rządowego Centrum Informatycznego) placówka, pracująca głównie nad modelami ekonometrycznymi.

Prof. W. W.: Rozumiem pod tym określeniem modele odwzorowujące zależności pomiędzy różnymi zjawiskami gospodarczymi. A to odwzorowanie następuje za pomocą układów równań.

J. U.: Mamy świeżo w pamięci zjawiska gospodarcze, jakim była podwyżka cen na napoje alkoholowe. Jaką rolę w ustaleniu takiej, a nie innej stopy wzrostu cen odegrał ekonometry?

Prof. W. W.: Wyniki ich badań miały posłużyć dla przybliżonego określenia wysokości podwyżki cen, potrzebnej dla zahamowania wzrostu spożycia napojów alkoholowych. W tym celu należało najpierw wyjaśnić, jakie związki zachodzą pomiędzy wysokością konsumpcji alkoholu a czynnikami, które wyznaczają tę wielkość. Jeżeli, dla uproszczenia, weźmiemy pod uwagę pojedyncze gospodarstwo domowe, to jest rzeczą jasną, że wysokość tego spożycia zależy m. in. od dochodów w rodzinie, przypadających na osobę, od tego, jak wysokie są ceny na różne gatunki alkoholu w relacji do cen pozostałych artykułów, a zależy też od wielu innych, trudno dających się skwantyfikować czynników, jak poziom kultury osobistej, środowisko, wykształcenie itp. Kiedy zaś mowa o gospodarce narodowej, można w zasadzie pominąć te czynniki, które indywidualizują skłonność do konsumowania alkoholu, wystarczy natomiast skupić uwagę na tych, które działają we wszystkich gospodarstwach domowych w sposób mniej lub bardziej zbliżony. I patrząc makroekonomicznie na to, co wyznacza poziom spożycia alkoholu, można powiedzieć, że głównym jego wyznacznikiem jest poziom realnych dochodów ludności. Przynosi spożycia alkoholu będzie więc zależało od szybkości wzrostu dochodów. Może być jednocześnie modyfikowany (hamowany) przez zmiany (podwyżki) cen na różne gatunki alkoholu w relacji do cen pozostałych artykułów.

J. U.: Te zależności są na ogół zrozumiałe. Wciąż niejasna natomiast jest rola ekonometrii.

Prof. W. W.: Ekonometryk stara się odpowiedzieć, jaka jest ilościowa relacja pomiędzy przyrostami spożycia alkoholu a przyrostami cen napojów alkoholowych oraz cen pozostałych dóbr konsumpcyjnych, a także zwiększone możliwości inwestowania i następuje tutaj rodzaj sprzężenia zwrotnego w modelu. Ono opisuje pewne automatycznie działające siły w gospodarce narodowej, wpisane raz w ruch decyzji centralnego planisty. Z tego punktu widzenia model stara się odwzorowywać te wszystkie wewnętrzne powiązania w gospodarce narodowej, które de facto istnieją, których istnienie musi być uznawane, akceptowane i wykorzystywane przez organa planujące.

J. U.: Jakie zastosowanie ma taki model z chwilą, gdy wszystkie te zależności zostaną empirycznie ustalone w postaci liczbowej?

Prof. W. W.: Modele takie wykorzystywane są przez naukowców po to, ażeby opisać i lepiej zrozumieć przeszłość. Ta przeszłość odnosi się do lat 10—15—20 wstecz. Historycy najnowszej historii gospodarczej zyskują w ten sposób narzędzie pozwalające dać odpowiedź na pytanie, jak inaczej mogła się bycia potoczyć przeszłość, gdyby zostały podjęte inne decyzje, albo gdyby nie zdarzyło się to, co się zdarzyło. Gdyby na przykład nie nastąpił kryzys paliwowo-energetyczny i ceny na ropę nie zostały podniesione. Daje to możliwość zbadania następstw tego wydarzenia na rozwój gospodarczy przez porównanie możliwej i faktycznej ścieżki rozwojowej.

J. U.: Czy oznacza to, że dywagacje te mają sens wyłącznie teoretyczny?

Prof. W. W.: Mają sens teoretyczny, ale mają też praktyczny, bo pozwalają uprzytomnić sobie fakt, że rozwój gospodarczy nie jest przecież zdeterminowany jednoznacznie, tylko zależy od naszych wyborów. W ich kształtowaniu największą rolę przypada kierownictwu politycznemu i gospodarczemu. Istnieją pewne alternatywy rozwojowe. A ma to chyba największe znaczenie, gdy chodzi o wykorzystanie modeli dla prognozowania oraz analiz, które się nazywa analizami symulacyjnymi dotyczącymi alternatyw perspektyw rozwojowych. Otóż przy konstruowaniu wieloletnich czy perspektywicznych planów rozwoju z reguły poprzedza się ich konstrukcję studiami, w których analizuje się alternatywy rozwojowe. Np. analizuje się możliwości rozwoju kraju przy różnych założeniach dotyczących stopy inwestycji, poczynając od założenia, że wysokość nakładów inwestycyjnych będzie bardzo wielka, podobnie jak była w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, albo jeśli będzie mała, np. stabilizacja wysokości nakładów inwestycyjnych na osiągniętym, wyjściowym poziomie. Sens takich analiz sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, z jakiego rodzaju napięciami należy się liczyć w przypadku podnoszenia stopy wzrostu inwestycji. Analizy takie, odwołane do aktualnej sytuacji gospodarczej, pozwalają dać przybliżoną odpowiedź na pytanie, jakie trudności bilansowe pojawiłyby się, gdyby bez zmian była kontynuowana polityka szybkiego wzrostu gospodarczego z początku lat siedemdziesiątych, nie zmodyfikowana przez manewr gospodarczy wprowadzony po roku 1975. Był to okres, w którym udział nakładów inwestycyjnych w dochodzie narodowym wzrósł nieproporcjonalnie. Kontynuowanie tej polityki w drugiej połowie lat siedemdziesiątych powodowałoby zapewne jeszcze większe napięcia niż te, które aktualnie przeżywamy. Zatem analiza przyszłych możliwości rozwojowych, dzięki korzystaniu z takiego modelu, może stać się pełniejsza, bo model pozwala po prostu na danie odpowiedzi na pytanie, jak kształtowałby się rozwój gospodarczy przy założeniu, że takie a nie inne warianty rozwoju zostałyby przyjęte. Można na podstawie takiego modelu analizować również ewentualne skutki zmian w handlu zagranicznym. Tu jesteśmy zależni, jeżeli chodzi o kraje kapitalistyczne, od kształtowania się koniunktury gospodarczej w tych krajach i koniunktury w handlu światowym. Znajomość odpowiedzi na pytanie, jakie skutki wywrze recesja podobna do ostatniej, ma, jak sądzę, kapitalne znaczenie. Na początku lat siedemdziesiątych nie liczyliśmy się poważnie z tak głęboką recesją w świecie kapitalistycznym i nie przewidywaliśmy napięć, jakie w naszym bilansie płatniczym ten fakt wywoła: zahamowanie możliwości ekspansji eksportu itd. Tak więc przy pomocy modelu można symulować przebieg tego rodzaju zdarzeń, przyjmując, jak to się zwykle mówi, alternatywne scenariusze rozwoju.

J. U.: To znaczy, że na początku lat siedemdziesiątych model gospodarki narodowej nie stanowił narzędzia planowania gospodarczego. Czy obecnie sprawa na tyle dojrzała, że przed nakreśleniem planów dokonuje się analiz symulacyjnych w oparciu o modele opracowane w Instytucie Ekonometrii i Statystyki?

Prof. W. W.: Te możliwości właśnie się studiują w ramach Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Mogę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością, bo przed tygodniem mieliśmy seminarium w Instytucie Planowania, na którym zapadły pewne decyzje dotyczące gotowości wypróbowania naszego modelu w pracach planistycznych dotyczących najbliższej pięcioletki. Ewentualne wykorzystanie modelu w pracach, jak to się czasem nazywa „przedplanowych” albo „analizacyjnych”, polegałoby mniej więcej

na tym, że byłby on stosowany przy analizie założeń wstępnych wariantów rozwojowych dotyczących przyszłego planu pięcioletniego, obejmujących alternatywy rozwoju, składające się na pewne scenariusze rozwoju. Alternatywy te mogą dotyczyć albo polityki inwestycyjnej, albo polityki w handlu zagranicznym, albo polityki płacowej, albo polityki związanej z szybkością wdrożeń i innowacji itd. Do czego może być użyteczny model? — Do tego, że przyjmując za punkt wyjścia owe potencjalne wielkości nakładów inwestycyjnych, możliwe zmiany w handlu zagranicznym, czy, jak to technicznie mówimy, możliwe zmiany w wartościach egzogenicznych, nie należących do modelowanego układu, pozwala on studiować następstwa tych zmian (decyzji). Przez owe następstwa rozumie się szybkość, z jaką się zwiększy dochód narodowy (przy różnych wariantach polityki inwestycyjnej), tempo wzrostu konsumpcji różnych dóbr i usług, przy różnych wariantach rozwojowych. Ważna jest także odpowiedź na pytanie, czy wystąpią ewentualne napięcia na rynku dóbr konsumpcyjnych, pogłębia się lub zmniejsza, jakie będą skutki tych decyzji, jeśli idzie o predkość wzrostu dochodów osobistych ludności, jakie będą ich następstwa, gdy chodzi o inwestowanie w kulturę, w naukę. To są dziedziny bardzo wrażliwe na zmiany w polityce inwestycyjnej: przez długi czas nie były one priorytetowe. Tak więc użyteczność modeli, możliwość praktycznego ich wykorzystania w pracach planistycznych jest aktualnie studiowana, zwłaszcza jeśli chodzi o model W-3, ale również W-2.

J. U.: Skoro już znamy przedmiot badań Pana Profesora i kierowanego przez Pana Instytutu, możemy już mówić o kontaktach międzynarodowych w tej dziedzinie. Kontakty ze Szwecją muszą być szczególnie bliskie lub specjalnie owocne, jeśli Uniwersytet w Uppsali tak wysoko ceni sobie współpracę z Panem.

Prof. W. W.: Moja i Instytutu współpraca z tym uniwersytem datuje się od lat ponad pięć, a wiąże się właśnie z naszym podstawowym tematem: modelowanie gospodarki narodowej. Liczbowe przedstawienie związków pomiędzy różnymi zjawiskami gospodarczymi, o czym mówiliśmy, wymaga konstruowania układów równań liczących od kilkudziesięciu do kilku tysięcy, a następnie szacowania parametrów tych równań na podstawie danych statystycznych, weryfikacji, prognozowania itd. Łącząc się z tym najrozmaitsze problemy natury statystycznej, numerycznej i organizacyjnej, m. in. związane z korzystaniem z dużych komputerów. W tej dziedzinie, że tak powiem, technologii liczenia i wykorzystania modeli dość szczególne miejsce zajmuje Instytut Statystyki w Uppsali z dwoma wybitnymi uczonymi o nazwiskach światowych, mianowicie: prof. Hermanem Woldem i prof. Einar Lyttkens. Powstała tam nowa klasa metod szacowania modeli o równaniach współzależnych, mianowicie metod iteracyjnych. Herman Wold jest autorem klasy metod estymacji zwanych metodami „stałego punktu” (fixed point), a Lyttkens autorem klasy metod opartych na tzw. „zmiennych instrumentalnych”. Młodzi naukowcy szwedzcy z Uppsali, współpracujący z tymi uczonymi, rozwinięli powyższe metody, opracowali programy na maszyny cyfrowe. Nasz ośrodek z kolei zainteresowany w modelowaniu gospodarki narodowej Polski, poszukiwał w literaturze światowej tych metod, które byłyby możliwe proste, skuteczne, gwarantujące wystarczającą precyzję, a zarazem takie, dla których istniałyby programy na maszyny cyfrowe i tak weszliśmy w kontakt z ośrodkiem w Uppsali i rozwinięła się na tym tle efektywna współpraca. Polega ona na tym, że z naszej inspiracji prof. Lyttkens i dr Bergstroem rozwinięli niektóre z tych metod, oprogramowali je na tamtejszych komputerach typu IBM, a my od roku przeprowadzamy obliczenia w tym Instytucie. W zeszłym roku szacowaliśmy parametry modelu W-3 wariant 77, aktualnie kończymy liczenie wariantu 78 tegoż modelu W-3. Także współpracę ma charakter autentycznie naukowej o korzyściach dwustronnych. Do tego dodać może należy, że towarzyszy jej wymiana poglądów przybierająca formę wykładów i seminariów. Dwa takie seminaria prowadził w Uppsali w latach 1976 i 1977 dla Instytutu Statystyki, jego

współpracowników i słuchaczy; w roku 1976 było to podczas mej bytności w Sztokholmie, gdzie przez 6 tygodni prowadziłem wykłady na studiach doktoranckich w tamtejszej Wyższej Szkole Ekonomicznej. Przy okazji bywałem w Uppsali i tam poza rozmowami typu konsultacyjnego miałem dwa seminaria poświęcone charakterystyce struktury polskich modeli gospodarki narodowej i dyskusji dotyczącej problemów, jakie na tle ich budowy wynikają. Z kolei gościłem u siebie na konferencjach, które organizujemy rokrocznie w grudniu, poświęconych tej problematyce, zarówno profesora Lyttkensa, jak i dr Bergstroema, który nie tak dawno temu przyjechał do nas, między innymi, by zweryfikować sposób wykorzystania jego programów. Jest to więc współpraca bardzo autentyczna, w której naszą zasługą było (to jest punkt widzenia naszych kolegów szwedzkich), że metody, które do tej pory oni niejako oferowali światu, zostały po raz pierwszy przez nas — przy konstrukcji dużego modelu — wykorzystane, przez co uzyskali możliwość ich weryfikacji.

J. U.: Czy można rozumieć, że modele wczesniejsze W-1 i W-2 były opracowane samodzielnie przez nasz Instytut, a przy opracowaniu modelu W-3 posłużono się metodami szwedzkimi?

Prof. W. W.: Niezupełnie. Kiedy chodzi o budowę modelu, należy rozróżnić dwie płaszczyzny. Jedną — to jego struktura ekonomiczna, sposób, w jaki ona odwzorowuje prawidłowości występujące w gospodarce narodowej i to jest — że tak powiem — nasza wewnętrzna sprawa. Natomiast równania tego modelu mogą być szacowane na podstawie danych statystycznych przy użyciu metod ekonometrycznych czy ekonomiczno-statystycznych, które to metody są stale rozwijane w nauce światowej. Nasze pierwsze wersje były liczone przy użyciu metod standardowych — zwykłej metody „najmniejszych kwadratów” i tzw. „podwójnej metody najmniejszych kwadratów”. Stosowanie tej ostatniej, poprawnej teoretycznie metody ma jednak tę wadę, że w miarę rozrastania się wielkości modelu, liczby równań, coraz trudniej jest ją wykorzystywać. Natomiast niektóre z metod iteracyjnych, rozwiniętych w Uppsali, ze względu na swe właściwości mogą być stosowane właściwie do modeli dowolnej wielkości.

J. U.: Ten podział ja rozumiem w ten sposób, że jest pewna sfera spraw ekonomiczno-społecznych specyficznie polskich i jest pewna sfera dociekań metodologicznych, matematyczno-numerycznych, mających znaczenie ogólnoświatowe, czy tak?

Prof. W. W.: Tak. I w tej dziedzinie, narządowej dokonał się ogromny postęp na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Szkoła szwedzka ma w tej dziedzinie szczególną zasługę, ponieważ tam została rozwinięta specjalna klasa iteracyjnych metod, a myśmy byli pierwsi, którzy ją wykorzystali w tak dużej skali.

J. U.: Domyślam się, że Szwedzi to uznali za tytuł uznania i wdzięczności dla Pana Rektora i Instytutu, a miarą tego uznania i tej wdzięczności jest przyznanie Panu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu w Uppsali.

Prof. W. W.: Muszę dodać, że występując tam jako prorektor Uniwersytetu Łódzkiego do spraw współpracy z zagranicą, podejmowałem od dwóch lat próby zmierzające do tego, żeby współpracę z Uniwersytem w Uppsali rozszerzyć też na inne dziedziny i w rezultacie doprowadzić do zawarcia formalnego układu o współpracy. W szczególności takie związki od dawna istniejące, aczkolwiek z różną intensywnością kultywowane występują w dziedzinie geografii, zwłaszcza geografii fizycznej. Prof. Jan Dylik w swoim czasie wykładał w Uppsali. Mają dobre kontakty nasi etnografowie i archeolodzy. A także specjaljaliści w zakresie literatury polskiej. Mianowicie nasz Instytut Filologii Polskiej ma kontakty z emerytowanym obecnie profesorem literatury polskiej w Uniwersytecie w Uppsali, Józefem Trypućko. Tak więc, jak to oficjalnie zakomunikowano, drugim tytułem do wyróżnienia mnie były wysiłki na polu rozwijania współpracy międzynarodowej, w szczególności z Uniwersytem w Uppsali.

Udział nauki polskiej w rewolucji naukowo-technicznej, odbywającej się w całym świecie, widoczny jest w wielu dziedzinach. Wysoce cenimy sobie osiągnięcia techniczne, opracowania nowych technologii, a jak widać z powyższego wywiadu, droga do uporządkowania tej dziedziny zagmatwanych spraw gospodarczych świata wiedzę również przez naukę. Można być dumni, że udział naszej uczelni jest w tych wysiłkach znaczny.

Rozmawiał: JERZY URBANKIEWICZ



Foto: Tadeusz Krzemieński

JERZY WILMAŃSKI

BĄDŹMY W KRAKOWIE

Na początku roku — na długo przed znakomitą artykułem Kazimierza Koźniewskiego „Kraków — Narodu obowiązek” („Polityka” nr 18), niepokoiłem się w felietonie „Jesteśmy w Krakowie” („Odgłosy” nr 7) o stan zabytków Krakowa. Był to niepokój, oparty na autopsji — nie badałem tej sprawy.

Teraz uczuć, jakie mam w tej kwestii, nie mógłbym nazwać tylko niepokojem. Koźniewski dał nam szeroką, rzetelną informację. Listy do „Polityki”, jakie się po owej publikacji posypały — również.

Nie będę powtarzał, czym dla Polaków jest to miasto, jego mury, tradycje i rola w świadomości patriotycznej. „Wiele o Krakowie można myśleć, więcej należy mówić i pisać. Jeszcze więcej winno się dla niego czynić” — napisał prof. Władysław Serczyk — dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej.

I oto w najnowszym wydaniu „Expressu reporterów” (KAW) Małgorzata Szejnert odkrywa nowe karty tej ważnej sprawy. Dowiadujemy się na przykład, że „krakowskie powietrze niszczy kamień z całą bezwzględnością” i, że „fluor rozpuszcza szkło”. Metafizyka?

Nie, ludzie. Huty w Skawinie i Mogile emitują właśnie fluor. Ludzie natomiast wydają decyzje na... przebudowę już odrestaurowanych obiektów. Właśnie — ludzie i urzędy. Na pytanie dziennikarki, jak długo

trwać będzie ratowanie Krakowa, dyr. Wojnarowski z Zarządu Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych odpowiada:

— „Powiedzmy, pięćdziesiąt lat. Gdyby w Krakowie były dwa takie zarządy, jak nasz, to by robiły to samo... osiemdziesiąt lat. A gdybyśmy mieli zarząd, a nie mieli Urzędu Dzielnicowego, to byśmy robili, powiedzmy... trzydzieści lat... a gdybyśmy... Dyrektor milknie i zamyśla się jeszcze bardziej”. Koniec cytatu.

I tą metodą na Kanonicznej w odrestaurowanym budynku będzie knajpa z muzyką, więc trzeba burzyć to, co za miliony złotych już zrobione, aby dobudować sanitariaty, zamurować arkady (potrzebne zaplecze) i wyburzyć kręte schody... Trwa więc wojna podjazdowa i wygraya ten, kto ma lepszych protektorów...

Brak też fachowców — sztukatorów, murarzy, konserwatorów. Dyr. Wojnarowski potwierdza, że najlepsi konserwatorzy kamienia z Krakowa pracują na delegacjach. W Warszawie na Zamku Królewskim i gdzie indziej... Za granicą także. W Bremie na przykład (RFN, jakby kto nie wiedział) krakowscy specjaliści restaurować będą uliczne domy — coś w rodzaju Disneylandu. Na tej uliczce zabytkowy naprawdę jest... jeden dom.

A w ogóle krakowski oddział Pracowni Konserwacji Zabytków nie obsługuje wyłącznie Krakowa. Musi także pracować na rzecz województw: katowickiego, bielskiego, częstochowskiego, tarnowskiego, nowosądeckiego i jeszcze w paru miejscach w kraju i za granicą.

Nie za dużo trochę? Kraków jest miastem trudnym dla zabytków — to prawda. — Sam już dawno zwróciłem uwagę, że jest to

miasto bardzo deszczowe. Znow metafizyka?

Nie, chemia. Specjalista powie: „Jedną z metod przyspieszenia deszczu jest rozsiwanie w powietrzu substancji pylistych”.

A tu jeszcze fachowcy mówią o „podtapianiu Krakowa” w związku ze spiętrzeniem Wisły w Dąbju. Podniósł się poziom wód gruntowych i wilgoć zagraża zabytkom od dołu... Więc trzeba o Krakowie mówić i pisać — trzeba się o Kraków niepokoić. Małgorzata Szejnert, która wyzwołała znow we mnie ten krakowski temat, napisała bardzo pięknie i mądrze: „Czy można wyobrazić sobie Polskę bez Nowej Huty? Strach pomyśleć, ale jednak można. Polska bez Wawelu — to już by nie był ten kraj”.

No, właśnie. Przy wejściu na Wawel od strony ulicy Podzamcze, w murze widnieją granitowe cegielki sprzed lat kilkudziesięciu. Trwały dowód społecznej akcji odbudowy Wawelu. Może by warto dziś przypomnieć tamtą akcję?

Powie ktoś — „jeszcze jedna społeczna akcja budowy!” Ale — przeczam — tak na dobrą sprawę, to kto ma się o to martwić, jak nie społeczeństwo. Na metafizykę nie liczyć!

Wawel rocznie zwiedza dwa — a może więcej — miliony turystów. I to bardzo dobrze, ale, by Wawel wytrzymał to tempo i to deptanie, trzeba by — ja wiem? — może stu milionów złotych.

Nie będą to pieniądze wyrzucone. Wawel jest symbolem Polski Piastów — Polski rozwijającej się — i Polski Jagiellonów — potęg królewskiej i państwowej. Wawel jest sanktuarium narodowym i droga jest tu każda cegła i każdy kamień.

Zaledwie siedemdziesiąt trzy lata temu — w 1905 r. — opuścili Wawel Austriacy, którzy ze złośliwą perfidią umieścili tu swoje koszary wojskowe. Ta słynąca z nędzy Galicja wybudować musiała Austriakom za miastem nowe koszary, co kosztowało miliony koron. Ale taka była cena odzyskania Wawelu i biedna Galicja tę cenę zapłaciła.

Hitlerowcy zrobili z Wawelu, z tą samą złośliwą perfidią, rezydencję swojego gubernatora. W Sali Senatorskiej zainstalowali kino, a w komnatach Kazimierza Wielkiego i królowej Jadwigi — piwiarnię.

Przed paroma laty Jan Adameczewski opublikował ciekawą i wyjątkowo ładnie wydaną (chwała „Interpressowi”) — książkę — przewodnik „Jesteśmy w Krakowie”. Jest to tytuł idealny dla bedekera, ale przecież w tym wypadku chodzi o coś więcej...

Jesteśmy w Krakowie całą naszą polską tradycją i kulturą, jesteśmy naszym sercem, naszą pamięcią narodową, jesteśmy, bo bez Krakowa nie byłibyśmy tym narodem. Ale, zebysmy i za sto lat mogli powiedzieć „jesteśmy w Krakowie” — trzeba dla tego miasta, dla jego zabytkowej struktury, zrobić nieco więcej niż dotąd. Dlatego zatytułowałem ten artykuł „Bądźmy w Krakowie”. Bardziej obecnie, niż dotąd.

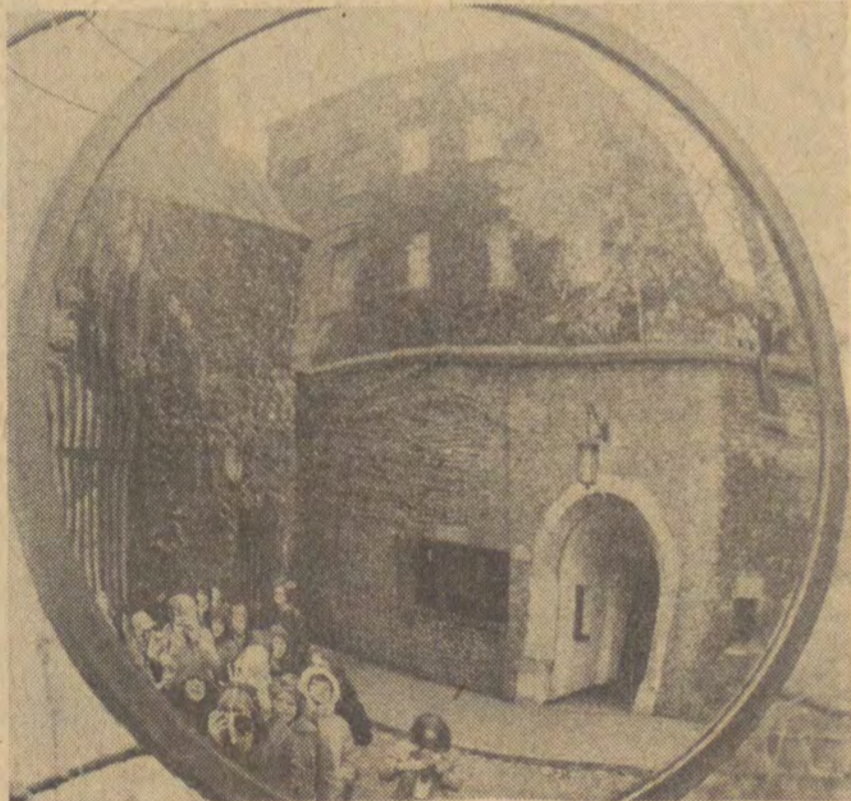


Foto: Włodzimierz Parys

IRENA PASZYN

MIASTO ZABYTEKÓW

Od przeszło trzydziestu lat porządkuje się stara Łódź. Wokół starej Łodzi buduje się nowe: fabryki, bloki mieszkalne, domy towarowe, kina, teatry, stadiony sportowe, parki; wszystko to, czego potrzeba do życia w nowych warunkach społecznych. W wyniku tych przemian okazało się, że stara Łódź, otoczona wielkimi, nowoczesnymi dzielnicami, postarzała się wprawdzie jeszcze bardziej, ale jednocześnie wyszlachetniała i wypiękniła.

Okazało się, że miasto posiada zabytki, jakich niewiele na świecie. Sam układ urbanistyczny miasta, inspirowany przez Stanisława Staszica, zrealizowany w okresie Królestwa Polskiego według świetnie zakrojonego planu, jest swoistym fenomenem: wzorowa osada włókiennicza epoki rodzącego się kapitalizmu i masowej migracji ludności wiejskiej do miast. W strukturze miejskiej do dzisiaj wyraźnie rysują się fazy owej ewolucji, zachowane pierwsze domy rzemieślnicze, parterowe, kryte gontem, łączące część mieszkalną i warsztat pod jednym dachem, piękne, jednopiętrowe kamienice w stylu klasycystycznym, tak typowe dla Królestwa. W okresie narastającego kapitalizmu, po powstaniu listopadowym, wyrosła wielka zabudowa przemysłowa i handlowa, związana z nowym osadnictwem i ożywieniem stonków produkcyjno-handlowych.

W ostatnich trzech dziesiętniach lat XIX w nastąpiły czasy wielkiej prosperity kapitalizmu. Wzbogaceni przemysłowcy łódzcy dali upust swoim ambicjom w niesłychanym rozmachu budownictwa. Wybudowano wtedy nie tylko nowe fabryki w stylach historycznych: neoromańskim, neogotyckim i neorenesansowym, ale obok nich powstały okazałe pałace „królów bawelny”, gmachy użyteczności publicznej, kościoły, cerkwie i synagogi, a także świetne budowle mieszczanskie w stylu secesji.

Architektura Łodzi przemysłowej była kreacją dynamiczną, żywiołową, wynikającą z potężnych przeciwieństw, narodzin przeciwstawnych sobie klas, chęci władania i ostentacji, ujarzmiania ludzi i wyduszenia zysków. Była też kreacją pełną zaskakujących paradoksów i pomieszczenia pojęć. W próbach tworzenia wzorowych osiedli robotniczych, czego Księża Młyn jest najwybitniejszym przykładem, kolatały echa socjalizmu utopijnego i jego falansterów, lecz już pojawiły się przebliski rewolucji XX wieku. Ale w gruncie rzeczy nad całą drugą połowę XIX wieku ciążył tradycjonalizm historyczny i eklektyzm architektoniczny. Chylna czoła przed sztuką dawnych i nie potrafiono uwolnić się od fascynacji osiągnięciami przeszłości.

Kierunek lansowany przez ówczesnych teoretyków i twórców zgodny był zresztą z gustem fundatorów, którzy znaczną część swego czasu trwonili w podróży i zazdrośnym wzrokiem wzbogaconych perwenisów spojowali na historyczne pałace królów i ksiąząt. A wracając do Łodzi, realizację swych zachętek i kaprysów powierzali zdolnym, na szczęście, architektom miejscowym. Wśród nich pierwsze miejsce należy się Hilaremu Majewskiemu (1831—1892), autorowi ponad 500 projektów. Obok niego działali w tym czasie Franciszek Chelmiński, Adolf Zeligson, Piotr Brukalski i inni. Wszyscy oni odebrali znakomite, akademickie wykształcenie, gdyż studiowali przeważnie we Włoszech, Francji, Niemczech i Rosji, a czołowe pomniki dawnej architektury znali z autopsji.

Architekci ci, otrzymując zlecenia i pieniądze na ich realizację, wykorzystywali swą głęboką wiedzę i doświadczenie, ale też i swobodną fantazję, ponad wszystko wykazali niebywałą wirtuozerię w operowaniu materiałem i formą, a szczególnie w swobodnym, nieczym nieskropowanym doborze motywów. Mury i bramy fabryk przybierały kształty średniowiecznych obwarowań, jakich nie powstydziliby się Carcassone. Wieże przemysłowe i strażackie wznosiły się jak danjony prowansalskich zamków, przedalnie bawelny przypominały pałace królów sasanidzkich, fabryczne podwórza w kolumnach i perforowanych żeliwnych arkadach imitowały dziedzińce Alhambry w Grenadzie. Kory z ateńskiej Akropolii podtrzymywały architrawy i przyściółki nad balkonami rezydencji fabrykantów, a majestatyczne, jakby Fidiaszowe, figury, alegorie przemysłu i handlu, w antycznych szatach, z właściwymi atrybutami, rozsiadły się na dachach, wieszcząc nową potęgę maszyn i pieniądza. Na fasadach pałaców pojawiały się, jak przed wiekami, głowy lwów i głowy cesarzy, a obok nich figury trzymaczy herbów, z tarczami pustymi lub z tarczami herbów nie istniejących. Portale i kraty otaczające te budynki niewiele były gorsze od tych, jakie się widzi w rezydencjach króla Stanisława Leszczyńskiego w Lotaryngii. Setki kamienic wzbogaconego łódzkiego mieszczaństwa z drugiej połowy XIX wieku reprezentuje ten właśnie zamkowo-palacowy styl, oparty głównie na motywach gotyckich, renesansowych i manierystycznych. Niekiedy pojawiają się na nich kopuły według nieśmiertelnego wzoru, jaki dał Brunelleschi we florenckiej katedrze. Łuki załamane i obłe występują obok łuków „oślich”, jak u Tudorów, wykusze, mansardy i lukarny rodem z zamków nad Loarą, a wszędzie roi się od girland z owoców i kwiatów, dekoracyjnych waz i kandelabrow, kolumn-kariatyd i hermowych pilastrów, amorków i atlantów, maskaronów i rogów obfitości, wstęg, esownic, jajowników i stylizowanych muszli. Architektura stała się żywa, rozgadana i interesująca. Pod koniec wieku do Łodzi zawitała secesja i rozkwitła tu w sposób niebywały, jakby wyrosła z tamtych eklektycznych form, ale zrywająca z historyzmem, proponująca nową estetykę, opartą na motywach świata organicznego, ze szczególnym upodobaniem do form roślinnych i owadzieh.

Szczęśliwym zrządzeniem losu ocalały też wnętrza niektórych łódzkich pałaców fabrykanckich i kamienic mieszczańskich, w całości, z pełnym, niesłychanym wyposażeniem, będącym dobitnym wyrazem gustów epoki i do wódem wysokiego poziomu ówczesnej sztuki użytkowej, a przede wszystkim sztuki dekoracyjnej. Zachowały się meble, obrazy, boazerie, kominki, kraty, witraże, karnisze i portiere, setki i tysiące drobnych obiektów.

Przez długie lata pogardzana i zaniebywana architektura łódzka stopniowo doznawała rehabilitacji. Łódzianie, którzy najwcześniej zrozumieli wartość własnej sztuki, już we wczesnych latach sześćdziesiątych rozpoczęli tworzenie programu ochrony konserwatorskiej, czemu patronowały przychylne tej sprawie władze miejskie. Wynikiem tych poczynań było stworzenie nowego spisu zabytków architektury i budownictwa. Opracowano również studium historyczno-urbanistyczne miasta. Szczególną rolę odegrali w tym procesie historycy sztuki i konserwatorzy. Wielkie są w tej mierze zasługi Muzeum Historii w Łodzi, w którym zainteresowania omawianą epoką miały w Polsce charakter pionierski.

W licznych artykułach i książkach wybitny historyk sztuki związany z miastem, nie żyjący już dzisiaj prof. Mieczysław Wallis, przeprowadzał naukowy dowód wartości i piękna sztuki drugiej połowy XIX wieku i sztuki secesyjnej, wielokrotnie przytaczając przykłady zabytków łódzkich. W roku 1971 odbyła się w Łodzi ogólnopolska sesja naukowa Stowarzyszenia Historyków Sztuki, poświęcona drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Plony tej niezwykle udanej sesji opublikowane zostały drukiem. Nowe światło na tę epokę polskiej sztuki rzuciły też prace Ireny Popławskiej i Antoniego Szrama. Niedawno temu ukazał się znakomity album „Architektura Łodzi przemysłowej” w opracowaniu wspomnianego Antoniego Szrama z wyborem znakomitych fotografii Andrzeja Wacha. Artystyczna wizja Łodzi z drugiej połowy XIX w. dał w swym filmie „Ziemia obiecana” Andrzej Wajda, zyskując ogromne powodzenie w kraju i za granicą.

Rehabilitacja i odkrywanie wartości kulturowych związane są nieodłącznie z koniecznością ich zachowania i konserwacji. Od dłuższego czasu działali w Łodzi i województwie łódzkim pracownie konserwacji zabytków. Działali na zasadzie filialnej. 1 lipca 1978 roku otworzono w Łodzi samodzielny oddział tego zasłużonego i doświadczonego przedsiębiorstwa państwowego. Należy żywić nadzieje, że zabytkowa Łódź uzyska w ten sposób stałą opiekę i wykonawcę niezbędnych prac konserwatorskich i renowacyjnych.



Foto: Włodzimierz Parys

PAWEŁ TOMASZEWSKI

CZEKAJĄC NA METRO

23 grudnia 1978 roku minie 80 lat od chwili, gdy na łódzkich ulicach pojawił się pierwszy elektryczny tramwaj.

1

Początki były skromne — w pierwszym roku swego kursowania łódzkie tramwaje przewoziły 7,2 mln pasażerów na liniach o łącznej długości 10,3 km. Nie było to dużo, zwłaszcza w miarę upływu czasu, gdyż do połowy ubiegłego wieku już pół miliona mieszkańców. Ale komunikacja miejska rozwijała się szybko. W roku 1919 w Łodzi było już 24,5 km torów tramwajowych, po których jeździ 110 wagonów silnikowych i 77 przyczep, przewożąc rocznie ponad 35 mln osób. W 10 lat później zarówno długość tras, jak i liczba pasażerów ulegała podwojeniu. Gorzej z taborem Edward Rosset — naczelnik Wydziału Statystycznego Magistratu w Łodzi pisał w połowie lat trzydziestych:

„Wobec wzmagania się ruchu pasażerskiego dyrekcja Kolei Elektrycznej Łódzkiej zaczęła wprowadzać nowe wagony tramwajowe, znacznie obszerniejsze i wygodniejsze niż dawne wagony. W dalszym ciągu jednak istnieje głód wagonów, czego dowodem jest przepelnienie tramwajów, zwłaszcza w porze rannej i przedwieczornej”.

Poranne i popołudniowe szczyty

przewozowe nie są wcale zjawiskiem, które pojawiło się dopiero w naszych czasach. Towarzyszyły one łódzkiej komunikacji niemal od pierwszego dnia. Ale też zmieniła się skala tych trudności, bowiem pod koniec dwudziestolecia międzywojennego roczne przewozy wynosiły 87 mln pasażerów, a obecnie ok. 800 mln. W tym samym czasie średnia długość podróży z 2,8 km wzrosła do 5,8 km, a jak przewidują specjaliści — tendencja ta utrzymać się będzie nadal i już niedługo podróże będziemy średnio po 7 km.

Zaczął się od tramwaju i w dalszym ciągu tramwaje stanowią podstawę komunikacji w mieście, realizując obecnie ok. 70 procent wszystkich przewozów. Smiało można też powiedzieć, że Łódź jest jednym z najbardziej „tramwajowych” miast świata z ilością taboru, która daje nam 12 miejsce. Cóż jednak z tego, skoro warunki kursowania tramwajów są u nas o wiele gorsze niż gdzie indziej. Większość tras przebiega przez ciasno zabudowane śródmieście, co przy utrzymującym się wysokim tempie rozwoju motoryzacji stwarza poważne trudności w ruchu. W zajezdniach tramwajowych, które w większości mają tyle samo lat, co nasz wiek, brakuje dziś ok. 150 miejsc postojowych, nie mówiąc już o fatalnych warunkach: ciasnocie, braku odpowiednio przygotowanego zaplecza technicznego, myjni,

itd. Nie koniec na tym. Ilość wagonów przypadających na kilometr trasy wynosi w Łodzi 2,9, podczas gdy w Wiedniu, który posiada najliczniejszy tabor — 5,6, w Pradze — 4, w Moskwie — 3,6, w Mediolanie — 3,4. Inny wskaźnik, obrazujący liczbę pasażerów na kilometr trasy tramwajowej dziennie, stawia nasze miasto na zdecydowanie pierwszym miejscu w świecie.

2

Niemal równoległe z miejską komunikacją tramwajową rozwija się komunikacja podmiejska. W 1899 roku powstaje „Towarzystwo Kolei Dojazdowych” przemianowane później na „Łódzkie Wąskotorowe Elektryczne Koleje Dojazdowe”. Jego założyciele i akcjonariusze w mig pojęli, że połączenia tramwajowe Łodzi z innymi, pobliskimi miastami aglomeracji łódzkiej są bardzo potrzebne i mogą przynieść spore dochody. W kwietniu 1900 roku zaczęto kłaść tor do Zgierza i Pabianic. W 10 miesięcy później ruszyły po nich pierwsze tramwaje. W 1910 roku uruchomiono dwie następne linie podmiejskie: do Aleksandrowa i Konstanczyna, w roku 1916 — linię biegnącą przez Rzgów i Tuszyń do Kruszewa. W następnych latach przedłużono linię konstanczynską do Lutomska, a zgierską do Ozorkowa, planowano też „puszczenie” tramwajów do Brzezina, a nawet do Tomaszowa i Piotrkowa.

Spora grupa pracowników łódzkich fabryk zawsze mieszkała poza granicami Łodzi i tramwaje umożliwiały im w miarę szybki i bezpośredni dojazd do miejsca pracy, nie więc dziwnego, że LWEKD z roku na rok notowały coraz większy ruch na trasach podmiejskich. W roku 1936 przewoziły one ponad 15 mln pasażerów, dysponując 52 wagonami silnikowymi i 70 doczepnymi. Przy okazji warto też przypomnieć, że początkowo na trasie do Tuszyna i Ozorkowa wagony siahone były przez parowozy, a elektryfikacji linii dokonano w latach 1926—27.

Po wojnie, w 1948 roku, nastąpiło połączenie działających dotąd oddzielnie Kolei Elektrycznej Łódzkiej i Łódzkich Wąskotorowych Elektrycznych Kolei Dojazdowych w jedno państwowe przedsiębiorstwo: Miejskie Zakłady Komunikacyjne, które przemianowano potem na Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne.

Obecnie MPK dysponuje 42 liniami tramwajowymi dziennymi i 70 liniami autobusowymi o łącznej długości przekraczającej tysiąc kilometrów. Po 171 km torów tramwajowych województwa łódzkiego kursuje ponad 800 wagonów tramwajowych. Autobusów posiadamy 600.

3

Pierwszy w świecie konny tramwaj pojawił się w Nowym Jorku w roku 1832. Łódź tramwajów konnych nie widziała nigdy. Dziś w Nowym Jorku zapomniano już jak wygląda tramwaj, gdy tymczasem u nas przeżywa on swą drugą młodość. Wystarczy tylko spojrzeć na kursujące na linii „11” nowoczesne wagony typu 805N rodem z chorowskiego „Konstalu”. Ich widok niewątpliwie cieszy, ale z drugiej strony pamiętajmy, że mamy tych wagonów zaledwie 25, natomiast ponad 650 z ogólnej ilości, to wagony stare. Nie jest więc to wcale najśladza młodość!

Podobnie rzecz się ma z autobusami, z których 30 procent przejechało już więcej niż 400 tys. km. Teoretycznie wozy te powinny być wycofane, ale nikt nie dostawia nowych powodują, że przeprowadza się kapitalne remonty i „puszcza” na miasto. No właśnie, te części zamienne... Ciągle ich nam brakuje, gdy przyjdą jedne, a inne nie można się doprosić.

Jeżdżą po Łodzi autobusy, do których brakuje części zamiennych. Zmusza to MPK do produkcji w warsztatach części, ale i tutaj są bariery, których pokonać się nie da nawet przy największej ofiarności i zaangażowaniu załogi. Gorzej z oponami. MPK brakuje około tysiąca opon. Znaczny procent autobusów jeździ na „łysych kapciach”, a tego problemu już z pewnością nie da się załatwić na własnym podwórku. Zdarza się, że gdy na przykład wóz ma awarię silnika i przez kilka dni stoi w warsztacie, zdejmując się koła, by inne wozy mogły na nich wyjechać na trasę.

4

Jeśli porównamy dane o ludności największych miast europejskich w latach 1800—1910, to przekonamy się, że w czasie tym ludność Lipska wzrosła 20-krotnie, Budapesztu — 16-krotnie, Berlina — 12-krotnie, Brukseli, Glasgow i Kolonii — 10-krotnie, pozostałych zaś miast liczących z początkiem naszego wieku ponad pół miliona — mniej niż 10-krotnie, gdy tymczasem Łódź — prawie 600-krotnie.

Kolejny rekord, który trudno uważać za powód do dumy, bowiem w mieście rozwijającym się w tak szalonym tempie, szybko powinna była rozwijać się komunikacja. Stało się

inaczej. Dlatego dziś tramwaje i autobusy z trudem przeciskają się przez „wąskie gardła” ulic: Zwirki, Zielonej — Narutowicza, A. Struga i innych. Całe szczęście, że udało nam się poważnie ograniczyć ruch na Piotrkowskiej. W 1939 roku na 17 czynnych linii tramwajowych tylko jedna nie biegła choćby jej kawałkiem.

Inny, choć płynący z tego samego źródła problem: łódzka obwodnica kolejowa — mimo że nie „domknięta” od północy, to jednak nie pozwalająca zaczerpnąć świeżego oddechu naszej komunikacji, niczym pęta na szyi skazańca. Jeżeli bowiem nie przedłużono jeszcze dotąd linii tramwajowej na rosnący w oczach Widzew-Wschód, to między innymi właśnie dlatego, że trzeba najpierw wybudować wiadukty na przecięciu z torami kolejowymi. To zaś jest przedsięwzięciem pracochłonnym i co tu dużo mówić — kosztownym. Oczywiście planuje się wybudowanie szeregu wiaduktów na przecięciu z torami kolei obwodowej, niektóre już zaczęto, ale nim przyczyni się to zdecydowanie do poprawy stanu komunikacji, upłynie jeszcze sporo czasu.

5

Co robi się, aby ją usprawnić?

Postanowiono rozprawić się z tłokiem w godzinach porannego szczytu, który u nas przypada na godziny 7—8. Obliczono na podstawie sprzedaży biletów miesięcznych, że tylko w ciągu kwadransa między 7,45 a 8 usiłuje dostać się (i nie spóźnić) do pracy prawie 70 tys. łódzian, natomiast po godzinie 8 liczba pasażerów spada do... 5 tys. Po przeanalizowaniu wszystkich danych przez komputer w Zakładzie Ekonomiki i Informatyki Gospodarki Komunalnej, zdecydowano, że trzeba nieznacznie przesunąć godziny rozpoczęcia pracy w 522 łódzkich przedsiębiorstwach, by tłok w środkach komunikacji miejskiej spadł o 40 procent. Z dniem 1 listopada 1977 roku przystąpiono do realizacji tego programu, ale wnet okazało się, iż wiele zakładów pracy zgłosiło odwołania — mniej lub bardziej uzasadnione. A efekty? Specjaliści od komunikacji twierdzą, że jest teraz trochę luźniej, natomiast podróżni — że to jeszcze nie to.

Innym ciekawym posunięciem miało być uczynienie z autobusów pośpiesznych z nazwy, pośpiesznych — w rzeczywistości. Tak się bowiem składa, że autobusy oznaczone czerwonymi literkami różnią się od pozostałych jedynie nazwą i ceną biletu. Rozpatrywano zatem możliwość likwidacji niektórych przystanków na trasie autobusów pośpiesznych, które miały tym sposobem uzyskać miano międzyosiedlowych, gdyż łączyłyby z sobą poszczególne osiedla mieszkaniowe lub też osiedla ze śródmieściem bez zatrzymywania po drodze, co skróciłoby poważnie czas przejazdu. I w tym jednak przypadku w realizacji napotkano wiele oporów. Efekty? Jak na razie prawie żadne.

Takie „usprawnienia” jak blokowanie jednej połowy przednich drzwi w tramwajach, rozbiście linii „H” na dwie linie, co ma poprawić nie tylko regularność kursowania autobusów, ale i wpływ MPK, niezabieranie pasażerów z przystanków przez autobusy zjeżdżające do zajezdni, wprowadzenie biletów dwukrotnego użycia pozostawimy bez żadnego komentarza. Zostały już one chyba dostatecznie skomentowane przez łódzian w czasie codziennego nerwowego wyczekiwania na przystankach. Natomiast słów kilka poświęcimy inwestycjom.

Najpierw sprawa najbardziej aktualna: w lipcu przedłużona zostaje trasa tramwajów „8”, „19”, „20”, „24” o przeszło dwa kilometry w kierunku zachodnim do nowej pętli

na Retkini przy ul. Allende. Dobięga końca modernizacja ulicy Przybyszewskiego na odcinku od ul. Promińskiego do ul. Puszkina wraz z wiaduktem kolejowym. Tak więc już niedługo dojedziemy tramwajem do ul. Lodowej, a w latach 1979—80 — do ulicy Augustów. Wiele da skierowanie ruchu tramwajowego na trasę W-Z, która ma być oddana do użytku z końcem tego roku. Pozostanie jednak nadal „wąskie gardło” przy Dworcu Kaliskim, którego przebudowa (w tym także wzniesienie wiaduktów na przedłużeniu ul. Mickiewicza do ul. Karolewskiej) oddała się z roku na rok. Podobna sytuacja z drugiej strony trasy W-Z — oddana się budowa wiaduktu na ul. Rokicińskiej, od budowy którego powinno się właściwie zacząć realizację osiedla Widzew-Wschód.

Inwestycje komunikacyjne są przecież częścią całego programu budownictwa mieszkaniowego, równie ważną jak wodociąg, kanalizacja, sieć placówek gastronomiczno-handlowych etc. Stąd też powstanie nowej, ponoc jednej z najnowocześniejszych w Europie, zajezdni tramwajowej przy ul. Telefonicznej należałoby już jak najszybciej rozpocząć. Mamy przecież na tym polu spore zaległości, sięgające — drobniostką! — 50 lat. Jak za kilka, kilkanaście lat wyglądać będzie układ komunikacyjny Łodzi?

Jedną z podstawowych rzeczy stania się ograniczenie lub nawet całkowite wyeliminowanie ruchu kołowego ze śródmieścia. Aby do tego doszło potrzebne są trasy szybkiego ruchu znacznie oddalone od centrum, które nie tylko przejmą na siebie ciężar przejazdów tranzytowych międzydzielnicowych, ale także — przejazdów międzydzielnicowych. Przewiduje się równocześnie stworzenie na obrzeżach zamkniętego dla ruchu obszaru takiej sieci parkinów, byśmy mogli bez kłopotu pozostać na jednym z nich nasze „cztery kółka” i przesiąść się w tramwaj. Autobusy kursować będą przede wszystkim w nowych dzielnicach i tam, gdzie nie ma komunikacji tramwajowej.

Pewną szansą może też okazać się „cisnąca” nas dzisiaj pętla torów kolejowych, które po zamknięciu obwodnicy od strony północnej umożliwią kursowanie szybkich miejskich, a zwłaszcza — podmiejskich pociągów. Co prawda projektanci z Biura Projektów Kolejowych są raczej ostrożni i nie przewidują w związku z tym rewolucji w układzie komunikacyjnym, zwracają za to uwagę na wysokie koszty przedsięwzięcia i długi okres jego realizacji, ale i tak mogłoby się to znacznie przyczynić do poprawy niewesołej przecięt, jak wiemy, sytuacji.

Radykalnym rozwiązaniem może stać się jednak tylko metro. O potrzebie jego budowy mówi się w Łodzi już od wielu lat. Wskazuje się nawet przyszłą trasę jednej z jego linii: Aleksandrów — Teofilów — Śródmieście — Dąbrowa, a termin budowy wyznacza do 1990 roku. Ale patrząc realnie, przyjęcie tej daty, wydaje się nazbyt optymistyczne. Znając bowiem aktualne możliwości naszej gospodarki, podjęcie tak gigantycznej inwestycji w najbliższym czasie jest mało prawdopodobne.

Na razie możemy sobie pomarzyć o metrze, szybkie pociągach podmiejskich, przestronnych arteriach drogowych, po których jeździć będą naprawdę pośpieszne autobusy, itd. Nieprędko jeszcze marzenia te przekulemy w rzeczywistość. W dziedzinie komunikacji miejskiej Łódź pozostaje znacznie w tyle w porównaniu z przemysłem, budownictwem mieszkaniowym i innymi gałęziami gospodarki. Co gorsza, zaległości te coraz boleśniej dają się nam we znaki. Ale trudności są po to, aby je przewyżycić. Od marzeń do rzeczywistości droga nie jest taka daleka.

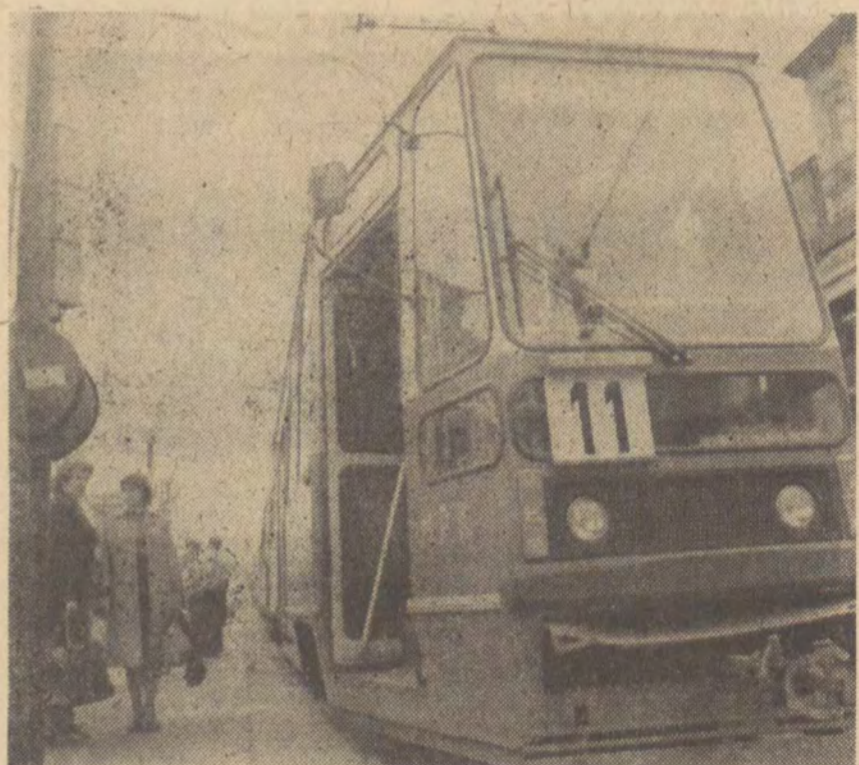
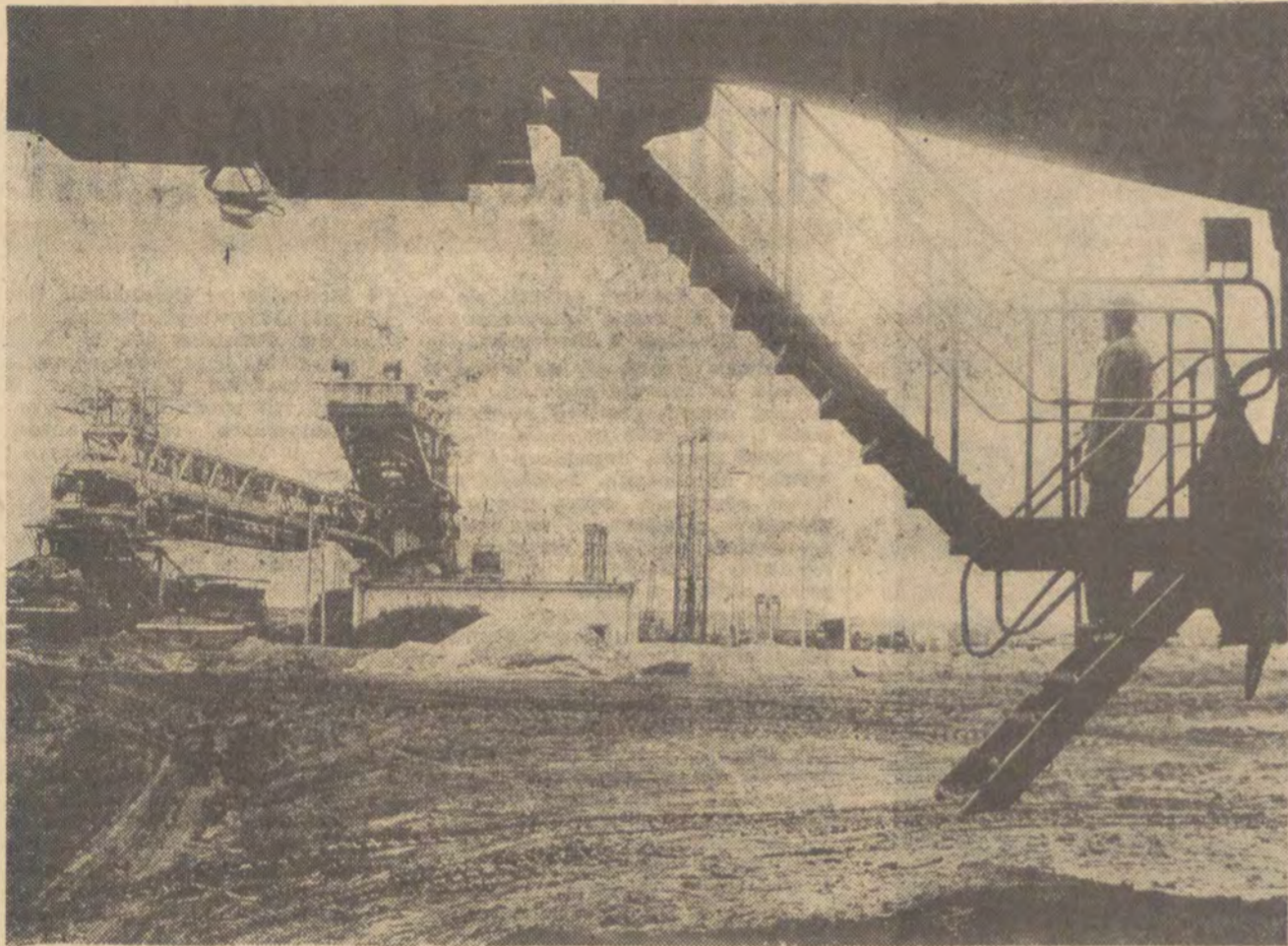


Foto: Włodzimierz Parys



Plac montażowy koparki II

Foto: K. Janaszewski

ANNA KRZYŻANOWSKA

PRZEORANIE KRAJOBRAZU

ZESPÓŁ GÓRNICZO-ENERGETYCZNY „BELCHATÓW” będzie jednym z największych i najnowocześniejszych na świecie. Wniosek rządu o rozpoczęciu budowy ZGE został zaakceptowany przez Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, które rozpatrzyło bilans paliwowo-energetyczny kraju. Padła bariera nie do przekroczenia przez ponad 10 lat: bariera ekonomiczno-techniczna. Realizacja przedsięwzięcia wymaga ogromnych środków finansowych, zaangażowania dużej ilości przedsiębiorstw wykonawczych, importu największych zbudowanych na świecie maszyn urabiających oraz nowoczesnego sprzętu i urządzeń.

Od 15 stycznia 1975 r. można już mówić o wszystkim głośno. O tym co zakładają projekty: budowa nie ustępuje ani rangą ani rozmiarami Hucie „Katowice”. Zespół Górniczo-Energetyczny to dwie kopalnie i dwie elektrownie. Złoża węgla brunatnego leżą na trzech polach — szczytowskim, belchatowskim i kamieńskim. To ostatnie ze względów technicznych na razie nie będzie eksploatowane. Na pozostałych węgla warstwa jest gruba (średnio 50 m), a ukryta do 140 m pod ziemią. Wydobycie z pola „Belchatów” osiągać będzie 38 do 40 mln ton rocznie. Zasilana nim elektrownia „Belchatów” stanie się największą w Polsce pracującą na węglu brunatnym oraz jedną z największych na świecie. Jej moc docelowa wyniesie 4320 megawatów, a produkcja energii elektrycznej osiągnie 27,8 mld kWh rocznie.

Głośno zaczęto mówić o potrzebie wybudowania linii kolejowej Piotrków-Belchatów i o konieczności rozwiązania na miejscu przemysłu budowlanego — okręgowi potrzeba 45 tysięcy nowych izb, jak również szkół, sklepów, szpitala, przychodni zdrowia. O urządzeniach komunalnych też nie wolno zapominać. Kilometry wodociągów, oczyszczalnia ścieków, ciepłownia miejska — to program na zaraz.

Na to wszystko potrzeba pieniędzy. Pieniądże inwestycja belchatowska dostala. Potrzebni są ludzie do pracy. Tu akurat rezerwa siły roboczej jest duża, w „pośredniaku” lista chętnych do podjęcia dobrze płatnej pracy liczy około trzech tysięcy nazwisk. W rubrykach „wykształcenie” powtarza się jak refren: „podstawowe”, „niepełne podstawowe”...

Plus minus dalsze dwa tysiące dojeżdża do Piotrkowa i Łodzi. Ci też wybiorą pracę na miejscu. Kopalnia elektrownia i przedsiębiorstwa budowlane potrzebują grubo ponad 20 tys. pracowników. Kto wypełni tę lukę? Czy ci, którym budownictwo ZGE zabierałoby gospodarstwa?

W 1970 roku, gdy w Belchatowie zawiązała się Delegatura Zjednoczenia Przemysłu Węgla Brunatnego i gdy dla wielu osób jasne już było, że chwila podjęcia ostatecznych decyzji w sprawie tutejszego węgla zbliża się przyspieszonym marszem zrobiono pierwszą przynajmniej co do rozmiarów wywłaszczeń. Ponad 1100 gospodarstw do wykupienia. Przeciętna wielkość gospodarstwa 2,5 hektara. Ziemia klasy V i VI uprawiana w większości przez samotne starsze kobiety, rolników w podeszłym wieku — ich dzieci dawno wyjechały w świat szukając pracy z dala od belchatowskich pól.

A jeszcze wcześniej, bo w latach sześćdziesiątych — gdy już wiadomo było, że owe piaski kryją w sobie brunatne złoto, ale jeszcze nie wiadomo, jak się do niego dobrać, i czy warto, bo przecież był w zapasie Turów, Konin... — grasowali tu socjologowie, którzy przyjeżdżali na obóz naukowy. Skrupulatnie rejestrowali zadaną rzeczywistość; gdy wielka inwestycja stanie się faktem — wszystko przecież gwałtownie się zmieni. Znikną chałupy z obrębem pod jednym dachem. I czy wtedy odpowiedzi na pytania zawarte w ankietach będą takie ciekawe? Socjolog na przykład pytał: w ilu kawałkach gospodarz ma te swoje 2 hektary? I zapisywał odpowiedź — w 16... 22... Albo — ilu ilu mężczyzn wyjechało tego lata na roboty sezonowe? Kto tylko nie jest za stary albo za młody... A kto z mieszkańców Piasków, Łękaw, Woli Łękażewskiej czy Ruszczyńska skończył szkołę średnią? A nikt... Jedyne duże zakłady przemysłowe w Belchatowie — „bawelnianka” i tak przyuczy do zawodu. Zresztą tam nie placą dużo, a do pracy trzeba chodzić piechotą.

Od 1964 roku dużo zmieniło się w Belchatowie. Socjologowie, obojujący tu wtedy, dziś nie znajdują nie tylko pojedynczych chałup, które odwiedził licząc radiodiodoborniki i telewizory (te na palcach jednej ręki). Nie odszukują teraz całych wsi, które ustąpić musiały miejsca tonom żelazobetonu i konstrukcji stalowych, wielkiej dziurze w ziemi i hałdom piachu.

Niewykluczone jednak, że spotkają swoich dawnych rozmówców. Także i tych, którzy w panicznym strachu przed utratą rodzinnych 2 mórg usilowali dopytać ankieterów, gdzie i ile trzeba dać za pozostawienie gospodarstwa w spokoju. Bo na mapie przecież palec może się akurat o ten kawałek omsknąć i człowiek zostanie na swoich na stare lata...

Jednak ze specjalistami od wywłaszczeń rozmawiali już spokojnie. Okazało się, że cena za hektar gruntu oferowana przez państwo osiągnęła poziom w tych stronach zupełnie nieznaną. Za tyle pieniędzy można przecież kupić działkę po sąsiedztwie i spróbować dorobić w kopalni trochę gotowego grosza. Daleko wynosić się nie warto, najlepiej tu, prawie że u siebie, popatrzeć na „nowe”, które nawet jest w stanie ściągnąć z powrotem w rodzinne strony młodych, co do pracy jeździł na Śląsk.

Wracają zachęcenie perspektywami, jakie daje wielki przemysł, zacieka-wieni opisami przesyłanymi w listach rodzinny i kolegów „W Piaskach

wykarczowano las, na placu montażowym rośnie pierwsza koparka z RFN, ci z kopalni wypompowali z ziemi całą wodę — w okolicy wszystkie studnie są suche, po wsiach robią wodociągi, na Bilgoraju dziury wiercą i beton w nie leją” — jakaś dziwna będzie ta elektrownia, bez fundamentu, czy co?

Wracają do Belchatowa nie tylko synowie rolników. I ci, którzy pokonali studia, urządzili się już w innych miastach zainteresowani są możliwością znalezienia tu atrakcyjnej pracy. Gwoździem programu na zjeździe absolwentów miejscowego ogólniaka był nie bal, lecz zwiędzenie terenów przyszłej odkrywki. Jakoś niedługo potem do kopalni napłynęło sporo zgłoszeń do pracy od rdzennych i wykształconych belchatowian.

Belchatów zaczęła pokazywać telewizja, o odkrywce i elektrowni pierwszej, która będzie miała bloki o mocy 360 MW pisze prasa, zaczyna ją przyjeżdżać wycieczki specjalistów, studentów, uczniów. Pojawiają się i indywidualni gapie — skutecznie omijając rzadko rozmieszczonych strażników i dozorców wleczą się na plac budowy chcąc na własne oczy

sprawdzić co się dzieje na placu budowy naszej największej inwestycji paliwowo-energetycznej. A dzieje się tu coraz więcej i nawet laik dochodzi do wniosku, że jest to zaiste wielka budowa! Na miarę już XXI wieku.

Przed potrzebami budowniczych kopalni musiały ustąpić nawet rzeka. Wyznaczono jej nowe koryto, za-betonowane i wyłożone folią omija lukiem plac, na którym zlokalizowano 4 stanowiska montażu maszyn podstawowych i przenośników taśmowych.

Tu właśnie montowano pierwsze wielkie maszyny dla odkrywki — koparkę i zwalówarkę. Koparka ma prawie 200 m długości i 400 m szerokości. Jej koło frezowe zbiera ziemię przykrywającą węgiel w tempie 6.600 m. sześć. na godzinę. Dalej ten piasek i glina transportowane są przez taśmociąg i podawane do drugiego żelaznego mamuta — zwalówarki. Ona wysypuje hały na miejscu, gdzie jeszcze do niedawna była wieś. Ta, którą opisywali socjologowie. Dziś widać tylko jej oplotki. Znaczną część chałup i stodół ogolonych ze wszystkich desek, okien i framug (bo to może przydać się na nowych śmieciach) przykryli zwyąły ziemi. Wieś znika pod piachem, gospodarze wynieśli się już dawno — tylko bociany nie chcą zmienić zamieszkania. W cieniu wielkiej hały spokojnie hołubią swoje potomstwo, będąc widocznie zdania, iż zdają załatwić swe sprawy nim człowiek gruntownie zmieni krajobraz tych stron...

Być może bociany mają rację. Pierwszy układ technologiczny KTZ (koparka — taśmociąg — zwalówarka) uruchomiony został w czerwcu ubiegłego roku. Do tej pory znad odkrywki zdjęto ponad 27 mln ton nadkładu. Odkrywka ma prawie 2 km długości i 700 m szerokości. Do węgla jednak wciąż daleko. Tempo powinno się znacznie przyspieszyć w połowie lipca 1978 r. Wtedy to miał zostać oddany do użytku drugi układ KTZ. Miał być — bo w tej chwili stało się jasne, iż oddany nie będzie.

Montaż pierwszego układu technologicznego był dla budowniczych kopalni prawdziwym egzaminem sprawności zawodowej i umiejętności organizacyjnych. Na etapie najtrudniejszym spisałi się bardzo dobrze. Mostostalowcy po przeszkoleniu w firmie dostawcy poradzili sobie bez kłopotów ze spawaniem stali o podwyższonej wytrzymałości. W Polsce nie wykonywano dotąd takich robót. Dotrzymali terminów. I odetchnęli, że z następnymi maszynami pójdzie łatwiej.

Ze zwalówarką nawet się to sprawdziło. Gotowa była w przewidzianym czasie i 27 kwietnia już o własnych siłach wyruszyła z placu montażowego na odległe o 3 km zwalówisko. Zasypuje teraz to co jeszcze zostało we wsi Ruszczyń.

Koparka następczyni już trochę kłopotów. Nie jest ona identyczna jak jej starsza siostra pracująca w odkrywce. Mniej waży i ma krótszy wysięgnik — ale za to równie dużą wydajność. Montażu nie można więc było prowadzić utartą ścieżką, ale też nikt nie przypuszczał, że będzie ona aż tak wyboista. Potknięcie spowodowały ciężkie dźwigi. Za nic nie można ich było ściągnąć do Belcha-

towa — choć tu były potrzebne natchmiast, spokojnie pracowały na innych budowach. Magia priorytetu, jakim obdarowano tę inwestycję, nie na wszystkich robiła pożądaną wrażenie. Największy z dźwigów dotarł na Piaski dopiero wtedy, gdy wszystkie harmonogramy miały 3 miesiące poślizgu. Część straty czasu nadrobił, równoległe prowadząc prace przy montażu jednych elementów i przy rozruchu i próbach sprawności innych. 29 czerwca zdecydowano o przesunięciu koparki z placu montażowego do krawędzi odkrywki.

Pierwszy samodzielny „marsz” obrzymiej maszyny przypominający rozmiarami statek o średnim tonażu jest zresztą równie emocjonujący jak moment wodowania nowej jednostki. Choć tu obywateli bez szampa i matki chrzestnej, też gromadzi sporo publiczności. I też zawiera elementy loterii — dojedzie czy nie pojedzie? Pojechał aczkolwiek nie bez przeszkód. Czujne inżynierskie uszy dosłyszały niepokojące piski w tulejach zespołów jeznych. Tę wadę będzie musiał usunąć dostawca maszyny, czyli Krupp i to jeszcze nim koparka zejdzie do wykopu odkrywki — a więc przed 15 lipca.

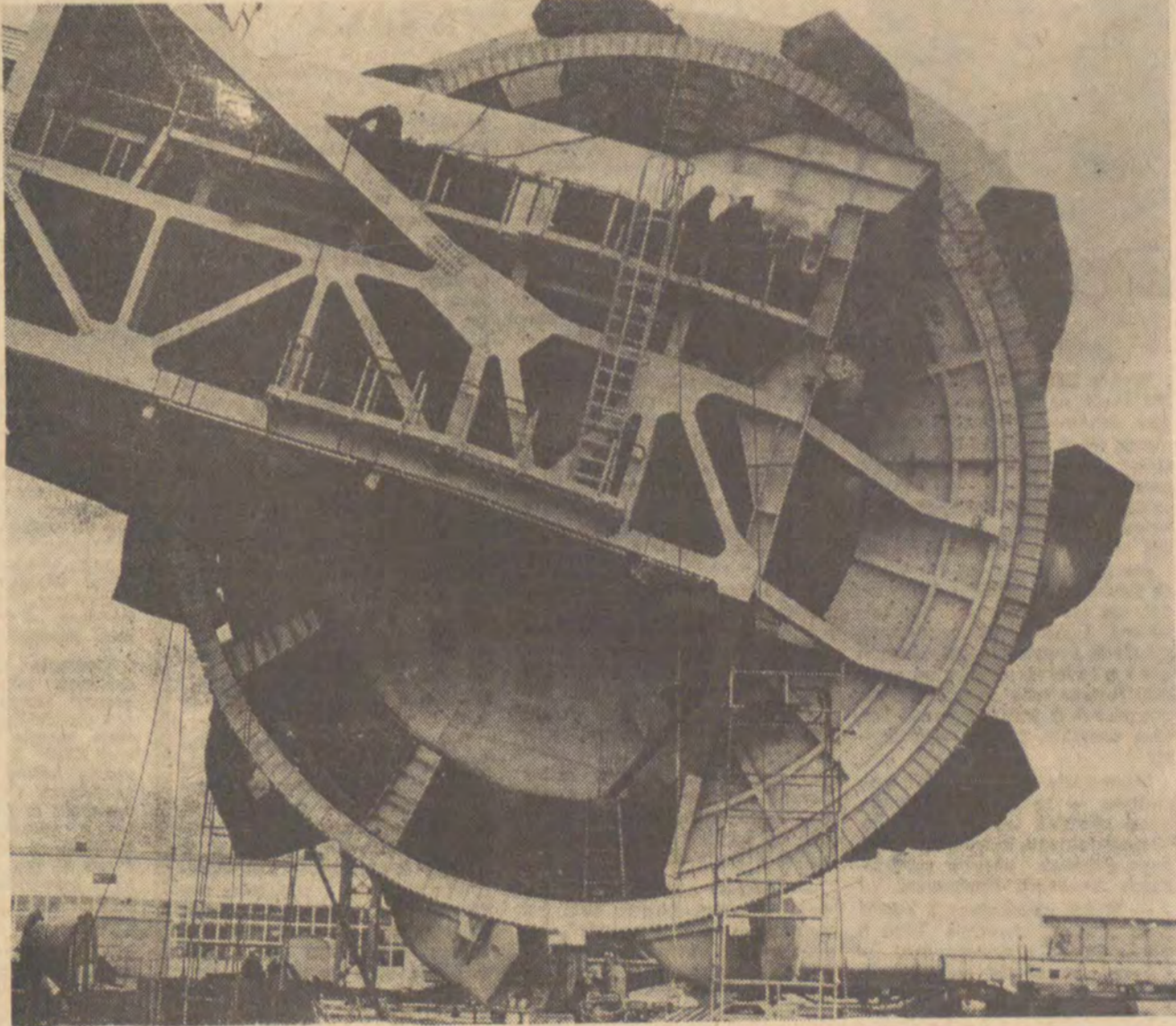
Przedstawiciele kopalni martwią się zupełnie czym innym. KTZ nie ruszy w połowie lipca, ponieważ gruntownie zawałone zostały terminy dostaw elementów taśmociągu, który miał połączyć koparkę ze zwalówarką. Brak tej nitki uniemożliwia normalną eksploatację obu kolosów. ZPMG „Polmag” wciąż nie potrafi podać realnego terminu dostarczenia do Belchatowa zespołów napędowych bebnów, łożysk, silników, hamulca. Taśmociąg ma 13 odcinków przenośników, w sumie 9600 m „nitki”. Na razie prowadzi się prace na 9 odcinkach. Stan zaawansowania robót nie przekracza 60 proc. Opóźnień już się nadrobić nie da. Można ich jednak nie przeciągać. Czy II KTZ ruszy przed Barbarką? Oby, ale gwarancji na to nie ma.

A opóźnienie terminu II KTZ może mieć niekorzystny wpływ na przebieg prac przy uruchamianiu następnego ciągu. Nie jest to sprawa, o której można zacząć myśleć dopiero za kilka miesięcy.

Już dziś inwestor pilnie śledzi harmonogramy robót przy następnym maszynach. Powstaje III i IV zwalówarka. Trzecia koparka też powoli zaczyna być widoczna. Wkrótce rozpoczyna się prace nad pierwszą z kilku koparek, przeznaczonych do wydobywania węgla.

Pierwsze tony brunatnego kruszcza musza opuścić kopalnię w 1980 r. Wtedy bowiem ruszy na pierwszy blok elektrowni i inwestycja belchatowska zaowocuje megawatami. Będą to zresztą megawaty stosunkowo tanie i co ważne, bardzo łączące się w krajowym bilansie energetycznym. Tylko „Belchatów I” po uruchomieniu wszystkich 12 bloków dawał będzie ok. 40 proc. całej krajowej produkcji energii elektrycznej z 1974 r. Jej centralne położenie sprawia, że promień zasilania nie przekroczy 150 kilometrów. W promieniu tym leżą takie miasta jak Łódź, Warszawa, Katowice, Opole i Wrocław.

Ograniczy to nakłady na sieć przemysłową, obniży koszty przesyłki energii, poprawi wskaźniki niezawodności wyprowadzenia mocy.



Koło ezerpawkowe koparki II.

Foto: K. Janaszewski



KUBA'78

JEDENASTY ŚWIATOWY

z ponad 70 krajów spotkali się w Pradze na pierwszym Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów.

Festiwal przyczynił się w dużym stopniu do rozwoju wspólnej działalności wielu organizacji młodzieżowych i studenckich współpracujących z siłami pokoju, demokracji i wyzwolenia narodowego. Światowe festiwale odgrywają ważną rolę w umacnianiu współpracy i wzajemnego zrozumienia pomiędzy organizacjami młodzieży i studentów o różnych przekonaniach w walce o antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń. X Światowy Festiwal, który odbył się w Berlinie, stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wniósł znaczący wkład do realizacji tych celów.

Przypomnijmy sobie pokrótce historię owych dziesięciu światowych festiwali młodzieży. Zaczęło się wszystko w 1947 roku. Wtedy to w Pradze zorganizowano w dniach od 20 lipca do 17 sierpnia 1947 roku I Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Później były następujące:

— 14—28 sierpnia 1949 roku — II Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Bukareszcie. Udział w nim wzięło 30 tysięcy młodzieży z 111 krajów.

— 5—19 sierpnia 1951 roku — III Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Berlinie. Udział w nim wzięło 26 tys. młodzieży z 104 krajów.

— 2—16 sierpnia 1953 roku — IV Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Bukareszcie. Udział w nim wzięło 30 tysięcy młodzieży z 111 krajów.

— 31 lipca — 14 sierpnia 1955 roku V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w WARSZAWIE. Uczestniczyło 30 tys. młodych dziewcząt i chłopców z 114 krajów.

— 28 lipca — 11 sierpnia 1957 roku — VI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie. Udział wzięło w nim 34 tysiące młodych z 131 krajów.

— 24 lipca — 4 sierpnia 1959 roku — VII Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Wiedniu. Uczestniczyło 18 tysięcy młodzieży z 112 krajów. Po raz pierwszy festiwal młodzieży odbywał się w stolicy kraju kapitalistycznego. Bojkotowała go prasa burżuazyjna, wydawano specjalną antyfestiwalową gazetę, próbowano prowokacji. Wszystko to nie zdało się o dorobku i znaczeniu festiwali młodzieży:

— 29 lipca — 6 sierpnia 1962 roku — VIII Światowy Festiwal Młodzieży

i Studentów w Helsinkach. Uczestniczyło 18 tysięcy młodzieży z 134 krajów. Podobnie jak w Wiedniu festiwal był bojkotowany przez prasę burżuazyjną i atakowany przez organizacje wrogo nastawione do demokratycznych ruchów młodzieżowych na świecie. Mimo różnych prowokacji festiwal helsiński — podobnie jak wiedeński — zakończył się sukcesem. Odbył się on jednak w 3 lata po spotkaniu młodzieży w Wiedniu. Zarzucono dwuletnią cykliczność, z jaką odbywały się poprzednie festiwale.

— 28 lipca — 6 sierpnia 1968 roku — IX Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Sofii. Uczestniczyło 20 tysięcy młodych z 142 krajów. Festiwal ten odbył się po pięcioletniej przerwie.

— 28 lipca — 5 sierpnia 1973 roku — X Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Berlinie. Udział wzięło 26 tysięcy młodych z 140 krajów. Berlin był po raz drugi gospodarzem światowego spotkania młodych.

A obecnie młodzież z całego świata gościć będzie KUBA. Po raz pierwszy idea festiwalowego spotkania przekroczyła granice kontynentu. Do tej pory wszystkie festiwale odbyły się w Europie.

POLSKĘ na XI Festiwalu w Hawanie reprezentować będzie 490 delegatów. Wśród nich znajdują się też łodzianie. Łódzka grupa liczy tylko 9 osób i są wśród niej przedstawiciele wszystkich organizacji młodzieżowych: ZSMP, SZSP, ZHP oraz młodzieży wojskowej. W czasie trwania XI Światowego Festiwali Młodzieży i Studentów na Kubie udadzą się tam grupy turystów, aby móc obserwować festiwalowe wydarzenia i imprezy, a po części brać w nich udział. Do Hawany udadzą się też polscy artyści, młodzieżowe zespoły artystyczne, sportowcy, dziennikarze, filmowcy.

W programie kubańskiego festiwalu przewidziano również DZIEŃ POLSKI. Przypada on na 2 sierpnia 1978 roku. W tym dniu we wszystkich organizacjach młodzieżowych, na obozach, kursach, w zakładach pracy i w instytucjach odbędzie się DZIEŃ CZYNU FESTIWALOWEGO.

Polska delegacja festiwalowa zawiezie z sobą wiele plakatów, 13 wydawnictw o Polsce w obcych językach, a między innymi obcojęzyczne numery „Walki Młodych” i „Razem”. Organizowane będą w Hawanie polskie wystawy i występy artystyczne.

XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który rozpocznie się 23 lipca 1978 roku i trwać będzie do 5 sierpnia w Hawanie — stolicy Kuby, został zorganizowany pod hasłem: o antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń.

Przygotowania i przebieg XI Festiwalu mają przyczynić się do: — umocnienia pokojowego współżycia państw o różnych zasadach ustrojowych, — ograniczenia zbrojeń, — dalszego odprężenia na świecie, — realizacji zasad i postanowień Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, — poparcia walki narodów Wietnamu, Laosu i Kambodży z imperialistyczną prowokacją, — wzmocnienia solidarności z walką narodu Chile i Palestyny, — udzielenia poparcia młodzieży

krajów Azji, Afryki i Ameryki Południowej, która walczy o swoje prawa, — poparcia narodów Afryki, Azji i Ameryki Południowej w ich walce z imperializmem, — zadziergnięcia solidarności z walką młodzieży krajów wysoko rozwiniętych o ich prawa i postęp społeczny, — utrzymywania i wzmocnienia solidarności z młodzieżą krajów socjalistycznych, która bierze szeroki udział w budownictwie socjalistycznym. Festiwale organizowane są przez

Światową Federację Młodzieży Demokratycznej. Stanowią one wielkie wydarzenia polityczne, kulturalne, sportowe w życiu młodych ludzi wielu krajów, gdzie spotyka się młodzież o różnej orientacji politycznej, zapatrywaniach, o różnym dorobku kulturalnym, różnej tradycji. Festiwale stwarzają możliwość bliższego poznania się młodzieży z różnych kontynentów, przeprowadzenia dyskusji na wszelkie interesujące młodzież tematy, rywalizowania sportowego, jak i sprezentowania innym swego dorobku kulturalnego. W Apelu Międzynarodowego Komitetu Przygotowawczego XI Światowego Festiwali Młodzieży i Studentów tak mówi się o dorobku i znaczeniu festiwali młodzieży:

„Minęło prawie 30 lat od dnia, w którym przedstawiciele młodzieży

Foto: Archiwum



Foto: W. Parys

Wybór LESZKA OSTASZEWSKIEGO na delegata również jest dowodem prestiżu, jakim cieszą się w łódzkiej organizacji SZSP działacze najbliższego szczebla, twórcy oddolnych inicjatyw, ludzie, których partnerami w codziennej, społecznej pracy są „szarzy” studenci. Jak żmudne i skomplikowane są studia na Akademii Medycznej nie trzeba nikogo przekonywać. I jak w tej codziennej gonitwie z wykładami na ćwiczenia i z ćwiczeń na wykłady znaleźć jeszcze czas na kulturę, na rozrywkę? A jeśli się nawet ten czas znajdzie, jak go wykorzystać?

Stworzenie najlepszych warunków — to było między innymi również zadaniem Leszka Ostaszewskiego, kierownika jednego z trzech klubów studenckich Akademii Medycznej.

— Moim marzeniem i celem było zawsze stworzyć klub z prawdziwego zdarzenia, taki do którego przechodzi się nie tylko na dyskotece, ale żeby spotkać się z kulturą i sztuką, podyskutować... I właśnie kulturze poświęciliśmy w „Synapsie” najwięcej czasu — opowiada Leszek. — Jeżeli co-

STWORZYLIŚMY WARUNKI

kolwiek tu zrobiłem, to zawsze z myślą o ludziach, o szerokim kręgu twórców i odbiorców.

Przy „Synapsie” skupiła się grupa utalentowanych twórców różnych dziedzin. Zrealizowali pamiętny w tym środowisku spektakl pt. „Przejsie” wg poezji Majakowskiego, grydy grafiki, kabaretony, występy zespołów muzycznych i teatralnych, z których najwięcej przypadło na zorganizowane według pomysłu Leszka Ostaszewskiego Konfrontacje Kultury Studentów Akademii Medycznych. W działalności „Synapsy” znalazło się miejsce i na koncerty, wieczory poezji, spotkania z ciekawymi ludźmi, i (wszak mielibyśmy ten klub w żeńskim domu akademickim) na pokazy kroju i szycia, kosmetyki, gotowania... Dla młodzieży z domów dziecka grały bezpłatnie znane zespoły muzyczne, a zaproszenie do studenckiego jak by nie było klubu przyjęło chętnie szereg zespołów profesjonalnych. Była „Synapsa” także gospodarzem turniejów wiedzy politycznej. Wpływ osoby Leszka sprawił, że w czasie jego kandydackiego stażu wstąpiło do partii kilku innych kolegów z Rady Klubu.

— Byliśmy zgraanym kolektywem — mówi Leszek, dziś już był kierownik „Synapsy”, tegoroczny absolwent specjalizacji aptecznej na Wydziale Farmacji. — Choć muszę przyznać się, że nielato dziś znaleźć ludzi, którzy chcą pracować bezinteresownie. Po czterech latach z 30 zostało w klubie tylko 10, ale są to już ci wypró-

bowani, sprawdzeni. Inni tworzą liczne grono sympatyków „Synapsy”.

Praca w klubie zajmowała dużo czasu. Nieraz rezygnowało się ze spraw osobistych, rodzinnych. Fakt może anegdotyczny: kiedy w listopadzie 1976 roku urodziła się Leszkowi córka, nie pojechał jej zobaczyć; 18 grudnia otwierał po długim, rocznym remoncie klub. Nie mógł opuścić go w takiej chwili, skoro nie opuścił go przez poprzednich 12 trudnych miesięcy...

Swoją wyjazd na festiwal młodzieży Leszek Ostaszewski traktuje jako zasłużone wyróżnienie wszystkich klubów studenckich Akademii Medycznej. Tak samo odebrali to wyróżnienie Leszka inni działacze klubowi z AM na osiedlu im. ZWM przy ul. Lumumby.

— Wielu zasłużyło na ten wyjazd, a mnie się akurat poszczęściło — konkluduje Leszek.

Przez cztery lata pracy w klubie nauczyli się wiele. „Nie muszę się dziś obawiać odpowiedzialności” — mówi. I tak, jak Annie Leszczyńskiej pomogły w kierowaniu ludźmi w Radzie Wydziałowej zainteresowania teorią i praktyką nowoczesnego zarządzania, tak kierownicy staż Leszka w klubie studenckim nie pozostał bez wpływu na jego dalsze plany życiowe: chciałby w rodzinnym Opolu założyć i prowadzić nowoczesny bank informacji leków, trzeci w kraju po Warszawie i Łodzi.



Foto: W. Parys

ANNA LESZCZYŃSKA będąc na trzecim roku informatyki i cybernetyki rozpoczęła studia na drugim kierunku: organizacji zarządzania. Ten wybór był naturalnym przedłużeniem wcześniejszych zainteresowań: już na informatyce Anna specjalizowała się w projektowaniu systemów informacyjnych dla celów zarządzania. Studia ukończyła w 1978 roku. Otrzymała propozycję asystentury na Uniwersytecie Łódzkim — w Instytucie Ekonomiki Przemysłu Lekkiego.

Nieczęsto spotyka się takich działaczy jak Anna. Mimo propozycji awansu na organizacyjnej drabinie, od pięciu lat pozostaje wierna Radzie Wydziałowej SZSP przy Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UL. W strukturze rad wydziałowe są ogniwem najniższym. Pracuje się tu z szeregowymi członkami związku, z grupami działania. Praca ta jest najbardziej mozolna i czasochłonna, a jej wyniki niewymierne i najmniej spektakularne.

Leszczyńskiej jako działaczce, a od 1977 roku przewodniczącej Rady Wydziału (pierwszy to przypadek, by tę funkcję pełniła studentka) udało się jednak uczynić pracę tę atrakcyjną, wciągnąć do niej szerokie grono studentów, co na tym wydziale, liczącym 5 tys. studentów i 100

NIC bez LUDZI

grup działania SZSP nie jest łatwym zadaniem.

Jaka była droga do sukcesu, a dla Anny droga na festiwal młodzieży w Hawanie?

— Zależało od siebie — mówi Anna — że naszym podstawowym obowiązkiem jest dotarcie do każdego członka grup działania — tych najmniejszych komórek organizacyjnych związku, z reguły nie dość jeszcze aktywnych. Zaczęliśmy od reformy struktury. Tradycyjne, kilkunastoosobowe prezydium zastąpił dobranej, kilkunastoosobowy aktywny ziołony z przewodniczącymi komisji — po raz pierwszy — szefów rad wszystkich ośmiu kierunków na naszym wydziale. Każdego członka Rady Kierunku opiekuje się jednym rocznikiem studentów. Zapewniono to nam więc i przepływy informacji między grupami działania a Radą Wydziałową. Ale z konkretnym programem musielimy wyjść sami i sami angażować się z początku w jego realizację, a potem wciąż ten program doskonalić, aktualizować...

Proces ten przyspieszyła na pewno reorganizacja rady, ale umożliwiła dopiero zmiana stosunków między działaczami a rzeszą „szarych” studentów.

— Jako przewodnicząca unikam rozkazywania i wysuwania siebie na pierwszy plan — Anna niechętnie, dopiero po dłuższym czasie odslania rąbek swego „credo” działacza.

— Do ludzi docieram życzliwością, tolerancją i te same zasady staram się wpoić kolegom. Wiem wszystko o studentach, bo przychodzą do mnie ze wszystkim. Znam mnie na wydziale, przeszedłem wszystkie szczeble w radzie, mam wsparcie. Naszym zadaniem jest okazać zainteresowanie i pomoc każdemu, kto tego potrzebuje. Przekonałem ludzi, że działamy w ich interesie, że rada nie jest elitą złożoną z działaczy, ale częścią jednej studenckiej rodziny. Zdobyłem zaufanie większości...

To daje autorytet wśród kolegów i zaufanie władz dziekańskich, partyjnych, związkowych. Bez partnerskiego stosunku władz wydziału i uczelni do spraw studentów niewiele by można zrobić...

A działo się sporo i zawsze z myślą o najszerzej rzeszy studentów, nie tylko członków SZSP. Na Giełdę Stypendiów Fundowanych przyjeżdżają z ofertami pracy przedstawiciele zakładów z całego kraju. Niemalby udział ma Rada Wydziału w podwyższeniu stypendiów i na gród okresowych. Konkursem na Najlepszego Dydaktyka zachęcono do zdrowej rywalizacji w nauce, a Turniejem o Puchar Dziekana — w sporcie. Wydziałowe grupy działania zajmują czołowe miejsca na uniwersytecie. Dwie grupy otrzymały niedawno prawo rekomendacji do partii. Coraz żywsze kontakty łączy studentów z kolegami z ZSRR, CSRS, NRD i Jugosławii.

— Dla mnie i dla moich kolegów praca społeczna jest pasją — zwierza się Anna — Nigdy nie traktowałem jej jako drogi do awansu, realizacji życiowego celu. Nie by mi się nie udało w radzie zrobić bez ludzi. Poświęcam im wiele czasu, to fakt, ale nie chcę tego nazywać poświęceniem. Hawana była dla nas szokiem, bo kto na co dzień zwraca na nas uwagę? Tępo, co robimy nie da się zmierzyć. Wyjazd do Hawany traktuję jako wyróżnienie całej rady. I środowiska.

Taka jest Anna Leszczyńska: szczera, skromna, daleka od stereotypu „działacza”, z trudem udaje się ją namówić do zwierzania na swój temat. Na prośbę kolegów Anna — od kilku miesięcy kandydat do partii — zostanie w Radzie Wydziałowej, by nadal iść z przodem, bezinteresowna pasją ze swą specjalizacją naukową.

W Hawanie Anna nakręci film. Pokaże go po powrocie kolegom w związku.

— A może jeszcze czegoś uda mi się w Hawanie nauczyć — mówi — coś podpatrzeć dla organizacji, dla rady, dla siebie?..

ORBITA PRZYJAŹNI I WSPÓLPRACY

Stworzenie na orbicie okołoziemskiej pilotowanego kompleksu naukowo-badawczego, składającego się z orbitalnej stacji „Salut 6” i dwóch statków kosmicznych „Sojuz” z międzynarodową załogą w składzie: W. Kowalok, A. Iwanzenkow, P. Klimuk i M. Heraszewski prasa światowa ocenia jako wymowny dowód współpracy krajów socjalistycznych, realizujących program wspólnych badań w Kosmosie.

Wspólne wysiłki w pokojowym opanowaniu Kosmosu otwierają drogę przed wspólnotą krajów socjalistycznych do szczytów postępu naukowego i technicznego. Stwarzają możliwość pomyślnego i bardziej efektywnego wykrywania tajemnic przyrody, pomyślnego rozwiązywania praktycznych zadań gospodarki narodowej wszystkich krajów socjalistycznych. Torują one drogę również do tworzenia gigantycznych orbitalnych stacji dnia jutrzejszego.

Jest oczywiste, iż udział kosmonautów z innych krajów socjalistycznych w epokowej kosmicznej ofensywie jest nie do pomyślenia bez pomocy i współdziałania Związku Radzieckiego. ZSRR bezinteresownie udostępniła swoją kosmiczną technikę, kosmodromy, rakiety nośne, stacje orbitalne, ogromny system łączności, jak również kierowanie lotami kosmicznymi, bezcenne doświadczenia uczonych i specjalistów w dziedzinie kosmicznej nauki i praktyki. Dzięki temu ekonomiczne korzyści lotów po okołoziemskiej orbicie stały się udziałem wszystkich krajów socjalistycznych.

A oto co o ostatnim kosmicznym sukcesie Związku Radzieckiego pisze Associated Press:

„Zdaniem ekspertów, zorientowanych w dziedzinie radzieckiego programu badań kosmicznych, Związek Radziecki skoncentrował wysiłki, żeby się stać pierwszym w świecie mocarstwem, które stworzyło stałe kosmiczne osady. Na okołoziemską orbitę zostanie wprowadzony statek kosmiczny z mężczyzną i kobietą na pokładzie, którzy będą żyć i pracować w Kosmosie długi okres czasu, i w konsekwencji liczni spośród nich przekształcą się niejako w stałych mieszkańców Kosmosu — mówi James Oberg, profesor w Amerykańskim Instytucie Aeronautyki i Astronautyki, specjalista z dziedziny techniki obliczeniowej Centrum Badań Kosmicznych im. Johnsona. — Będą tam rodzic dzieci. W zasadzie będzie to zamknięty system z uregulowaną produkcją żywności i autonomicznym zaopatrzeniem w tlen. Przewidywane jest, że może to nastąpić już w okresie najbliższych 15 lat.

J. Oberg powiedział także, że USA mogłyby rozwiązać problem stworzenia podobnych osad kosmicznych w przeciągu 3-4 lat po uruchomieniu „człowiekowego” (wielorazowego) statku kosmicznego. Do tego czasu, zdaniem Oberga, Rosjanie będą już mieć 5-6-letnią przewagę w tej dziedzinie nad USA. Uczony uważa, iż można tam wybudować dużo domów podobnych do budowanych na Ziemi. Spójrzcie na nasze gigantyczne budowle — mówi J. Oberg — ludzie pracują i mieszkają w jednym budynku. Jest to sztuczne środowisko, w którym żyją całe rodziny. Pod tym względem Kosmos będzie się mało różnił od Ziemi.

Jeśli chodzi o problemy przebywania dzieci w Kosmosie, to profesor przypominał, jak pierwsi amerykańscy osadnicy przyjeżdżali do USA wraz z dziećmi, a przecież czekali na nie o wiele cięższe warunki niż pionierów Kosmosu.

Podkreślił on, że wyraża własny punkt widzenia o radzieckim programie badań kosmicznych, oparty na studiowaniu wysiłków Związku Radzieckiego w tej dziedzinie.

Rosjanie przeszli do decydującej ofensywy w kierunku zasiedlenia Kosmosu. Ich wysiłki zostały w tym roku uwiecznione historycznym połączeniem na orbicie okołoziemskiej trzech statków kosmicznych. Zrobili to już trzy razy, w tym dwa razy z udziałem międzynarodowej załogi, nie licząc połączenia ze statkami transportowymi.

Technologiczna doniosłość takich połączeń i wykonanie dalszych programów Rosjan w tym kierunku potwierdza żywotność idei kolonii kosmicznych, podobnie jak w swoim czasie łądowanie na Księżycu umocniło ideę penetracji innych planet.

Nie zdziwi się — powiedział dalej prof. Oberg — jeśli już wkrótce Rosjanie zaczną wykorzystywać do celów przemysłowych materiały otrzymane w warunkach kosmicznych. Rosjanie będą mogli, na przykład, wytwarzać tam mikrominiaturowe elementy do komputerów i w ten sposób wykonać ogromny skok, sprzedając Stany Zjednoczone w dziedzinie elektronicznej techniki obliczeniowej. Jeśli Rosjanie to wykonają — w tym roku czy też w przyszłym — będzie to bardzo ważny etap w historii podboju Kosmosu.”

Cudzoziemca, który po raz pierwszy przybywa do Związku Radzieckiego uderza przede wszystkim ogromny i nieustanny rozwój przemysłowej potęgi ZSRR. We wszystkich zakątkach, na niezmiernym terytorium Związku Radzieckiego, dzięki kolejnym planom pięcioletnim, jedna po drugiej powstają wielkie budowle, rodzą się nowe giganty przemysłowe, a już wybudowane — rosną i rozwijają się dalej.

„Stworzyć kompleks fabryk produkujących samochody ciężarowe w Tatarskiej ASRR”. Oto jedna z dyrektyw XXIV Zjazdu KPZR, który odbył się w 1971 roku. Prawdopodobnie nie zwróciłaby ona na siebie szczególnej uwagi, gdyby już wtedy nie było wiadomo, iż stoi za nią jedno z największych zamierzeń w dziedzinie budowy maszyn. Podobnych przedsięwzięć nie podejmowano dotąd w Związku Radzieckim. W grudniu 1969 roku potężne koparki zaczęły wryzać się w ziemię w miejscu, w którym miały powstać największe w świecie zakłady budowy samochodów ciężarowych, a już w 1976 roku cztery linie świeża farba ciężarów, które dopiero co zeszły z taśmy montażowej, stanęły szeregiem przy przystanku murze Kremia. Był to prezent „Kamaz” ofiarowany XXV Zjazdowi KPZR.

Związek Radziecki dał już liczne przykłady gigantycznych budowli przemysłowych, wszakże ani jedna z nich, co do swego znaczenia i tempa budowy, nie może się równać z „Kamaz” (Kamskiej Zawod Gruzowych Automobiliel red.). Zakłady te po rozwinięciu pełnych mocy będą produkować rocznie 150 tysięcy samochodów ciężarowych i 250 tys. silników dieselskich! Nie ma tym zakładom równych ani w Związku Radzieckim, ani też w innych krajach. W 1969 roku, kiedy komisja państwowa przybyła na rozciągające się nad brzegami Kamy rozległe stepy, żeby wybrać odpowiednie miejsce pod budowę przyszłej fabryki, było tam tylko małe miasteczko liczące około 30 tysięcy mieszkańców. A jego nazwa: Nabierynnye Czelyny — mało kto znał. I oto w przeciągu pięciu-zsześciu lat wyrósł tutaj ogromny kompleks fabryk a wraz z nimi nowoczesne duże miasto.

Wystarczy przejechać samochodem jakieś trzydzieści kilometrów dzielących port lotniczy „Behczewo” od „Kamaz”, żeby uzmysłowić sobie jak wyglądały te miejsca niegdyś: bezbrzeżna równina z rozrzuconymi na niej tu i ówdzie wysepkami lasu. Droga, którą wydarli tej lesisto-stepowej dziewiczej ziemi budowniczości tego giganta, toczą się zwartym szeregiem ogromne „Kamazy” i ciężarówki innych typów. Na końcu drogi znów pojawiają się ostro zarysowane kontury wysokich domów, kminy elektrociepłowni, las wyciągnięty w górę dźwignów znaczących miejsca nowych budów. Wszystko wygłąda tutaj na miraż. Na drugim końcu miasta — fabryka, albo ściślej: zakłady przemysłowe; kiedyś mowa o „Kamaz”, nie wiadomo właściwie czy należy używać liczby pojedynczej, czy mnogiej.

Kiedy wkracza się na terytorium — tak tylko można nazwać ten olbrzymi obszar — „Kamaz” wszystko staje się jeszcze większe niż z daleka. Po niekończących się komunikacyjnych ciągach zakładów jeździ się na samochodach i rowerach. Nieustający łoskot mechanizmów podkłada stale napięty rytm życia zakładów. A w centrum znajduje się wydział, a ściślej mówiąc — zakład montażu. Czerwone i niebieskie samochody po „przejściu” 650 metrów

taśmy montażowej kieruje się na stanowiska próbne. Kiedy zakłady nabiorą pełnej mocy produkcyjnej z ich taśm co 90 sekund będzie schodzić gotowy samochód ciężarowy.

Oszałamiająca jest ta szybkość z jaką buduje się „Kamaz”. Sześć lat, jeśli wziąć pod uwagę ogrom wykonanej pracy, to bardzo krótki okres czasu, nawet uwzględniając opóźnienie w budowie w zestawieniu z ustalonym harmonogramem. Wielu zagranicznych specjalistów twierdziło, że tego gigantycznego kompleksu nie da się uruchomić wcześniej niż w 1980 roku.

Zwłoka w harmonogramie budowy jest w zupełności zrozumiała i uzasadniona. Budowa takiego obiektu związana jest z ogromnymi trudnościami. Każda poszczególna fabryka kompleksu jest niezwykle złożona budowa, a przecież trzeba było jeszcze stworzyć całą infrastrukturę,

znającą się z obsługiwaniem zamówionego sprzętu. Z kolei wielu zagranicznych specjalistów pracuje w Nabierynnye Czelnach, montując, regulując i uruchamiając wydziały i automatyczne linie.

Należy podkreślić iż Związek Radziecki importuje nowoczesne wyposażenie i technologie, ale bynajmniej nie stosunki pracy. Do propozycji zachodnich firm wnoszone setki poprawek opartych na — z gruntu innym niż na Zachodzie — radzieckim ustawodawstwie pracy. Brygady robotników zmieniają swoje odcinki co tydzień. Kwalifikacje robotnika pozwalają mu wykonywać jako minimum trzydziści przeróżnych operacji. Innymi słowy, toczy się walka przeciwko monotonii pracy na przemożniku. Dodajmy do tego, iż w przyszłości „Kamaz” będzie wysoce automatyzowanym kompleksem produkcyjnym. Ponad 80 procent wszystkich

Z KRAJU RAD

GIGANT NA KAMIE

wymagającą wybudowania na terytorium „Kamaz” 250 kilometrów gęstego sieci drogowych z rozbudowaną siecią bocznic, kilka tysięcy kilometrów rurociągów itp. itd. Należy do tego dodać problemy budownictwa mieszkaniowego: na teren budowy, dosłownie w ciągu kilku miesięcy, przybyło dziesiątki tysięcy robotników. „Kamaz” otrzymuje teraz codziennie ponad tysiąc rodzajów przeróżnych materiałów i detali. To z kolei wymagało uruchomienia wielu nowych przedsiębiorstw oraz rozszerzenia już posiadanych, a na to trzeba było oczywiście czasu.

Przy budowie „Kamaz” zastosowano najnowsze współczesne metody. Na przykład w wielu wypadkach postanowiono zrezygnować ze zwyczajnych fundamentów. Beton lano bezpośrednio wprost do wykopów i dopiero potem układano w tych miejscach cięgi oporowe. Odpadała konieczność przemieszczenia zbędnych milionów metrów sześciennych ziemi, zaoszczędzono niemało środków i sił, wygrywano na czasie. Szeroko stosowano gotowe żelazobetonowe bloki. Nieraz montowano budynki z bloków ważących po 20 ton. Decydującą rolę odegrała metoda nazywana w ZSRR budownictwem potokowym. W ogólnych zarysach chodzi o maksymalny zysk na czasie w drodze kompleksowego prowadzenia wszystkich prac budowlano-montażowych.

Robocze rysunki fabryki i linii technologicznych wykonywano podczas procesu pracy. Ustawianie maszyn i warsztatów rozpoczynano jeszcze przed zakończeniem budowy hal fabrycznych, natychmiast jak tylko pojawiały się nad nimi dachy. A niektóre wydziały i linie rozpoczęły produkcję kiedy jeszcze wokół trwały gorączkowe prace budowlane i montażowe. Równoległe z tym wykonywano rysunki przyszłych samochodów ciężarowych. Ich prototypy zbudowano w zakładach im. Lichaczowa w Moskwie i tamże przeszły one pierwsze próby drogowe. Przewidywane jest, iż taka właśnie metoda pozwoliła na wygospodarowanie minimum trzech lat.

Innym ważnym czynnikiem budowy była szeroka międzynarodowa współpraca. Ponad 80 firm krajów socjalistycznych i kapitalistycznych wzięło udział w realizacji tego ogromnego zamierzenia. Setki robotników i inżynierów „Kamaz” pracowało i pracuje, w wielu zagranicznych firmach, gdzie przyjmują i zapo-

operacji będzie się wykonywać bez udziału rąk ludzkich.

W tym celu szczególną uwagę zwrócił się na informatykę. Do projektu „Kamaz” włączono automatyczny system sterowania. Do chwili obecnej zrealizowano pierwszą część planu jego wdrażania, co pozwala na opanowanie podstawowych problemów produkcyjnych, dokonywanie ekonomicznych kalkulacji, rozkładanie czasu pracy, analizowanie warunków eksploatacji samochodów towarowych. Kierownictwo zakładów może się, na przykład, dowiedzieć, ile kilometrów przebył każdy samochód ciężarowy, który zszedł z przenośnika montażowego i w jakich warunkach, jakie części zapasowe były mu potrzebne. W niedalekiej przyszłości wszystkie operacje będą poddawane kontroli automatycznego systemu sterowania, który odegra decydującą rolę w olbrzymim zespole produkcyjnym, gdzie każdy element jest związany z wieloma innymi.

Jest zupełnie oczywiste, iż takie przedsięwzięcie, i realizowane w takich warunkach, nie mogłoby być u rzeczywistione bez ofiarnego trudu ludzi, ich wiedzy i inicjatywy. Określona rolę odegrało współzawodnictwo zorganizowane przez członków partii, członków związków zawodowych i organizacji komsomolskich.

Samochody ciężarowe z marką „Kamaz” zmieniają strukturę parku samochodowego ZSRR. Już rozpoczęło ich eksport do krajów RWPG. Niewykluczone, iż z czasem „Kamaz” będą również sprzedawane do krajów kapitalistycznych, gdzie już demonstrowano poszczególne ich modele. Tutaj, w „Kamaz” patrzy się w przyszłość z ufnością. Budowę pierwszej części kompleksu zakończono, realizuje się budowę drugiej, która doprowadzi „Kamaz” do pełnej mocy produkcyjnej. Ale już dziś „kamazowcy” myślą o jeszcze dalszej przyszłości. Istnieją plany rozszerzenia kompleksu przewidujące budowę dwóch dalszych zakładów i nowych hal produkcyjnych, istnieją plany nowych modeli samochodów ciężarowych o podwyższonej sile i sile udźwignięcia, nowych silników dieselskich. Krótko mówiąc — chociaż samochody ciężarowe już schodzą z przenośników, „Kamaz” dopiero teraz zaczyna rosnąć.”

JERZY CZECH

*) Wg reportażu zamieszczonego w tyg. „France — USRR Magasin”.

AMERYKANIE O POLITYCE SWEGO RZĄDU

Z każdym dniem nasila się krytyka zagranicznej polityki rządu USA. Oto co mówi na ten temat pracownik naukowy Instytutu Badań Politycznych w Waszyngtonie, Richard Barnett, na łamach „New York Times”:

„Rozpoczynając kampanię przeciwko ZSRR w sprawie „uszywania stowiska” akurat podczas obrad specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, rozbrojenia, rząd USA miał na widoku określony cel. Celem tej rządowej kampanii było osiągnięcie doraznych efektów politycznych, a głównie uzyskanie większego poparcia dla prezydenta i siebie w kraju. Kazania Cartera i Brzezińskiego przypominają peryory bardzo wczesnego okresu, kiedy to u władzy był Kennedy. W owych latach radziecy przywódcy, jak twierdził przedstawiciel Biłego Dому, także „wypróbowywali odwagę” dopiero co opierzonego rządu. W owych latach prezydent, który doszedł do władzy otrzymując nieznacznie przewagę głosów i stając w obliczu nasilających się politycznych nacisków, jakże próbował zdobyć zaufanie dla siebie wewnątrz kraju, występując z utrzymanymi w ostrym tonie oświadczeniami w stylu zimnej wojny. Jednakże powrócenie strategii lat 60-tych teraz, kiedy wstąpiłoby niemal w lata 60-tych, jest nader niebezpieczną grą. Dział USA nie mają już monopolu na produkcję broni jądrowej. Bada Bezpieczeństwa Narodowego USA obliczyła, iż w wypadku wojny jądrowej zginęłoby 140 milionów Amerykanów, a 75 proc. naszego kraju ległoby w gruzach. Zaden kraj nie mógłby się uważać za zwycięzcę.

Wojny jądrowej nie można sobie wyobrazić, ale bynajmniej nie jest ona wykluczona. Nie wybuchnie w wyniku jakiegoś umyślnego aktu. Zaden przywódca ze zdrowym rozsądkiem nie narazi na śmierć milionów swoich współobywateli w imię prestżu, kobalitu, miłości, możliwości dojścia do władzy jakiegos nowego go rządu w jakimś kraju lub w imię jakichkolwiek innych interesów, z powodu których kraje rozpoczynają wojny. Jednakże wojna jest możliwa w okresie najbliższych 30 lat w konsekwencji pomyłki, jeśli nie ulęgną zmianie stare, zrutyzywane idee i stare polityczne odruchy.

Obietnica, jaką złożył prezydent Kennedy obejmując stanowisko prezydenta; zapłacić każdą cenę, włącznie na siebie, każde brzemie, żeby tylko nie dopuścić do rozpowszechnienia radzieckich wpływów, być może, mogłoby jeszcze wzbudzić w kimś entuzjazm. Jednakże będzie ona w coraz większym stopniu wykazywać swoje całkowite bankructwo, albo też kiedy nasz bluff wyjdzie na jaw, może nas porazić w ośchłąch laktach okropność, w porównaniu z którą mamy udział w wojnie wietnamskiej wyda nam się jakimś ogólnonarodowym piknikiem. Dobrze zrobinilibyśmy pamiętać o tym, że 30 lat okresowych rozmów z pozycji nieustępliwości i 1,75 trylionów dolarów na zbrojenia nie przetrwały Związku Radzieckiego, lecz sprzyjały nieustannemu wzrostowi jego potęgi.

Logika wysiłku zbrojeń, wprowadzająca różne standardy postępowania naszych przeciwników i nas samych (nasze bazy — w imię pokoju, ich rakiety — w imię wojny, ich rakiety napadają, nasze — bronią i t.j.) nie może współistnieć z polityką odprężenia. Albo zmienimy reguły rzeczywistości wydane rozbrojenie, wprowadzając ograniczenia w tworzeniu baz, w globalnym handlu bronią, w tajnych operacjach, albo gra, którą prowadzimy zakończy się wojną jądrową jeszcze za naszego życia.”

(C)

NIEOCZEKIWANY WYBÓR SPOTKANIE SZEFOW DYPLMACJI CHINY PORZUCAJĄ ALBANIĘ

Nie sprawdziło się żadne z przewidywań — prezydentem Włoch został nie chadek, lecz socjalista. Po wielu turach głosowania partie osiągnęły porozumienie i elektozcy najwyższą liczbą głosów w całej powojennej historii wybrali nowym szefem państwa Sandro Pertiniego, sędziwego, bo liczącego już 82 lata, członka PSI. Po raz pierwszy — powiedział Enrico Berlinguer, sekretarz generalny WIPK — „socjalistyczny działacz ruchu robotniczego, który zawsze działał na rzecz jego jedności” zajął miejsce w pałacu prezydenckim.

Na wydarzenie to trzeba spojrzeć przede wszystkim pod kątem zwycięstwa lewicy i to w pierwszej kolejności komunistów, gdyż oni najwcześniej udzieliłi poparcia tej kandydaturze. Trzeba też spojrzeć jako na pewne nieporozumienie partii chrześcijańsko-demokratycznej, której nie udało się przenieść swego kandydata na najwyższe stanowisko w państwie.

Sandro Pertini ma piękną przeszłość i duże doświadczenie polityczne, jest ponadto, jak to się podkreśla, postacią integrującą. Prasa włoska, niezależnie od jej politycznego oblicza, pisze o nim z sympatią i jeśli coś budzi zastrzeżenia — to wiek, gdyż na końcu swej siedmioletniej kadencji nowy prezydent

będzie miał już prawie 90 lat. Sam Pertini mówi żartobliwie, że cała jego rodzina jest długowieczna i lata, jakie ma za sobą, choć wypełnione także wyciekami, wcale mu nie ciąży.

Wybór socjalisty jest dość wymowny — świadczy o procesie „pewnego lewicowania” życia politycznego Włoch. Wcześniej bowiem, o czym tylko wspomniamy, utworzona została koalicja parlamentarna z udziałem m.in. komunistów. Pertini kładzie duży akcent na potrzebie reform, których — jak to zaznaczył — masy pracujące oczekują od lat.

Co trudnościach i złożonościach życia we Włoszech pisaliśmy wielokrotnie. Trudno klasyfikować, ale bodaj największą dylematy jest bezrobocie, występujące we wszystkich częściach kraju, lecz najpotężniej na południu. Jego ograniczenie widać się musi z ożywieniem gospodarczym. Należy przypuszczać, że po wybraniu z kryzysów politycznych, które w tym roku występowały w Italii jeden po drugim, teraz główna uwaga koncentrować się będzie właśnie na tym temacie. Zapowiedział to niejako Pertini, znajdując w swym inauguracyjnym przemówieniu eksponowane miejsce na kwestię zapewnienia

pracy i stworzenia wszystkim względnych warunków bytowania.

Wybór socjalisty na fotel prezydencki odbił się rozległym echem w prasie światowej i Włochy znów znalazły się w centrum zainteresowania. I my z pewnością będziemy powracać do tematu. A teraz o innych wydarzeniach.

W Genewie zakończyły się dwudniowe rozmowy Andreja Gromyki z Cyrusem Vance'em. Obaj szefowie dyplomacji złożyli następnie oświadczenia, podkreślające, iż „dokonano pogłębionej wymiany poglądów na niektóre problemy, interesujące zarówno ZSRR jak i USA”. Szczególną uwagę poświęcono przygotowaniu nowego porozumienia o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych. „Obie strony uważają, że wymiana poglądów była pożyteczna i umożliwiła dalsze zbliżenie stanowisk co do pozostałych, nie uzgodnionych jeszcze zagadnień”. Z oświadczeń dowiadujemy się ponadto, że omawiano także problem całkowitego i powszechnego zakazu prób z bronią jądrową, sytuację na Bl. Wschodzie oraz niektóre sprawy, dotyczące stosunków dwustronnych.

Do genewskiego spotkania szefów obu dyplomacji przywiązywano dużą wagę. Oczekiwano, że rozmowy będą trudne, ale też spodziewano się utworzenia przez nie drogi ocieplenia wzajemnych stosunków, które, przypominamy, w ostatnim czasie zostały przyhamowane. Powodem tego były oficjalne oświadczenia strony amerykańskiej, w których pobrzmiwały chłodne tony. Ocenialiśmy, że do głosu dochozą kół, zwią-

zane z kompleksem militarno-przemysłowym.

Czy genewskie rozmowy obu polityków przyczynią się do nawiązania znów realistycznego dialogu?

Zbyt wcześnie, aby odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Obserwatorzy są dobrej myśli, ale najbliższa praktyka to wykaże.

Spśród licznych wydarzeń tygodnia odnotujmy oświadczenie Albanczyńskiej Agencji Prasowej ATA, z którego wynika, iż rząd chiński zaprzestął wszelkiej pomocy dla Albanii, wstrzymał dla niej kredyty oraz przerwał szereg inwestycji, prowadzonych przez chińskich specjalistów. ATA stwierdza, że w ten sposób kierownictwo chińskie „naruszając z wielkocesarstwą arogancją porozumienie zawarte między obu stronami (...) świadomie podważa i niszczy przyjaźń między obu narodami”.

Już od dłuższego czasu nanywały sygnały o tarciach na linii Pekin-Tirana. Teraz mamy tego oficjalne potwierdzenie. O co chodzi? O poważne rozbieżności polityczne z obecnym kierownictwem maoyistycznym, które albańska agencja oskarża o odejście od naukowej teorii marksizmu-leninizmu i zbliżenie do imperialistycznych i reakcyjnych sił na świecie oraz współpracę z nimi.

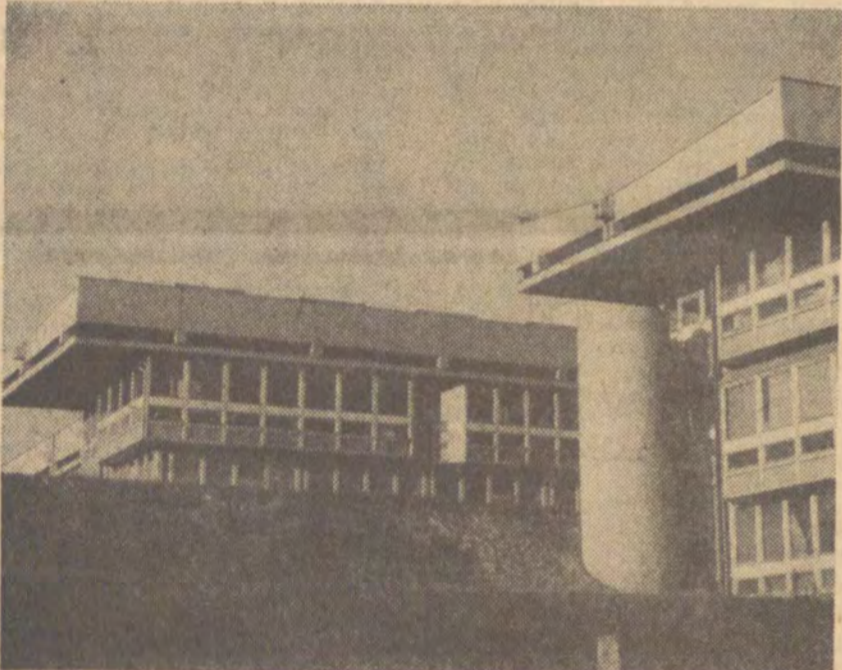
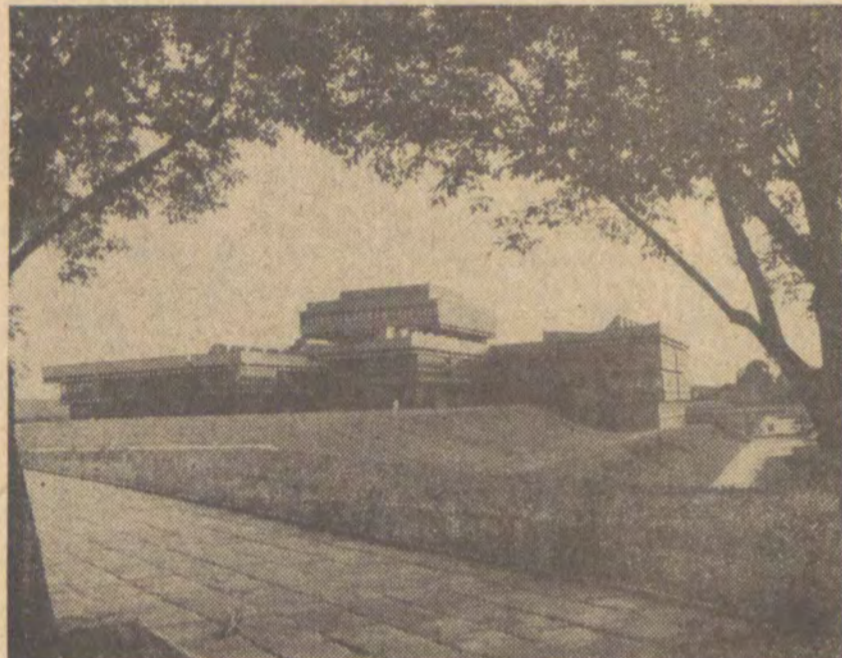
W wydaniu albańskim otrzymaliśmy więc ocenę polityki zagranicznej Chin, która, jak niejednokrotnie pisaliśmy, zmierza do najściślejszego współdziałania z siłami antypodprentowymi i antypokojowymi.

W. SŁAWSKI

MISTER ŁODZI

PAŃSTWOWA WYŻSZA
SZKOŁA SZTUK
PLASTYCZNYCH

Foto: Janusz Kupiecki



Początków sportu w Łodzi należy doszukiwać się w okresie narodzin Łodzi przemysłowej, a to jest na przełomie lat 1823—1824. Pionierską organizacją o profilu sportowym było założone w roku 1824 „Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie”. Założycielami byli mistrzowie sukiennicy, którzy przybyli do Łodzi ze Śląska jako pionierzy łódzkiego włókiennictwa, a powołując do życia Towarzystwo kontynuowali swoje tradycje strzeleckie wyniesione z bractw kurkowych bardzo popularnych na Śląsku. Siedziba Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego mieściła się w lokalu przy ulicy Wschodniej 31. Statut Towarzystwa był pierwszym ze wszystkich statutów, jakie zatwierdziły ówczesne władze rosyjskie. Pierwszym królem kurkowym w 1827 roku został burmistrz Łodzi — Czarkowski. Działalność Łódzkiego Towarzystwa Strzeleckiego została ograniczona w 1830 roku, gdy część członków Towarzystwa wstąpiła do szeregów powstańców, a władze rosyjskie w drodze administracyjnej zawiesiły jego działalność.

Po upadku powstania uzyskano zgodę władz na wznowienie działalności, odbywała się ona jednak pod stałym nadzorem policyjnym. W 1863 roku Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie ponownie przerwało swą działalność wskutek zarządzenia władz carskich. Po upadku powstania gro- no ludzi wpływowych, a jednocześnie nie związanych z ruchem powstań- cym (K. Scheibler, ks. Schmidl, pastor Metzner i inni) przejęli za zgodą władz ster kierowania Towarzystwem. Zostało ono zgermanizo- wane, otrzymało nazwę „ŁODZER

próby uświadomionych narodo- wo polskich kół postępowych zrzeszo- nych w Towarzystwie Oświaty Naro- dowej, a dążących do zapewnienia nielicznym grupom młodzieży pol- skiej możliwości legalnego uprawia- nia ćwiczeń sportowych — napoty- kały stałe odmowy władz guber- nialnych nie wyrażających zgody na zatwierdzenie statutu organizacyj- nego. Rozwojowi sportu polskiego w Łodzi w okresie wystąpień rewolu- cyjnych 1905—1907 roku i w okresie wojny rosyjsko-japońskiej stał na przeszkodzie ponadto okólnik war- szawskiego general — gubernatora Skalkona z 4 września 1906 roku wieszający na czas trwania stanu wojennego działalność towarzystw gimnastycznych oraz zabraniający w przyszłości zakładania nowych or- ganizacji sportowych.

Aby ominąć te zarządzenia i nie ustawać w już podjętej działalności sportowej, chwytano się różnych środków. Między innymi powoływa- no organizację sportową, nadawano jej nazwę i zgłaszano statut do zat- wierdzenia władzom gubernialnym, z tym oczywiście przekonaniem, że zgody nie będzie. Ale dzięki temu uzyskiwano parę miesięcy na — w miarę jawną — działalność. W ten sposób kontynuowano działalność gimnastycznych zastępów sokolich od grudnia 1905 roku, kiedy zawiązało się Towarzystwo Gimnastyczne „SO- KOL”. Nie zalegalizowane — odro- dziło się w maju 1907 roku pod naz- wą „Towarzystwo Miłośników Gim- nastyki”, następnie działało pod kon- spiracyjną nazwą Towarzystwa Śpie- waczego „ARFA” i dopiero w 1909 roku uzyskało legalizację jako „To-

„Igrzyska olimpijskie” rozegrane 16 maja 1912 roku z okazji otwarcia nowego boiska sportowego ŁKS przy ulicy Srebrzyńskiej nr 37/39. W ra- mach uroczystości odbyły się pierw- sze w Łodzi zawody lekkoatletyczne o charakterze międzyklubowym z u- działem zawodników z klubów łód- zkich i warszawskich.

U schyłku XIX wieku dotarła do Łodzi szermierka. Od 1893 roku ist- niał w Łodzi zakład leczniczo-gimna- styczny Aleksandra Surowieckiego przy ulicy Mikołajewskiej 22. W za- kładzie tym A. Surowiecki prowadził „szkołę fechtunku”, z której korzy- stali między innymi członkowie nie- legalnych drużyn sokolich gniazda łódzkiego. A. Surowiecki — prekursor polskich przodowników gimna- styki w Łodzi i dyplomowany fecht- mistrz — pracował ponadto od 1909 roku w Szkole Handlowej Kupiec- twa Łódzkiego przy ulicy Dzielnej 58 (obecnie Narutowicza), gdzie prowa- dził zajęcia wychowania fizycznego oparte głównie na gimnastyce i szermierce. Lekcje i doroczne popisy szermiercze wychowanków tej szko- лы odbywały się przy użyciu lanc i lasek. Podobną formę fechtunku propagowano w działającym od 1911 roku kole szermierczym przy Towar- zystwie Zwoleńników Rozwoju Fi- zycznego przy ulicy Nawrot 23.

Tenis ziemny — dyscyplina spor- towa, która dotarła do Łodzi rów- nież u schyłku XIX wieku propaga- wana była początkowo przez graczy rekrutujących się z bogatych sfer przemysłowców łódzkich rozgrywa- jących partie „lawn tennis” na kort- ach Towarzystwa Cyklistów Łódz- kich (ulica Przejazd 5) oraz na wy-

ANDRZEJ BOGUSZ

POCZĄTKI SPORTU W ŁODZI

BÜRGER SCHÜTZEN — GILDE” i do końca zaborów pozostawało w rękach zamożnych kupców i prze- mysłowców łódzkich, lojalnych oby- wateł pochodzenia niemieckiego. Rok 1886 był w historii Łodzi szczególnie bogaty w wydarzenia rzutujące na przyszłość i rozwój sportu łódzkiego. Przy oddziałach: pierwszym (ul. Konstantynowska 2) i trzecim (ul. Mikołajewska 54) Łódz- kiej Ochotniczej Straży Ogniowej zorganizowano grupy amatorów u- prawiania ćwiczeń gimnastycznych. W ten sposób powstały załóżki sekcji gimnastycznych późniejszych nie- mieckich stowarzyszeń sportowych: Łódzkiego Towarzystwa Gimnastycz- nego „SILA” (KRAFT), Łódzkiego Towarzystwa Sportowo-Gimnastycz- nego i Łódzkiego Towarzystwa Gim- nastycznego „Aurora”.

W lipcu 1886 roku założone zostało „Towarzystwo Cyklistów Łódzkich” — stowarzyszenie pionierskie w histo- rii łódzkiego kolarstwa i tenisa ziemnego. Pierwsze wycieczki dwu- kolowe pojawiły się na ulicach Łodzi w czerwcu 1886 roku, w tym samym miesiącu pierwszy łódzianin odbył na bicyklu wycieczkę do Piotrkowa i z powrotem, która trwała 9 godzin. Pionierzy sportu kolarskiego w Łodzi wynajęli w lipcu 1886 r. plac przy „Nowym” kościele (ulica Przejazd 5), na którym urządzili tor przeznaczony do ćwiczeń i popisów na bicyklach, a wewnątrz toru wybudowano pierw- szy w Łodzi kort tenisowy.

Towarzystwo Cyklistów Łódzkich skupiało w swych szeregach wyłąc- nie młodzież pochodzenia niemieckie- go, a sport kolarski cieszył się du- żym zainteresowaniem również wśród młodzieży polskiej. Rozpoczęto więc starania o utworzenie własnej organizacji sportowej. Nie mogąc u- zyskać zgody władz gubernialnych utworzono w lutym 1889 roku Kon- sulat Łódzki Warszawskiego Towar- zystwa Cyklistów. Pierwszym konsu- lem wybrano Mieczysława Zbiew- skiego.

W 1895 roku założone zostało kole- jne stowarzyszenie sportowe „Łódz- ki Oddział Towarzystwa Welocepedy- stów-Turystów”, którego centrala mieściła się w Petersburgu. Stowa- rzyszenie to zrzeszało w swych szere- gach członków narodowości rosyj- skiej zamieszkujących w Łodzi w okresie zaborów.

Od 1896 roku działa „Łódzkie To- warzystwo Gimnastyczne SILA” (KRAFT), a od 1897 roku — „Towa- rzystwo Zwoleńników Gry Szachowej” i Stowarzyszenie Sportowe „UNION”.

Zakładaniu tych organizacji sku- piających ludność mniejszości naro- dowych towarzyszyło przychylnie sta- nowisko władz carskich. Natomiast

warzystwo Zwoleńników Rozwoju Fizycznego”.

Zycie sportowe Łodzi okresu za- borów ograniczało się w początko- wych latach swego rozwoju do dzia- łalności gimnastycznej, kolarskiej, szachowej i strzeleckiej. Dopiero od 1906 roku wchodziła w modę piłka nożna, a wraz z nią lekka atletyka spowodowały powiększenie się szere- gów łódzian czynnie uprawiają- cych sport. Został on opanowany przede wszystkim przez polską mło- dzież szkolną oraz część bogatszego mieszczaństwa. Pierwsze zespoły pił- karskie w Łodzi powstały przy już istniejących stowarzyszeniach spor- towych na początku 1906 roku. Pio- nierska była drużyna piłki nożnej w Stowarzyszeniu Sportowym „UNION”, która ćwiczyła i rozgrywała nielicz- ne mecze na boisku zlokalizowanym wewnątrz toru kolarskiego zbudowa- nego w 1893 roku w parku będącym własnością Anstadtów — Łódzkich piwowarów — w Helenowie.

Polskie zespoły piłkarskie utwo- rzone zostały w „Łodzianie” (póź- niej Łódzki Klub Sportowy) w 1908 roku i w Towarzystwie Miłośników Rozwoju Fizycznego na Widzewie w 1910 roku.

Od lata 1910 roku rozgrywane by- ły mecze piłkarskie o mistrzostwo Łodzi z udziałem zespołów i Stowa- rzyszenie Sportowe „UNION”, Tou- ring — Club (były Łódzki Oddział Towarzystwa Welocepedystów — Tu- rystów), Łódzki Klub Futbolowy „VIKTORIA” (założony w 1908 r.), Łódzki Klub Sportowy, Towarzystwo Sportowe „Newcastle” (założony w 1910 r.), Towarzystwo Miłośników Rozwoju Fizycznego „WIDZEW”, Łódzkie Towarzystwo Gimnastyczne „ACHILLES” (założony w 1910 roku).

Organizacją mistrzostw zajmowa- ła się Łódzka Liga Sportowa powo- łana wiosną 1910 roku przez ogólne zebranie przedstawicieli stowarzyszeń biorących udział w rozgrywkach. W kolejnych edycjach rozgrywek przed I wojną światową tytuły mistrzows- kie uzyskiwały:

— w 1910 roku — ETG „SILA”
— w 1911 roku — TS „NEWCAS- TLE”
— w 1912 roku — Łódzki Klub Sportowy

— w 1913 roku — Łódzki Klub Sportowy.

Drużyny piłkarskie istniały rów- nież przy stowarzyszeniach spor- towych propagujących ogólny rozwój fizyczny członków.

Wraz z budowaniem boisk piłkar- skich i wyposażaniem ich w urzą- dzenia lekkoatletyczne (bieżnie, skocznie, rzutnie) — zaczęto organi- zować zawody lekkoatletyczne. Naj- poważniejszą imprezą lekkoatletyczną Łodzi przed I wojną światową były

budowanych w 1895 roku dwóch kort- ach tenisowych w obrębie parku Anstadtów w Helenowie. W 1913 r. założony został w Łodzi Klub Spor- towy „LAWN TENNIS”, który prze- jął korty w Helenowie do wyłączne- go użytkowania swych członków. Uprawianie tenisa ziemnego przez polską młodzież rozpoczęło się do- piero w 1914 roku kiedy oddane zo- stały do eksploatacji dwa korty teni- sowe wybudowane w obrębie boi- ska sportowego ŁKS przy ulicy Sre- brzyńskiej 37/39. Widząc duże zain- teresowanie tenisem ziemnym wśród młodzieży szkolnej, ogólne zebranie członków ŁKS, które odbyło się 18 marca 1914 roku zobowiązało zarząd klubu do utworzenia sekcji teni- sowej oraz organizacji turniejów teni- sowych. Na wiosnę 1914 roku utwo- rzone również sekcje tenisa ziemnego przy Towarzystwie Miłośników Rozwoju Fizycznego „WIDZEW”. Gry odbywały się na wynajmowa- nych kortach ŁKS oraz na własnym boisku uzyskanym od Towarzystwa „Ludwik Geyer” przy ulicy Czerwo- nej 8/10.

W 1909 roku założone zostało To- warzystwo Zwoleńników Sportu — zmierzające do krzewienia różnorod- nych form ćwiczeń fizycznych czło- nków, a zwłaszcza zainicjowanej przez Władysława Pyłasińskiego akcji propagowania ciężkoatletyki i gim- nastyki higieniczno-leczniczej dla osób starszych.

Dzięki zakonspirowanemu Towa- rzystwu Gimnastycznemu „Sokół” rozwinęła się jako nowość gimna- styka kobieca. Niewiasty, wywodzą- ce się zwłaszcza z bogatych kręgów mieszczańskich, próbowały również owoych sił w krótkodystansowych (do 5 wiorst) wycieczkach kolarskich, w konkursach strzeleckich oraz upra- wiali jazdę na wrotkach i łyżwach.

W połowie 1914 roku działało w Łodzi 31 organizacji sportowych, w tym 15 było organizacjami skupiających członków narodowości niemieckiej, 9 polskich, 1 rosyjska, 1 żydowska i 5 mieszanych — skupiających różne narodowości. Najpopularniejszą dys- cypliną sportową Łodzi okresów za- borów była gimnastyka, którą upra- wiali członkowie 24 organizacji spor- towych, piłkę nożną uprawiano w 9 organizacjach, a kolarstwo w 6.

Ostatnią dużą imprezą sportową w Łodzi przed wybuchem I wojny światowej były rozegrane 27, 28, 29 czerwca międzynarodowe mecze pił- karskie, w których przeciwko naj- silniejszej drużynie europejskiej tego okresu — czeskiej drużynie ATLE- TIC CLUB „SPARTA” (Praga) — wystąpiły trzy drużyny reprezenta- cyjne Łodzi wyłonione przez zarząd Łódzkiej Ligi Sportowej. „SPARTA” wygrała z nimi: 16:0, 14:0, i 8:0.

SĘDZIWI ALBUM RODZINNY

Rekord pobity! Ze wszystkich wyświetlanych dotąd w telewizji seriali ten był najdłuższy. 26 odcinków po 55 minut każdy liczyła sobie wyprodukowana przez telewizję BBC „Saga rodu Palliserów” (tytuł oryginalny: „The Pallisers”). Gdyby nadawać całość tego serialu ciurkiem, zajęłoby to blisko dobę, natomiast przyjęty rytm cotygodniowy zapewnił nam towarzystwo Palliserów przez pół roku, od połowy stycznia do 11 lipca.

Najpierw warto może powiedzieć sobie parę słów o materiale literackim, który posłużył reżyserom: Simonowi Ravenowi, Hughowi Davidowi i Rolandowi Wilsonowi do tej gigantycznej produkcji, będącej odpowiednikiem circa piętnastu filmów pełnometrażowych. Anthony Trollope, syn pisarki Frances T., i młodszy brat powieściopisarza Thomasa Adolphiusa T., żył w latach 1815-1882. Miał dwadzieścia dwa lata, gdy po bezpłodnej śmiertci swego stryja Wilhelma IV wstąpiła na tron brytyjski 18-letnia królowa Wiktorja. Gdy umierała, królowa Wiktorja miała za sobą 45, a przed sobą jeszcze prawie dwadzieścia lat panowania.

Rozwój pisarstwa Trollope'a przypadł na tzw. okres średniowiekowiński, poprzedzający nasilającą się pod koniec XIX wieku erę ekspansji imperializmu brytyjskiego. Pisarz tworzył więc w atmosferze nie skąpej jeszcze dążeń liberalnych rządów Gladstone'a, nastawionej głównie na rozładunek wywołanie napięć wewnętrznych nekajacych Wyspy Brytyjskiej z Irlandia włączając i na demokratyzację funkcjonowania systemu parlamentarnego wraz z jego dwupartyjnością.

Problemem życia wewnętrznego w Anglii i mechanizmami życia politycznego poświęcił Trollope cały cykl swoich powieści, takich jak „Phineas Finn” (1889), „The Prime Minister” (1876; po polsku powiadeliśmy: „Premier”) i in., w których losy arystokratycznej rodziny Palliserów odgrywały podobną rolę napędową, jak niecierpiących Forystów w cyklu powieściowym Johna Galsworthy'ego.

Trudno porównywać „Palliserów” z „Forystami”. Galsworthy to pisarz, którego twórczość należy do wieku XX. Jego range pisarska wyznacza przynajmniej rok 1932 r., na rok przed śmiercią, literackiej Nagrody Nobla. Trollope jest pisarzem XIX-wiecznym, z pewnością niższego lotu, ale nie bez znaczącego talentu bystrej i krytycznej obserwacji, zaprawionej dyskretną ironią rodzimym z klasycznej powieści angielskiej.

Powodzenie „Palliserów” na naszych ekranach, które było ewidentne, dowodziło, że realizatorzy serialu dobrze wykorzystali wiele z walorów tkwiących w pisarstwie Trollope'a. Dotyczy to szczególnie wątków sentymentalnych i melodramatycznych (romans młodzieńcy Glenkory czy Alicji Vavasor, śmierć starego księcia, śmierć Glenkory itp.), epizodów sensacyjnych (proces Finna, afera Lopez), ale także rozważałości życia wiktoriańskiej Anglii na szczeblu sfer wyższych, jak również funkcjonowania instytucji życia publicznego, zwłaszcza Izby Gmin.

gorzej powiodło się chyba z przeniesieniem na ekran spraw niematerialnych, obłóczka angielskiego humoru, jakim owiane są stronicie książek Trollope'a. Miejsce pobytujące tam raz po raz cienie ironii i nieutożsamiania się autora ze sposobem myślenia i postępowania bohaterów, słowem dystansu narratora wobec fabuły, zajęła dosłowność, dążność do identyfikacji widza z postaciami serialu, co jak sądzi odpowiada większej części telewizyjnej. Zwłaszcza gdy te postacie interpretowane są przez aktorów o wysokiej sprawności warsztatowej i potrafiących zaskarżyć sobie sympatię publiczności.

Mam tu przede wszystkim na myśli Philipa Lathama, który tworzy postać księcia Plantageneta z jednolitej, a jak przy tym fascynującej materii. Tuż obok wymienić należy wykonawcę rolę lady Glenkory, niezamiennej Fleur z „Sagi rodu Forystów” — Susan Hampshire, która jest sumą wdzięku i uroku. Z całej pleiady gwiazd wymienić może jeszcze Rolandą Culvera jako starego księcia Pallisera.

Pół roku to szmat czasu. Dość by żyć się gruntownie z bohaterami serialu, ponać ich charakter, z satysfakcją stwierdzać, że nas w chwilach próby nie zawiodą wreszcie potuliby i zaangażować w ich kłopoty, cierpienia i radości. „Palliserowie” nie są ekranowym arcydziełem, jak zapewne nie jest nim ich literackie źródło. Zaspokajają jednak skutecznie tę pragnienia i aspiracje estetyczne masowej widowni, które kierowane są pod adresem kolejnych pojawiających się na ekranie seriali.

Wtorkowy wieczór w przeciętnej polskiej rodzinie zespolił się z pojawianiem się w naszych domach Palliserów, a troska o szczęście rozwikłanie tarabun milosnych lorda Silverbridge'a czy księżniczki Mary — choć tak obcych naszej współczesności — spalała w jedynymyślności miliony ludzi. Myślę, że lęk powstał wobec zakończenia projekcji serialu nie tak łatwo będzie zapełnić.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

Obandażowane drzewo

Od czasu, kiedy Henry Moore wystawił swoje rzeźby w plenerze, w Parku Battersea, zainteresowanie przyrodą jako temem dla dzieł sztuki znacznie wzrosło. Nawet niektórzy artyści — autentyczni, a częściej rzekomi — oczekli kłase własne znaki na tworach przyrody na tej zasadzie, że jeżeli Wojtera Józef z Klajfy wyrzeje na glazie serce przebite strzałą oraz własne lub cudze inicjały, to jest to wycyzn chuliński. Jeżeli natomiast coś podobnego zrobi artysta plastyk z metropolii, to jest to akt kreacji. Był taki, na szczęście krótki, okres w sztuce, że wszystko, co robił artysta, miało walor dzieła sztuki, nawet własna kupa lub własna ręka skopana grządką. Bówiem twórca to jak Stwórca: dotknięcie Jego i Jego ręki zmienia świat.

Było, minęło. Plener, jako tło dla rzeźby został Chwała temu, kto wymyślił trawnik w pasażu ZMP jako miejsce permanentnej ekspozycji. Bówiem dziś Mahomet zbyt jest pochłonięty pracą dodatkową i kolejkami, wobec czego góra musi częściej przychodzić do Mahometa. Dotyczy to wielu dziedzin sztuki, pozostałny jednak przy tym, co jest do zobaczenia w pasażu ZMP.

Z okazji czerwcowego Tygodnia Plastyki korona jednej z dorodnych lip sdbiających tę część miasta, została czynnym owinięta, jakby na nią włożono kaftan. Spontaniczna reakcja przechodniów zaczynała się od słów: „Co za gówniarz...” Potem jednak przychodziła refleksja. Dziś się takich pytać nie zadaje, bo nigdy nie wiadomo, kto się za tym kryje. A zatem rozważni przechodnie zdusili pytanie w zarodku i pocięli się rozglądać za informacją. Była! Powielona w setkach plakatów, wynikało zaś z niej, że takie drzewo w kaftanie nazywa się „Próba czystości”, stanowi wyraz eksperymentu w sztuce dokonanego wprawdzie jednostkowo przez niejakiego EDWARDA ŁAZIKOWSKIEGO, ale któż przedsięwzięciu nie pobogosławił? Związek Polskich Artystów Plastyków, Wydział Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź Śródmieście, podobny Wydział Urzędu Łódź Widzew, zakłady „Ela” i „Unioctex”, Biuro Wystaw Artyst. i Zakład „Art”. A jak skądinąd wiadomo, zezwolenia na założenie kaftanu udzieliło ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO OGRODNICZE, czyli urzędowy opiekun i obrońca tak dziś narażonej na zgubę zieleni miejskiej.

Co to jest eksperyment? Nie każdy pomysł zrodzony w zaciszu laboratorium lub gabinetu wytrzymuje konfrontację z życiem. Twórca stawia więc sobie pytanie: co się stanie, jeżeli pomysł zrealizuje?

Dla każdego rozsądnego człowieka było i jest rzeczą oczywistą, że nalożenie na koronę drzewa kaftanu może spowodować śmierć drzewa. Nie przewidział tego EDWARD ŁAZIKOWSKI i Instytut popierający Tydzień Plastyki. Instytucje zapewniały w dobrej wierze: plastyki należy popierać. Nikomu nie przyszło do głowy, że duszenie żywego drzewa może być następstwem inwencji twórczej. Z wyjątkiem jednej instytucji: ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA OGRODNICZEGO. Przerazaniem napawa mnie rola tej, jakże w zasadzie potrzebnej placówki. I wciąż nie wiem, czy służy ona obronie zieleni, czy też jej rola polega na usprawiedliwianiu niszczenia zieleni. Zwykle w lutym — marcu dzieją się w Łodzi rzeczy dziwne. Dorodne drzewa pozbawia się konarów — prasa pokazuje wtedy zdjęcia z podpisem: „Krajobraz po bitwie”; tuie się przepiękne krzewy tuż nad ziemią — odrastają latami. W osiedlach zjawiają się dziwni ludzie, obok dość już grubych pni młodych drzewek stawiają oienkie słupki i jedne do drugich przymocowują mocnymi paskami. Kiedy przed kilku laty nieumiejętnymi rękami zniszczono kilkadziesiąt starych topoli przy ul. Brackiej, przedstawiciele EPO rozkładali ręce. Teraz tętno resztę. Ale nie przyszło im do głowy, że pomiędzy skazanymi na śmierć drzewami można było już kilka lat temu dosadzić młode, by już rosły. Tyle o dziwnej roli EPO, które pozwoliło E. ŁAZIKOWSKIEMU nalożyć drzewu kaftan. Interesuje nas również sztuka, która może mieć takie następstwa, jak to, co dziś jeszcze można oglądać w pasażu ZMP.

To prawda, że cecha sztuki dwudziestowiecznej jest ucieczka od starych kanonów, sięganie do nie odkrytych regionów. Któż, jeśli nie wspomniany w wstępie Henry Moore, stanowi symbol tak rozumianej nowoczesności? Powiedział on: „DZIEŁO SZTUKI NIE MA NA CELU ODTWARZANIA ZJAWISK NATURY — NIE OZNACZA TO JEDNAK, ŻE JEST ONO UCIECZKA OD ŻYCIA”. Tak jak nie jest dziełem sztuki trocinami wycpany lew, tak nie wnosi się nowej wartości do kultury, zabijając drzewa. Zwykle pomysły z gatunku tzw. niewczesnych stanowią wyraz chęci epatowania ludzi, kiedy się trudno wylegitymować czynnym cennym. Jest to oczywiście prywatna sprawa kandydata na artystę. Póki nie przynosi społecznej szkody.

Jedną ze znakomych plastyk francuskich, Catherine Val pierwsze natchnienia czerpała ze znalezisk w lesie. Oczarowały ją relikwii przyrody, dzieła, które przyroda szczerą rozrzuciła ręką. By z nich również korzystali artyści. U podstaw sztuki Catherine Val leży przekonanie, że w lesie człowiek odkrywa w sobie prymityw, jakim był przed tysiącami, chętnie posiedziaby w jaskini lub szałasie, rozpalł ognisko, ubierał Jagód czy grzybów. Ale ona wyciąga z tego wniosek o więzi człowieka z przyrodą i tę więź manifestuje swoją sztuką. Gorzej, jeśli człowiek na widok drzewa na nowo odkrywa w sobie prymityw, który mu każe rąbać, fusić, zabijać, jak w niezapomnianym piensene Grzeszkowiaka z chłopię, który żywym nie przepuścił.

JERZY URBANKIEWICZ

Wieczór nad morzem

Byłem niedawno świadkiem występu aktora Teatru Słowackiego z Krakowa Jerzego Kopczeńskiego, który przedstawił monodram oparty na powieści Edwarda Redlińskiego „Konopielka”. Przedstawienie odbyło się w kawiarni Ośrodka Wczasowego „Polana” w Jantarze. Organizatorem był Zarząd Okręgu FWP w Gdańsku. Jantar, wieś, leżąca mniej więcej pośrodku drogi z Gdańska do Krynicy Morskiej, przekształca się na oczach w piękną miejscowość wypoczynkową. Jeszcze nie wszystko jest tam w porządku, obok ładnych zabudowań są ruiny, obok nowej szosy prowadzącej do morza, drogi piaszczyste, plaża nie uporządkowana, ale widać, że coś się tu dzieje.

Myśl zorganizowania wieczoru z aktorem była bardzo szczęśliwa. Wiadomo, jak wygląda rozrywka kulturalna w czasach. Nie są to sprawy takie łatwe, jak się do pomieszczeń mieszkalnych doprowadzona jest woda, do szeregów okien zaglądną sosny, co może być bardziej ponętnego dla człowieka, który lubi ciszę i przyrodę? Nieco gorzej przedstawia się sprawa z rozwiązywaniem potrzeb duchowych. Nie tak wielka sala kawiarniana i droga, dosłownie kłitka, nie pozwalają na urządzenie dwu imprez jednocześnie. Wiele kłopotów z tej przyczyny spadło na głowę kierownika od spraw kultury i rozrywki mgr Józefa S. Pawlika.

I w tej oto kawiarni jeden z wieczorów zajął aktor recytując znakomitą prozę Redlińskiego. Kopczeński, który ma za sobą siedemset przedstawień „Konopielki” (w kraju i za granicą), bardzo trafnie wybrał fragmenty powieści na przeszło godzinny spektakl. Uważam, że aktor wywiązał się ze swojego zadania znakomicie. Była to bardzo interesująca i sugestywna interpretacja. Kto zna tekst Redlińskiego, w ten sposób musiał sobie wyobrazić bohatera opowieści: brutalnego i chamskiego, ograniczonego, a jednocześnie wpadającego od czasu do czasu w sentymentalizm. Był to jednak sentymentalizm bardzo taniutki. Wyglądało to w ten sposób, jakby bohater drwił sam z siebie. Patrzył oto, jaki ja jestem. Jacy my tu wszyscy na tej wsi jesteśmy. Jaka to jest ta nasza wieś, która trzyma się uparcie starego. Jest to interpretacja, którą podpowiadają autor publikacji „Pisarze nurtu wiejskiego we współczesnej literaturze” (Biblioteka Narodowa, Instytut Bibliograficzny) Jakub Zdzisław Lichański i Stefan Lichański (który napisał wstęp): „Konopielka” jest drwiną skierowaną w dwie strony: doprowadza do absurdu wyobrażenia o wsi jako o kompletnym prymitywie (gwara gra w tej powieści) i samą rolę, co półinteligentni bełkot w „Transatlantyku” Gombrowicza), a jednocześnie atakuje chłopski konserwatyzm, broniący wszystkiego, co dawne i swojskie”.

Recenzent zwraca uwagę, że „Konopielka” dobrze jest przeczytać razem z inną książką tegoż autora, „Awansem”, które się wzajemnie uzupełniają. Redliński pisze o wsi, „ale swoje książki adresuje nie tyle do chłopów, co do inteligencji. Autor atakuje te stereotypy myślowe, wedle których nasza wieś jest ciągle jeszcze rezerwatem ciemnoty i zacofania, czekającym na filantropów przychodzących do niej z „kagankiem oświaty”. Parodią jest obraz wsi w „Awansie”, gdzie jest ona przedmiotem „manipulacji” sprytnego hochszaplara, i parodią ów zeszkolony wywołujący opór i zgorzniecie będzie próba zastąpienia sierpa kosą. Oczywiście Redliński przerysowuje, karykaturalnie wyolbrzymia mniemania i przesady nadal istniejące, broniąc wsi przed zakusami cywilizacyjnymi nie powolnymi „cywilizatorów”. Dostrzegam bowiem w chłopskiej mentalności ciążenie zarówno ku powierzchownemu postępocwizmowi, jak i ku tępemu tradycjonalizmowi i boi się rodmuchiwania tych niebezpiecznych skłonności. Chce, żeby pozwolono wsi samej rozwiązywać własne problemy i trudności, gdyż — jak to pokazał w „Listach z Rabarbaru” — uważa ją zupełnie do tego dojrzałą”. Tokiśmy spojrzenie w przedstawieniu Kopczeńskiego można było odczytać. Ale we wstępnym komentarzu, którym przecież należało opatrzyć przedstawienie, tenże sam twórca bohatera powieściowego niepotrzebnie sugerował, iż w „Konopielce” przedstawiony jest „prawdziwy” obraz wsi. Mógł ten komentarz wprowadzić w błąd niektórych słuchaczy. Pomyślałem sobie przy okazji: jakże mało wykorzystujemy dla potrzeb estrady powieści naszych łódzkich pisarzy! Czy nasi pisarze nie potrafili sprzedać swoich tekstów? Czy też, jak powiada przysłowie, nie można być prorokiem w swojej własnej zagrodzie?

Wieczór ten zakończyłem sielanką. Wziąłem ze sobą nad morze tom wierszy Jana Marii Głogosa „Marmury i dmuchawce”, wydany w bieżącym roku przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Głogosek, poeta i prozak, którego Stefan Lichański zalicza także do pisarzy nurtu wiejskiego, pisze, jak to się mówi, wprost do serca. Jakież to piękne i wzruszające wiersze! Nie jestem krytykiem, wypowiadał się jako czytelnik, który przebywa na odpoczynku w pięknej scenerii letniej, i chce, aby tutaj objawiło mu się piękne słowo. Czytałem te wiersze na głos, jakby na pociechę, że obok tego przerysowanego na ciemno świata w „Konopielce” istnieje jeszcze inny. Poeta pisze: Powstałem z puszki, powstałem z omlewień, z szumów i liści tworzyłem swe światy; kłosa prosiły: wszystko to nam przemień w poezję: strzechę, ploty, las, i kwiaty. Świt smakował, jeździłem spojrzeniem na oklep, kiedy brząsk się darł chórnie, aż powiedział mi nienasycenie: rozchylał kwiatów nie można bezkarnie.

TADEUSZ PAPIER

NA TROPIE MITU

Powieść „Portret królowej” można uznać za charakterystyczny przejaw twórczości Władysława Rymkiewicza. Pisarz ten również dobrze czuje się w temacie współczesnym, co i historycznym. Zaś „Portret królowej” jest niejako syntezą obu tych stanowisk, próba określenia współczesności z perspektywy odległych i istotnych w dziejach narodu wydarzeń, a jednocześnie próba spojrzenia na historię jako na dziełczwo ciągle obecne w świadomości tego narodu. Właściwie nie chodzi nawet o wydarzenia historyczne sensu ścisłego, raczej o ich pochodną — historyczny przekaz, mit, legendę. To właśnie funkcjonowanie mitu w dziejach narodu, w kręgach badaczy i naukowców, w gronie konsumentów literatury, a nawet zwykłych zjadaczy chleba — wyznacza rytm powieści Władysława Rymkiewicza.

Wykorzystany w tej powieści mit jest wyrazisty, celowo przerysowany, inspirowany życiem królowej Jadwigi, jej związkami z Wilhelmem Habsburskim oraz Jagiellą. Kim była Jadwiga? Uduchowiona pania, skłonna do poświęceń czy świadomą miłości kobietą, uczestniczącą polowań, nie gardzącą rozkoszami życia? Oto najważniejsze ujęta opozycja, która stara się rozwiłać w swej dysertacji młody pracownik Instytutu Historycznego. Umotywowany wybór drugiej z tych wizerunków spowodować może ważne konsekwencje, grozi szarganiem świętości, na straży której stoja Autorytety i Olimpijczycy. Działają różnorodne bariery i mechanizmy, niespokojny poszukiwacz bezkompromisowej prawdy skazany zostaje na pogłębiającą się osamotnienie.

Opowieść o nie doprowadzonym do końca przewodzie doktorskim odczytywać można na różne sposoby. Jako przypowieść o obrazoburstwie ukaranym, jako tropienie roli mitu w przeszłości i wykrywanie go w teraźniejszości. Jako próbę uchwycenia proporcji między historią a współczesnością. Można też inaczej — jak mniemam — rozłożyć akcenty. Potraktować miano wizerunku bohatera jako człowieka zainteresowanego przede wszystkim możliwościami poznania, jako umysłowość filozoficzną posiadającą krytyczny stosu-

nek do tak zwanej wiedzy pewnej o świecie. To w warstwie ideowej. Zaś w warstwie artystycznej wspomnianemu tylko co potraktowaniu bohatera „Portretu królowej” odpowiada świadome i przewrotne pomieszczenie narracji, planów powieściowych, eksponowanie subiektywizmu postrzegania, wyraźne przewartościowywanie kolejnych scen powieściowych. Wszystko to ukazuje wyraźny wpływ poetyki „nouveau roman” na powieść Władysława Rymkiewicza.

Poetyka owa w realizacji doświadczanego pisarza współgra z charakterem mitu, o którym tak powiada uczony i dostojny Profesor: „Charakter legendy i mitu polega na tym, że są wielowartościowe (...). Każdy może w nich znaleźć to, czego szuka. Jehowa jest łaskawy i surowy zarazem. Bóg mistyków i ojów Kościoła jest łagodny i groźny jednocześnie. Judasz może być uważany za zdrajcę lub za niecierpliwca, który wydał Chrystusa, żeby zmusić Go do ujawnienia boskości i rozgromienia Rzymu. Na tym polega tak zwana coincidentia oppositorum, czyli zbliżność sprzeczności i wielopłaszczyznowość bohaterów legend i mitów”.

Nowa powieść — jak wiadomo — znowła podzielił na obiektywną wiedzę o świecie przedstawionym oraz na wyobrażenie postaci literackich o tym świecie. Świat przedstawiony posiada więc postępek atrybuty zbliżone do wymienionych powyżej cech mitu. Okazuje się subiektywny i wielowartościowy. Odmienny dla każdej postaci pojawiającej się w „Portrecie królowej”.

Władysław Rymkiewicz przypominał raz jeszcze, że mit jest nie tylko istotnym elementem więzi społecznej, składnikiem świadomości narodowej, inspiracją i przeszkodą w procesie poznania. Jest przede wszystkim niezmienną pożywką literatury.

TADEUSZ BŁĄŻEWSKI

Władysław Rymkiewicz, Portret królowej. Powieść współczesna, „Czytelnik”, Warszawa 1978, nakład 20 290 egz., s. 129, cena zł 14.



PORTRETY ANDRZEJA GRUNA



W Klubie Dziennikarza ekspozowano niedawno wystawę Andrzeja Gruna — „Portrety”. Był to zestaw kilkudziesięciu portretów o bardzo różnicowanym artystycznym charakterze. W wielu pracach Grun raz jeszcze ujawnił swoje pasje satyryczne — prezentując konterfekty na pograniczu karykatury — w innych dominowała liryczna i bardzo subtelna kreska... Słowem — jak na większości wystaw Andrzeja Gruna — mogliśmy obserwować szeroką skalę możliwości tego artysty.

(w)

KOLARSKIE ZDZIWIENIA

Proszę uprzejmie o wyobrażenie sobie takiej oto sceny. Później będą pytania. A więc, proszę wyobrazić sobie podający szosa kolarski peleton. Z peletonu odrywa się kilku kolarzy i ucieka. Reszta jest zaskoczona. Uciekacz się udaje. Ale peleton nie rezygnuje. Wskakuje z niego znów grupka kolarzy. Nie mają jednak żadnych szans. Tamci uciekli zbyt daleko. Wtedy zza peletonu wysuwa się samochód z irpe-rami, podjeżdża do daleko wysuniętej czołówki i każe jej zatrzymać się, po- czekać na goniących.

Teraz pytanie: gdzie mogła zdarzyć się taka scena?

Ci, którzy uważają, że na treningu lub w czasie nakręcania filmu o kolar- zach, są w błędzie. Coś podobnego zdar- zło się w czasie XXXV Tour de Polo- gne. W ogóle w czasie tego kolejnego

— jak można sądzić z numeru — już tradycyjnego wyszła dookoła Polski, zdar- zło się wiele dziwnych spraw.

Mieczysław Nowicki obraził się na organizatorów, którzy ukarali go, nie- słuszenie zresztą. Kazano mu udać się do umywalni, a w tym czasie wywoły- wano go, aby stanął na podium. Tyl- ko, że w pomieszczeniu, do którego się udał nie było słownika.

W tym samym czasie zdarzyło się też kilka pomyłek w klasyfikacji zawodni- ków. Zastrzeżenia do klasyfikacji miał Mieczysław Klimczyk i Tadeusz Myt- nik. Miel zresztą i inni.

Można było sądzić, że w XXXV Tour de Polone zwycięstwo przypadnie Ry- szardowi Szurkowskiemu. Było to o tyle prawdopodobne, że Ryszard Szurkow- ski sżykuje się do mistrzostw świata w kolarstwie, które odbędą się w RFN w sierpniu 1978 roku i udział w XXXV Tour de Polone mógłby mu pomóc w przygotowaniu. Stało się inaczej. Ry- szard Szurkowski wycofał się z XXXV Tour de Polone. Wprawdzie trenerzy Polskiego Związku Kolarskiego infor- mowali, że niektórych kolarzy, których przewidują do ekipy, jaka sżykuje na mistrzostwa w RFN, wcofała z wys- ciału dookoła Polski, ale nie mówili nie o Ryszardzie Szurkowskim. Być może była to niespodzianka. Taki chwyt tak- tyczny bardzo teraz modny.

Jednakże nasuwa się również pytanie, czy przypadkiem Ryszard Szurkow- ski nie wycofał się sam, jako że nie jest w najlepszej formie? Wcale nie zdziwił mnie fakt, że trenerzy Polskiego Związku Kolarskiego zaczęli pod koniec lipca albo na począt- ku sierpnia zapewniać, że nasza ekipa jest do mistrzostw świata przygotowa- na jak nigdy i że ich interesują tylko takie sukcesy, których nigdy jeszcze nie odnieśliśmy. I nie zdziwił się, kiedy okazało się, że była to po prostu błęd- na ocena, nieco przesadzona. Bo w ogó- le to, co dzieje się w Polskim Związku Kolarskim może wywoływać tylko zdzi- wienie, choć już nie powinniśmy się dziwić niczemu, co dzieje się w sporcie. Ale człowiek ma już taką naturę, że musi się dziwić.

Fisalam kiedyś o tym, że Mieczysław Nowicki obraził się na Polski Związek Kolarski, a Polski Związek Kolarski obraził się na Mieczysława Nowickiego. Później — kiedy sprawa ta znalazła od- dzwięk w prasie — wszystko się jakoś ułożyło. Teraz znów na Polski Związek Kolarski obraził się Stanisław Szozda, a Polski Związek Kolarski obraził się na Stanisława Szozdę. Daliłóg, nurtuje mnie pytanie: czy w PZKOl, pracują rozhisteryzowane dziewczęta, czy też wy- trawni i doświadczeni działacze?

Po zakończeniu XXXV Tour de Polo- gne w Opolu na dojeżdż do „mieskiej” rozmowy. Ten cudzysłów nie pochodzi ode mnie, ale uważam, że w stosunku do działaczy PZKOl, jest on w pełni uzasadniony. Bo czyż potrzeba aż ko- munikatów prasowych o tym, że dzia- łacze mają spokój o tym, że „mieskiej” rozmowie ze Stanisławem Szozdą i wy- jaśnić sobie obustronne nieporozumie- nia? Jest to ich podstawowy obowiązek i nie ma powodu, aby z tego robić jak- iekolwiek problemy. Może się bowiem jeszcze obrazić Tadeusz Mytnik, Ry- szard Szurkowski i... Ale zamknę le- piej, aby nie zapeszyć.

Na brak obrażenia się i „mieskiej” rozmów oraz innych powodów do dzi- wienia w Polskim Związku Kolarskim narzekać nie można. Tylko jakoś od te- gorocznego Wyciegu Pokoju nie nie wskazuje, że kolejne zapewnienia o sukcesie będą choć w części realne. Niby pojawiła się spora grupa kolarzy młodych, którzy dopiero debiutują, ale też skoro dopiero debiutują, to na ich sukcesy przyjdzie trochę poczekać. Sta- rzy natomiast coraz częściej marzą o zasłużonym odpoczynku i trudno im się dziwić. Jak długo można nosić ho- nor polskiego kolarstwa na szarbończy- nad kierownicą pleców? Stanisław Szozda zapowiedział już przecież, że kończy ze sportem.

Jestem z całym szacunkiem dla tych kolarzy, którzy dostarczali nam tylu wzruszeń i wynieśli polskie kolarstwo na światowe wyżyny. Ale może rzeczy- wiście będzie lepiej, kiedy pozwolili się im robić coś innego. A my spokojnie czekamy na następną zmianę?

BOGDA MADEJ

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

OGŁOSZENIE W SPRAWIE DWÓCH DO ROZBIÓRKI DOMU

W budynku gospodarczym Bambino poprawia naciąg pasa przy młoc- karni. Wchodzi Blaszczyk.

— Jak sprawa wygląda?

— Zreperowałem silnik, poprawi- lem luzy na szcztokach... ale bez wy- miany nakrętki maszyna pracuje nie- parwidłowo.

— Słuchaj Tolek. Skocz do Gór- skiego, pod 18, na mnie się powoiaj, to on taką nakrętkę poszuka.

Lisek i Magda w rozbitanej cha- lupie wyglądają przez ramy pozba- wionego szyb okna. Widzą jak Bam- bino wychodzi z budynku gospodar- czego, wsiada na rower, stojący przed nowym domem, odjeżdża z podwórka. Milczenie przerywa Mag- da:

— Pojechał... opowiedz dalej, to mi się podoba...

— Tam żywej duszy nie ma... jest tylko jezioro... tam mieszka mój zna- jomy... mówię ci: człowiek sam i przyroda...

Lisek przechodzi do innego po- mieszczenia rozbitanej chaty. Za nim podąża Magda. Tuja sufit jest już zerwany. Pod ścianą stoi staro- świńska kanapa, która dla tego tylko stoi jeszcze tutaj, że nie może być użyteczna. Oboje siadają na niej. Dziewczyna, próbując nasładować Lis- ka, stara się w ten sam co on spoj- sób zapalić zapalnik.

— Daj.

Lisek bierze pudełko zapalek. Od- wraca się. Teraz demonstruje coś nowego: oto pudełko zapalek, leżące piasko na wierzchu dłoni, podnosi się powoli na swojej krawędzi i opada. Magda śmieje się. Lisek ciągnie swo- ją opowieść:

— Kiedyś tam byłem, mówię ci, na drugim brzegu jeziora całe towa- rzystwo kapalo się na golasa...

— Wiesz, ja nie jestem taka...

— Jaka?

— Ja nie jestem dziewczyna łat- wa... ze mną to trzeba dłużej...

— Pokażę ci inną sztukę, tylko oczy zamknij.

Dziewczyna zamyka oczy, Lisek przysuwa się do pocałunku. Magda nagle otwiera oczy.

— Daj spokój, nie teraz... wiesz, jakbyś się zdecydował ze mną za- mieszkac... mam znajomych w Łodzi, u nich można by się zatrzymać... ale trzeba by płacić... jakbyśmy złożyli pieniądze, to by można spróbować...

— A co my tam będziemy robić?

— Zobaczymy... tylko musimy zało- żyć wspólną kasę, bo sam wszystko przeulaz...

— Dlaczego?

— Magda jeszcze raz całuje Lis- ka.

— Więc jak?

— Zgoda.

W nocy jakiejś nogi skradają się po schodach. Jedna para nóg, dru- ga, trzecia. To Blaszczyk, jego żona i babka. Blaszczykowa szepcze:

— Nie boisz się?...

— Ciłiichoooo...

— A jak przyjdą?

— Cicho, nie przyjdą... robotę im dałem.

Blaszczyk zapala latarkę.

— Zgaś, z zewnątrz widać prze- cieć.

Latarka gaśnie. Blaszczyk pyta:

— A tamta przypadkiem nie wy- jdzie?

— Może nie wyjdzie?... Skąd moż- na wiedzieć?...

Przy drzwiach wszyscy nasłuchują. Blaszczykowa szepcze:

— Czego podsłuchujesz, przecieć tam ich nie ma.

— Ty robisz to samo... tak, jak byśmy wchodzili bez pozwolenia do cudzego mieszkania...

— Cicho, nie gadaj...

Drzwi delikatnie skrzypią. Trzy twarze z niepokojem zaglądną do wnętrza. Blaszczyk ostrożnie zaciska drzwi za sobą. Blaszczykowa dora- dza:

— Lepiej zamknąć.

Blaszczyk bezmyślnie przekręca klucz tkwiący w zamku od wew- nątrz. Światło zapalonej latarki we- druje po ścianach i sprzętach po- mieszczenia.

— Gdzie mama znalazła tę linkę?

— Babka podchodzi do łóżka Lis- ka, za nią Blaszczykowa.

— Podnieś pościel i robacz.

Z przedpokoju dochodzi jakiś od- głos. Wszyscy zamieniają w bezruchu.

— Zgaś światło — rozkazuje szep- tem Blaszczykowa.

— To Magda — wnioskuje Blas-zczyk.

— Chyba nie wejdziesz tutaj.

— Nie wejdziesz, bo drzwi zamknę- te — cieszy się babka.

— Tym gorzej — szepcze Blas-zczyk.

Jego żona nie rozumie tego:

— Gorzej?... dlaczego?...

— Odstosy cichną. Blaszczykowa po- dnosi pościel. Babka chwytając kabel, unosi go na wysokość głowy.

— Co to jest? — pyta Blaszczy- kowa.

— To przewód — odpowiada jej mąż.

— Jaki przewód? — ponawia pyta- nie.

— Po prostu kabel.

Blaszczykowa szepcze w stronę babki:

— Mama mówiła, że linka...

— A ja wiem, co to?... Zdawalo mi się, że linka...

— Stefan, na co im ten kabel?...

— Nie wiem.

— Do czegoś muszą tego używać.

— Bez wtyczek...

Wtrąca się babka:

— Takim kablem to i człowieka udusi, jak złapie za szyję.

— Co ty na to, Stefan?

— Przesada.

Na drugi dzień Lisek i Bambino porządkują szcztaki po rozebranej chacie. Toczy się rozmowa:

— Zrób coś z tą deską.

— Po co ta cała robota. Zwalił to wszystko na kupę i na rozpalkę.

— Już jutro koniec.

Magda wychodzi z budynku gospodar- czego z kubelkiem. Obaj wiodą wrocławkiem za dziewczyną.

— Bambino, co ty myślisz o niej?

— Dziewczyna jak każda — odpo- wiada po zastanowieniu. Odchodzi z belką drewna, rzuca ją na swoje miejsce, po chwili wraca. — A co ty o niej sądzisz, Lisek?

— Wiesz, ja ci powiem... ujdzie w tłoku...

W kuchni Blaszczyk pochylony nad gazetą. Żona przynosi mu herbatę w kubku. Blaszczyk smakuje, pa- rzy się, odkłada gazetę, sięga po pu- sty kubek stojący na stole i dwoma kulkami wykonuje manewr zmierzają- cy do ostudzenia płynu. Blaszczy- kowa, która usiadła obok niego, się- ga po gazetę. Czytając zwraca się do męża:

— Jak dobrze, że jutro już ich nie będzie, przynajmniej będzie...

— Urywa, poważnie, podsuwają mężowi gazetę — o tu... przeczytaj.

— „Kabel narzędziem mordu!” — chwilkę poważny, wybuch szczerym śmiechem, którego nie może pohamo- wać.

W budynku gospodarczym Bam- bino przy młocarni. Wchodzi Blas-zczyk.

— Z maszyną wszystko w porzą- dku — Bambino włącza silnik, ma- szyna pracuje — mówię, że me- chaniczną kończyłem.

— W porządku... jutro wypłata.

Magda przebiega podwórko, zatrzy- muje się obok Lis- ka, który porząd- kuje szcztaki po zburzonej chacie. Rozglądając się szepcze:

— Pryskamy pojutrze przed świt- em. Obudź się jak najwcześniej i wpadnij do mnie do pokoju.

— W porządku.

Nadszedł moment wypłaty. Ręce Blaszczyka odliczają banknoty stu- ziotowe. Magda zbiera pieniądze.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

— Dziękuję.

Magda wychodzi.

— A teraz ty, Tolek... z premią za młocarnię.

Bambino wyczuje obok Blas-zczyka, który sięga do metalowej ka- sy. Za nim, obracając zapalnik w zę- bach, wyczuje Lisek.

Magda przed drzwiami liczy pie- niądze. Bambino wychodzi z domu, dyskretnie podaje Magdzie banknoty.

— Na wspólną książeczkę.

Dziewczyna bierze pieniądze. Jak- by chciała je przeliczyć, ale nie ro- bi tego.

— To jutro jedziemy do Łodzi...

wstań o świcie i ucieknijmy rano.

— W porządku.

— Ale czy się obudzisz?

Tej nocy Blaszczykowie nie mogą zasnąć. Wpatrują się w krążek księ- zycyca za oknem. Na zewnątrz wiatr gwizda przeciągle. Rozmowę nawią- zuje Blaszczyk:

— To było głupie... trzeba było zrobić inaczej...

— Mądry, ale po szkodzi.

— Jeszcze nic się nie stało.

— Trzeba im było wypłacić pie- niądze rano i do widzenia.

— Trzeba było...

— Można było przewidzieć, że tak będzie.

— Jak będzie?... Przecież nic się nie stało...

— Ten wiatr na dodatek...

Spoglądają w okno, za którym wiatr szaleje.

— Wiesz Stefan?... jakoś tak strasz- nie...

— Wydaje ci się.

Na zewnątrz mężczyzna zbliża się w kierunku domu Blaszczyków. W oknie na piętrze tli się słabe świa- tło lampki nocnej.

Blaszczykowa przeciąga rozmowę:

— Trzeba się było zabezpieczyć na wszelki wypadek...

— Nie ma się czego obawiać, ma- my telefon...

Aparat stoi na krześle obok łóżka. Blaszczyk podnosi słuchawkę, zbli- ża ją do ucha.

— Czego słuchasz?...

— Jest sygnał.

Na zewnątrz mężczyzna podstawi- a do okna drabinę, wchodzi na nią i widzi przez szybę wewnątrz: Blas-zczykowie, obchodząc łóżko, „zmienia- ją się stronami”. Blaszczykowa gasi lampkę.

Magda siedzi ubrana na pościelo- nym łóżku. Po chwili zaczyna zde- jmować pudełko za zagranicznych pa- pierosach, przyczępane ponad łóż- kiem na ścianie.

Obcy mężczyzna jest już w przed- pokoju. Skrada się po schodach, przestępując co kilka stopni. Kiedy jest już na górze, zastanawia się, za- uważwszy kabel od telefonu. Wy- mruje z głośni nóż sprężynowy i ucina przewód. Rozgląda się jeszcze chwilę i zauważa klucz w syplalni Blaszczyków. Delikatnie przekręca go w zamku. Rozgląda się dokoła jakby poszukując czegoś. Wykręca bezpiecz- niki wspinając się do pomieszcza w ścianie z urządzeniami elektrycznymi.

Blaszczykowa nasłuchuje zaniepo- kojona.

— Słyszales, Stefan?

— Nie słyszałem.

— Gdzie masz latarkę?...

Blaszczyk szuka latarki, grzebiąc ręką pod łóżkiem.

— W kuchni latarkę zostawiłem...

— To szybko jedź do latarki.

Blaszczyk włącza wtyczkę lampki nocnej. Lampka się nie zapala. Od- czuwa pierwszy niepokój. Wstaje z łóżka, idzie w kierunku drzwi. Staje onieśmiąony — drzwi od zewnątrz zamknięte. Szybko podchodzi do tele- fonu, podnosi słuchawkę. Bez słowa odkłada ją na aparat.

A w przedpokoju mężczyzna nasłu- chuje przy drzwiach pokoju Lis- ka i Bambino. Zza drzwi dochodzą głosy rozmowy. Drapają w drzwi dłońmi, wywołuje sztuczny hałas w celu wy- cignięcia za drzwi osoby znajdującej się w pokoju.

Tak też się dzieje: Bambino wstaje z pryczy, wychodzi do przedpokoju. Lisek przewraca się na łóżku. Pa- trzy na drzwi, za którymi zniknął Bambino.

W drzwiach tych ukazuje się on w następnej chwili. Jedną z rąk ma wykręconą za plecy przez mechanicz- ny, który się za nim ukrywa. Tamten popycha Bambino do przodu, tak, że ten robi kilka kroków do wewnątrz pokoju. Teraz Lisek i Bambino roz- poznają nocnego intruza.

— Myślisz, że was nie odnajdę? Czego się tak głupio gapisz, Lisek?...

— Masz, ciągnij...

Mężczyzna rzuca w kierunku Lis- ka butelkę koniaku wyjętą z wewnętrz- nej kieszeni płaszcza. Lisek pije.

— Smakuje?... Takiego czegoś pew- nie nie piłeś w życiu... dobre... dobre so- bie... ja was miałem nie znaleźć?...

— Wiesz, w tym pośpiechu pieni-ądze zostawiłem...

Bambino zaczyna rozumieć. Deli- katnie próbuje wysondować Lis- ka:

— Ale nas obrobili — wyczekując spogląda na przyjaciela.

— Masz rację.

— To dziwka.

— Niech ją... — Lisek zaczyna ze złością, ale zdusza w sobie przekleń- stwo.

— Ale dobra była...

— Świetna... mało takich widzia- lem.

Chwilę milczą, rozpamiętują.

— Pokaż gazetę.

Bambino rozkłada dziennik.

— Ogłoszenia na przedostatniej stronie.

Czytają zastoinieci płachtą gazetę.

KONIEC

zdarzenia i zwierzenia

O Władysławie Broniewskim mówi się prawie tak, jak mawiał Gombrowiczowski „profesor Pimko” — „Słowacki bowiem wielkim poetą jest... Wielka Encyklopedia Powszechna głosi: „Najwybitniejszy przedstawiciel polskiej liryki rewolucyjnej...” Za nią w tym tonie wołają wszystkie podręczniki literatury na przestrzeni prawie 30 lat.

I to jest — oczywiście — prawda. Władysław Broniewski był wielkim poetą. Był poetą tak na wskroś autentycznym, tak — wielkim, że nawet najbardziej ekstremistyczni wrogowie romantycznych tradycji poetyckich uznawali jego wielkość. Był zawsze piewą polskiej lewicy, choć w różnych momentach dziejowych akceptowano go z trudem. Miał bowiem serce niepokorne i tą swoją własną wiarą idealną. Nad jego wierszami wciąż kopotała Polska.

Lecz oto ukazała się przed paru laty ogromna monografia bibliograficzna Felksy Lichodziejewskiej — blisko 700-stronicowy tom, który jest...

BRONIEWSKI NIEZNANY

spisem rzeczy. Spisem wszystkich utworów Broniewskiego od roku 1913 do roku 1962. I oto otwierają się oczy miłośnikom poezji Broniewskiego — trzymamy bowiem w dłoniach spis rzeczy, choć dzieło nie zostało wydane.

Czy jest w tym drwina Historii, pogarda Czasu? Nie wiem, ale z monumentalnej pracy Lichodziejewskiej wylania się nam ten okrutny fakt.

Oto Władysław Broniewski — „najwybitniejszy przedstawiciel polskiej liryki rewolucyjnej”, oto poeta zwany najskuteczniej piewą proletariatu, oto autor popularny i lubiany... A jednak właśnie jego twórczość nie doczekała się ani opracowania monograficznego, ani wydania w całości.

Wydawane i wznowiane „Wiersze wybrane” i „Wiersze i poematy” nie obejmują licznych utworów, często znakomych. Nieznana jest dotychczas bogata spuścizna rękopiśmienna Broniewskiego. Poeta, który doczekał się najbardziej zaszczytnych tytułów, nie doczekał się tego jednego dla artysty najważniejszego... Nie doczekał się tytułu książki „Utwory zebrane”.

Rzecz dziwna, ale poezja Bro-

niewskiego, który banałem nawet potrafił wzruszać, który treści ogromne, polityczne i publicystyczne przetwarzał w najwyższej próbie wiersze — mało zajmowali się teoretycy literatury. Oczywiście nigdy nie narzekał na brak publiczności, ale wszechstronnie, wnikliwie skomentowania swej twórczości nie doczekał się za życia. I nie doczekał się my, choć od jego śmierci tyle już minęło lat.

Twórczość najwybitniejszego przedstawiciela polskiej liryki rewolucyjnej znana jest jedynie we fragmentach. Dlatego właśnie ów „spis rzeczy” Felksy Lichodziejewskiej ma tak ogromną wagę. Jest bowiem dziełem, które przynajmniej w otule fakt istnienia ogromnej, nie wydanej spuścizny Broniewskiego.

Właśnie — ogromnej, bowiem odnotowano tu ponad tysiąc utworów. Przy bardzo, bardzo wielu — noty: nie drukowane, w wydaniach poezji Broniewskiego.

A więc — Broniewski nieznanym. Nieznanego Broniewskiego ukazuje nam też księga wspomnień opracowana przez Stanisława W. Balickiego, która u-

każała się niedawno w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy. Zważywszy ogromną rzeszę miłośników poezji Broniewskiego — jest to dzieło mały nakład.

Książka jest bez wątpienia bardzo cenna — głównie dzięki wspomnieniom właśnie Felksy Lichodziejewskiej, żony Poety, Jana Karola Wende, Janiny Broniewskiej i jeszcze paru autorów.

Niestety — trochę tu za dużo banalnych, okolicznościowych artykułów z gazet, które do wiedzy o Broniewskim nie wnoszą nic nowego oprócz paru komunałów. A szkoda, bo Broniewski zasłużył przecież na księgę wspomnień, choćby taką jaką ukoronowano Gajczyńskiego, Tuwima czy Szczyńskiego.

Władysław Broniewski nadal więc pozostaje poetą nieznanym. Większość Jego dorobku znajduje się bądź w rękopisach, bądź rozproszona jest po czasopiśmie. W kilkanaście lat po śmierci Poety czas chyba wydać Jego dzieła zebrać.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH TADEUSZ GICGIER



Mieć go na oku,
Bo umknie do Białegostoku.

Rys.: Stanisław Ebs-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

Wakacje rozpoczynają się obecnie etapami. Młodzi ze szkół podstawowych zdążyli już być na obozach i koloniach i teraz wypoczywają z rodzicami. Na obozy i kolonie pojechała druga tura i właśnie wraca. Wypoczywają młodzież szkół średnich. Tylko maturzyści mieli ciężkie przeżycia, starając się o studencką legitymację. Ale i egzaminy na wyższych uczelniach też już się skończyły i można powiedzieć, że wakacje w całej pełni. A jak wakacje, to również i AUTOSTOP.

Moja ulubiona postać radiowa z mojej ulubionej audycji, osobicie mi zresztą znany DZIADEK WŁODEK z „Lata z radiem”, był uprzejmie gniewać się na młodzież podróżującą autostopem po Polsce. Czemu gniewał się na tę młodzież Działek Włodek? Agniwał się on na nich dlatego, że są brudni, zaniedbani, niechlujni, że na śniadanie jedzą dwie bułki popijając piwem i nie budzą ani szacunku, ani sympatii. Działek Włodek — oczywiście — ma rację. Ale wcale nie trzeba być autostopowiczem, aby wykazywać te cechy, jakie nie podobały się Działkowi Włodekowi. Można być niechlujnym wcale nie podróżując autostopem, a na przykład pościągami. Działek Włodek wszakże ma rację, kiedy gniewa się na młodych, że w pod-

W Polskę ruszamy panowie!!

rzy nie są eleganccy. W czasach Działka Włodeka nie podróżowało się w ten sposób, wkładało się z okazji podróży specjalnie na ten cel sztyry strój podróżny, do wyprawy szykowano się długo i starannie. Dziś inne czasy, co wcale nie znaczy, że elegancja nie powinna obowiązywać nawet w podróży, obojętne jakim środkiem i sposobem się podróżuje.

Jak wynika z dokumentu przysłanego nam przez SPOŁECZNY AUTOSTOP 80 procent podróżujących autostopem po Polsce to młodzież szkolna i studencka. Ale też spotkać można wśród autostopowiczów ludzi w wieku Działka Włodeka. Oto na przykład Franciszek Sawicki z Warszawy ma 79 lat, Alfred Magnus z NRD ma 78 lat. Jan Łukasiewicz — emerytowany inżynier z Łodzi ma 74 lata.

Wśród autostopowiczów można też spotkać panie, które wprawdzie ustępują latami Działkowi Włodekowi, ale i tak mają wiek solidny, wcale nie studencki. Oto Waleria Sokolińska — emerytowana nauczycielka z Warszawy — ma 71 lat. Stanisława Młodziejowska — też emerytowana nauczycielka ale z Lublina — ma 72 lata. Luiza Panster z Bolesławca ma 67 lat. W Polskę autostopem wybierają się też starsze małżeństwa, jak na przykład Irena i Jan Szczepańcowie z Przemysła. Podróżują po Polsce autostopem cudzoziemcy. Przyjechali z NRD,

Szwecji, Finlandii, USA, Wielkiej Brytanii, Danii, Węgier, CSRS, a nawet wśród autostopowiczów jeżdżących z książką po Polsce można spotkać obywateli Japonii, Australii czy Ghany.

Myślę, że dziś nie ma już co pisać o samej idei autostopu, o możliwości poznawania Polski dzięki grzeszności kierowców, bo jest to powszechnie znane. Jak wynika ze wspomnianego dokumentu, najgrzeszniejsi i najbardziej życzliwi ludziom stojącym u skraj skazy są kierowcy z województw: gdańskiego, warszawskiego, koszalińskiego, wrocławskiego, krakowskiego, poznańskiego i olsztyńskiego. A województw jest 49. Niech więc inni wezmą to pod uwagę. Życzliwość w naszym życiu nigdy nie jest zbyt wiele. Niech więc życzliwość na szosie nie będzie czymś obcym kierowcom z województw tu nie wymienionych. Z łódzkiego również!

Życzliwość kierowców nie jest jednak bezinteresowna. Społeczny Komitet Autostop przygotował dla kierowców, którzy zgromadzą kupony i wezmą udział w konkursie dla kierowców nagrody wartości pół miliona złotych. Jeśli weźmie się pod uwagę, że nagród jest 500, to wypadają, że średnia wartość nagrody wynosi tysiąc złotych. A poza tym każdy autostopowicz, który legitymuje się ważną książką autostopu, jest ubezpieczony w PZU.

Autostop nie jest akcją żywiołową. To znaczy, że nie wystarczy tylko wyjść na skraj szosy za miasto i pomachać książeczką ze znakiem „stop”, aby już włączyć się do autostopowego ruchu. Społeczny Komitet Autostop przygotował kilka różnych atrakcyjnych akcji, udział w których może urozmaicić monotonię podróży, przyczynić się do lepszego poznania Polski. I tak przygotowano: rajd po Bieszczadach, szlakiem Gwardii Ludowej, walek powstańców śląskich, walek na Wale Pomorskim i inne. Uczestnicy AUTOSTOPU-78 mogą wziąć udział w wielu pomysłowych konkursach. Można też popracować, zarabiając parę złotych na dalszą podróż. Pracę zapewniają PKP i Ochotnicze Hufce Pracy.

Chciałbym szczególnie uwagę zwrócić na ten moment. Na całym świecie praktykuje się taki właśnie sposób zarabiania sobie pieniędzy na dalszą drogę. Znane były wypadki, że mieszkający wsi położonych przy drogach skrzyżli się na szkodę, jakie wyrządzali im autostopowicze, którzy nocowali w stogach, kradli kury itp., bo nie mieli pieniędzy ani na nocleg, ani na jedzenie. A pieniądze można zarobić. I trzeba je zarabiać. Pomyslicie więc o tym panowie nim ruszycie znów w Polskę!

MARCIN RODAK

GORĄCO!

1. Na półkach księgarskich ukazała się książka Ryszarda Wojny „Rozmowa z ojcem”. Dziennikarz od przeszło trzydziestu lat, był korespondent prasy polskiej na Bliskim Wschodzie, a potem w Bonn, był redaktorem naczelnym „Życia Warszawy”, obecnie komentator polityczny „Trybuny Ludu”; poseł na Sejm PRL, członek KC PZPR, jeśli wielu Czytelników autora przedstawiał nie trzeba, to trzeba koniecznie przedstawić jego książkę, gdyż nakład 25 tysięcy egzemplarzy zniknął z księgarskich półek niemal tak szybko, jak się pojawił.

2. Tym nakładem ciekawa historia: autor ukochanej książki w sierpniu 1977 roku, a już w niespełna rok później ukazała się na rynku. Tak bardzo umiał pospieszyć się PIW.

3. Wiele, nazbyt wiele książek publicystycznych — czy o polityce, czy o historii, czy o grzesznych pływaniach, srogach, zbyt wielki tu niedostatek ostrości sformułowań, ich precyzji, więcej na wotywanie niż przekonywanie, argumentacji, krytycznej analizy z wnioskami, poparty takim dowodami, dzięki którym wnioski te zmuszają chociaż do głębokiego zastanowienia.

W tym te książki R. Wojny bliższe jak perła. Jest to niewątpliwie jeden z bestsellerów roku. Tym bardziej że jest to książka adresowana do Czytelnika myślącego, i to niekoniecznie tak myślącego, jak autor. Może nawet więcej — może do takiego zwłaszcza. I on na te książki nie może pozostać obojętny.

4. Jest to rozmowa dwóch Polaków o sprawach Polaków, ale ci dwaj reprezentują różne optyki. Rozmowa syna z ojcem. Ojciec, zmarły w 1945 roku, patrzy na Polskę przez pryzmat swojego czasu, swojej doświadczeń, swojej walki o Polskę w tamtych latach, tamtych warunkach nie tylko polskich, lecz i międzynarod-

owych. Syn jest bogatszy o słodką i gorzką rzeczywistość powojenną. Jaka to wiec rozmowa i rozmowa jeszcze żywych, i głos już tylko syna, dyskusja syna z tymi poglądami, które prezentowały ojciec z jego optyką.

Nie wiem, na ile „Rozmowa z ojcem” była wewnętrzną potrzebą autora, na ile zaś na przyjętej formule zaważyła jej publicystyczna dopodność. Ale to nie jest najważniejsze.

4. Najważniejsze jest to, że od pierwszej do ostatniej strony tej książki oddechamy problemami narzniętymi i obecnymi w naszym życiu politycznym. Jest to książka „gorąca”, jej klimat jest zagęszczony potrojniciem: przez fale emocji, jakie wywołuje; przez żywość, niemal natrętność spraw współczesnych, które porusza; przez znakomity dar obserwacji, które w własnych przemysłach, którym nie sposób oprzeć się przy tej lekturze. Poza tym — lub właśnie przez to — jest to książka pisana w atmosferze zaufania do Czytelnika, w klimacie takich na przykład słów:

„W naszej propagandzie trochę w uproszczony sposób przedstawiamy działania państwa — na przykład plany społeczno-gospodarcze. Odwołujemy się do wąsko pojętego utilitaryzmu, obiecując właścicielom każdemu jakieś stosunkowo szybkie korzyści. Bywa też gorzej; z myślą o wianuzi ludzi ze strategii państwa budujemy w nich pożądaną rzeczywistość, którą spokojnie dopiero na przestrzeni kilkunastu lat, powodując rozgorzenie czy wrazenie naszej niedoświadczoności. Państwo nie powinno na każdym kroku odwoływać się do motywacji utilitarystycznych. To nie jest stowarzyszenie akcjonariuszy, myślicy tylko przez pryzmat dywidendy... Wraz z tym kładziemy nacisk na funkcję opiekunów państwa socjalistycznego wobec społeczeństwa. W ten sposób osłabiamy ludzką przebojowość i inicjatywę. Kanclerz Helmut Schmidt przemawiając wiosną 1977 roku do grupy przesiadkowej w Polsce, rzekł: Teraz musicie samą zająć się sobą; tam w Polsce zajmował się wami rząd. Trudno o

dosadniejsze podkreślenie jednej z istotnych cech kapitalizmu i socjalizmu, z tym, że my nie potrafiliśmy dotąd wmontować w nasz system wielkiej siły napędowej, jaką jest oddolna inicjatywa i dynamizm wolnej presji od dołu (podkreślenie moje — M. M.).

5. Jako się rzekło, książka „nie popuszcza”, trzyma cały czas w napięciu, jak trzymają nas w nim nasze codzienne sprawy. O nich jest to dyskusja, mimo licznych wycieczek do przeszłości, „w bok” — do innych krajów, mimo — i innych faktów z bogatej kariery autora (i dzięki nim zarazem).

Książka „gorąca”, jest jak książka „gorąca”, bestsellerem polskiej współczesności. Toteż nie można tu popadać w łatwy zachwyt, przeciwnie, trzeba szukać „szacpek”, by uniknąć krytycznej eukierowności. Książka ma słabsze miejsca, ich słabość wynika, jak sądzę, z faktu, iż autor poprzestął na argumentacji tam, gdzie wniósł ją dopiero rozpoznać. Recenzent książki, a książka publicystycznej zwłaszcza, jednym uchem słucha autora, drugie wpiera w czytelnice odgłosy. I my powołajmy zatem do tej „Rozmowy” hipotetycznego Czytelnika, najlepiej z kręgu tych, których najbardziej przekonania chciałby autor.

7. „Lewica biorąc po wojnie władzę w swe ręce była w naszym społeczeństwie zdecydowaną mniejszością. Była nią także wtedy, gdy dając chłopom ziemię realizowała uprągloną reformę rolną, czy gdy nacjonalizowała fabryki. W rezultacie umocniła się ręką właściciela komunistom od samego początku naszego ruchu — myślenie za naród. Jest to zresztą cecha każdej awangardy i nie może być inaczej. Ci, którzy wskazują nowe drogi w przyszłości, „gorące”, te, które nie pozostawiają miejsca na własne myślenie, i te, nad którymi po prostu fizycznie nie sposób nie myśleć, „Rozmowa z ojcem” parzy, ale oby przyplekano nas takim ogniem czystości.

Naszemu hipotetycznemu Czytelnikowi zabraknąć może w tym miejscu jeszcze jednego zdania; odpowiedzialność za tych, którym

przewodzą, tak — lecz i przed nimi chyba także?

Moim zdaniem, temat wzięty tu zbyt płytko. Wprawdzie autor pisze dalej:

„Nasze myślenie za naród nie może już dziś przyjmować takich form, jak w 1945 roku, kiedy rewolucyjna władza stawiała społeczeństwo przed podjętymi decyzjami. Musi uwzględniać fakt, że po prostu cały naród włączył się w proces wykształcania cech socjalizmu... i pragnie organizować nowy ustroj według własnego wyobrażenia”. Ale ten tok rozumowania wart dalszej kontynuacji, by odpowiedział na narzucające się pytanie.

8. W innym miejscu autor pisze, zwracając się dziś, tu i teraz, do niezłomnego ojca: „Dla ciebie punktem wyjścia i dojścia w myśleniu o świecie była zawsze Polska. Dla mnie — ważne są dopiero wnioski, jakie dla niej płyną z analizy sytuacji na świecie”. Lecz — zapytać może nas wcale nie tak bardzo hipotetyczny Czytelnik — przecież rzadko kiedy uwagałmy się w naszej historii za pepek świata? Przecież zawsze punktem wyjścia i dojścia w myśleniu była i jest Polska, a w tym myśleniu ważne były wnioski, jakie płynęły z analizy sytuacji na świecie. Może było to błędne wnioski, może błędna analiza sytuacji. Jeśli „Rozmowa z ojcem” jest także rozmowa ze współczesnością, to na jakich różnicach opiera się dzisiaj ten spor? Na czym polegają błędne wnioski i oceny dziś? Na czym zasadzają się one, na co liczą, jakim tokiem rozumowania dała dalej? To też pytanie miejsce w książce.

9. Myślę, że w książce R. Wojny każdy znaleźć może swoje błędy i mieleny. Są książki „zimne” i „gorące”, te, które nie pozostawiają miejsca na własne myślenie, i te, nad którymi po prostu fizycznie nie sposób nie myśleć, „Rozmowa z ojcem” parzy, ale oby przyplekano nas takim ogniem czystości.

MARIAN MISZALSKI

SOLSKA

AAAAAAA
BBBBCCC
DDDDDD
EEEEEE
FFFFF
GGGGG
HHHHH
IIIIII
JJJJJ
KKKKK
LLLLL
MMMMM
NNNNN
OOOOO
PPPPP
QQQQQ
RRRRR
SSSSS
TTTTT
UUUUU
VVVVV
WWWWW
XXXXXXXX
YYYYY
ZZZZZ

LIBRIS
ODGŁOSÓW

...nikt tak jak ona nie umiał znaleźć się w potowie drogi między naszą rzeczywistością a „czwartym wymiarem” spirytystów, nikt odgrzywanym postaciom nie potrafił nadać takiego przeżywania w snach, nikt wreszcie nie znalazł tak jak ona tajemniczość owego niejakiego odwieśnienia sztuka aktorska, dochożenia do abstrakcyjnych znaków, do czystego pojęcia, które się w kształt ludzi przeoblecło — a wszelaka to irracjonalność niezmiennie podnosiła do wyrazu poezji! — tak pisał o aktorstwie Ireny Solskiej Adam Grzymała-Siedlecki.

I jeszcze kilka głosów o znakomitej artystce. „Poruszała się po scenie jakby ucieleśnienie muzyki” — Karol Frycz. „Jej cała powierzchowność prosiła się o dekoracje „czarnych irysów” lub wienca „zagaszanych słońc”. czyli zwiedłych słoneczników” — Jarosław Iwaszkiewicz. I raz jeszcze Adam Grzymała-Siedlecki — „W ogólnym sylwetce i w ruchach przywołująca przypomnienie Primawery”.

Przypominamy te głosy o Irenie Solskiej z okazji ukazania się jej „Pamiętnika”, opracowanego i poprzedzonego wstępem przez Lidę Kucharską i od razu uwaga. Nie można rozmyślać o lekturze „Pamiętnika” bez ważnego przeczytania wstępu. Niektórym czytelnikom przypomni, innym odkryje postać Ireny Solskiej, jej życie artystyczne, przerwaną ciężką chorobą, jej późniejszą działalność na rzecz rozwoju polskiej kultury. We wstępie znajdziemy wreszcie wiele wiadomości o samym „Pamiętniku”, jego licznych wersjach i perypetiach związanych z jego wydaniem. „Pamiętnik” Ireny Solskiej doprowadzony jest do roku 1939. Jest dokumentem epoki, dokumentem artystycznych dokonań aktorki, jej pracy oraz życia bogatego i niezwykłego dramatyce.

Irena Solska — „Pamiętnik”. Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1978, str. 311, cena zł 48.—

SŁOWACKI

Historia literatury polskiej, znawca literatury okresu romantyzmu — Zbigniew Sudołski, czytelnicy znają już z opowieści biograficznej o Zygmuncie Krasieńskim, wydanej przez LSW w roku 1977. Zbigniew Sudołski wydał również tomy korespondencji Zygmunta Krasieńskiego, jest współautorem „Kalendarza życia i twórczości Juliusza Słowackiego” oraz współwydawcą korespondencji materiałów dotyczących kręgu rodziny i przyjaciół Słowackiego.

Obecnie Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza dostarczyła nam kolejną książkę tego autora. Jest nią opowieść biograficzna o Słowackim. Podobnie, jak w wcześniejszej pracy o Krasieńskim, tak i tu autor wykorzystuje materiał poetycki, wspomnieniowy, epistolarny, a także sady krytyczne z epoki, aby ukazać nam cechy osobowości Juliusza Słowackiego, atmosferę epoki i środowiska, w jakim żył i tworzył poeta.

We wstępie do „Słowackiego” czytamy: „Dobór faktów potwierdzonych dokumentem lub tylko tradycją pozwala autorowi zerwać z wszelkiego rodzaju fikcją tak w zakresie tworzenia rozmaitych przypuszczalnych sytuacji, jak i przytaczania prawdopodobnych rozmów. Nie ma tu miejsca na zmyślenie lub domysł, w toku opowieści może pojawić się najwyżej hipotetyczny sąd mający jednak oparcie w źródłach. Selekcja faktów i materiałów opublikowanych dotąd z życia i twórczości Słowackiego jest tu minimalna. Ambicja autora było bowiem dążyć do jak najpełniejszej biografii poety”.

Zbigniew Sudołski — „Słowacki”. LSW, Warszawa 1978, str. 313, cena zł 78.—

WARTO PRZECZYTAĆ

Z. BYSTRZYCKA — „Trójwidzenie”, PIW, cena zł 36.—
A. SENODA — „Córka słotnika”, WL, cena zł 35.—
B. ROMANOWSKI — „Torpeda w celu”, MON, cena zł 40.—
A. CONAN DOYLE — „Sherlock Holmes niepokonany”, Wyd. Poznańskie, cena zł 28.—
W. MILCZAREK — „Królowa matka”, LSW, cena zł 29.—
M. KOROLEK — „Antresje Frycy Modrzewski”, Serja „Profile”, WP, cena zł 45.—

MAGAZYN kulturalny Nr18

SYMPATIE I ANTYPATIE (V)



rys. Grażyna Skonieczna.

GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ

POETYCKA
SPÓŁDZIELNIA PRACY
„RADOSNA TWÓRCZOŚĆ”
świadczy usługi
dla ludności



KOMUNIKAT

W odpowiedzi na złośliwy donos, szkalujący dobre imię „Radosnej Twórczości”, a zamieszczony w 28 numerze „SZPILEK” z dnia 9 lipca br. Zarząd PSP postanawia skierować do listy swoich członków obywatela JERZEGO M. MIELCZARKA, syna Ziemi Belchatowskiej (czasowo we Wrocławiu) pod zarzutem nielojalności.

Przed miesiącem przyjeżdżał ob. Mielczarka z zastrzeżeniem, że na każdym miejscu i o każdej porze (a zwłaszcza w obcym nam duchowo organie „Szpilek”) będzie stawiał i popularyzował zgodnie z Duchem Czasu idee PSP. W odpowiedzi na to Jerzy M. Mielczarek napisał do nas w liście z 24 czerwca br.: „Jestem trochę zaskoczony sposobem „reklamowania się” PSP, ale niech będzie. Dziękuję za ponowne rozpatrzenie sprawy i przyjęcie mojej w poczcie niepoprawnych członków PSP. Zgadzam się na warunki”.

Co sądzić o obliczu moralnym Jerzego M. Mielczarka, który w liście do „Szpilek” zaprzecza temu, co nam obiecał, histerycznie protestując przeciwko rzekomemu „krapowaniu” jego niezależności przez Zarząd PSP i dając zgłotkapitalistycznemu HYDE-PARKOWI asumpt do prawienia nam moralności i złośliwości? Sądzić można tylko jedno: oblicze obywatela Mielczarek ma dwulicowe.

Wypada też żałować, że redaktorzy HYDE-PARKU całą swoją — jakże pochopną — ocenę działalności PSP sformułowali jedynie w oparciu o list Jerzego M. (czyżby nie czytali ani nie oprócz swych korespondentów?). Wyjaśniamy więc — nie pierwszy ani zapewne nie ostatni raz — że celem PSP nie jest „zerwanie” na naiwności ludzi, lecz autentyczna chęć prezentacji (w możliwie bogatym kształcie, stąd towarzyszące wierszom portrety autorów) wszystkich tych, dla których twórczość zabrakło „poważnych” lamów.

Ocenę (nie da się ukryć) amoralnych zasad rządzących HYDE-PARKIEM (wydawanie sądów o kimś na podstawie jednego bezcelnego donosu!!!) pozostawiamy naszym wernym — i mamy nadzieję — niepodatnym na wpływy obcej propagandy czytelnikom.

PREZES

Zdaniem chwalców

Od dłuższego czasu „KALEJDOSKOP” prowadzi dział „Zdaniem recenzentów”. W ostatnim numerze (lipiec — sierpień) zamieszczono fragmenty 7 recenzji z premier w Teatrze Wielkim i 8 z premier w teatrach dramatycznych.

Nie znaleźliśmy wśród tych starannie dobranych cytowań ani jednego, który by w ton ogólnej chwały wprowadził najmniejszy cień krytyki albo zgola tylko wątpliwości. Za to epitetów w rodzaju: „usnianiaty”, „doskonaty”, „znakomity”, „wybitny”, „brawurowy” — pełno. Podobnie jak roi się w tych fragmentach od „rewelacji”, „sukcesów”, „wysokich lotów” i „głośnych przykłaśnięć”. A przecież oprócz tych zachwytyłów zdarzało nam się czasami przeczytać (niezwykle nawet u tych samych autorów) także sformułowania jak „kontrowersyjny”, „dyskusyjny”, a nawet (coraz rzadziej) i „zły”.

Rozumiemy, że „Kalejdoskop” pełni przede wszystkim funkcje informacyjno-reklamowe wobec instytucji kulturalnych. Czy jednak redaktorzy, którzy składają te fragmenty i puszcza je do druku, nie zdają sobie sprawy z tego, że takim zestawianiem zniechęcają raczej niż zachęcają publiczność do wizyty w teatrze?

Niedawno napisał do nas jeden z recenzentów „Julietty”, że z zestawienia sprzecznych opinii „nic nie wynika”. Ciekawe, co wynika z tego chóru chwalców, jakimi chcą nie chcą w oczach redakcji „Kalejdoskopu” jawią się łódzcy recenzenci?

ILE TO SIĘ LAT RODZIŁO...

...można by powziąć za dyrektorem Wojciechem Ekiem z Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi, bo — rzeczwiście — całe dziesięć lat dzieli nas od chwili, gdy w Łodzi rozpoczęło się o samodzielnym oddziale Pracowni Konserwacji Zabytków.

Ze wszystkich artykułów, notatek i listów, jakie się nazbierały w międzyczasie dałoby się ułożyć spora antologię, która w charakterze odrutki karmić by można rozmaitych niepoprawnych optymistów. Długo bowiem uwalniał się spod zależności, potrójnej, z początku (od momentu powstania PKZ w roku 1951) warszawskiej, później, w latach siedemdziesiątych — do roku 1976 — kieleckiej, w końcu zaś przez ostatnie dwa lata — poznańskiej. A w tym czasie zniknęło z powierzchni ziemi kilkadziesiąt zabytkowych domków tkaczy, niejedną drewnianą dworek gdzieś w województwie skonsurował koleś uparty, a Jacek Indelak, jeden z żarliwszych prasowych „ochroniarzy” zdążył zbierać z wierszów na małego fiata...

Od 6 lipca 1978 roku mamy jednak oficjalnie w Łodzi samodzielną Pracownię Konserwacji Zabytków. Na to, żeby mógł stanąć na własnych nogach potrzeba było wielu lat mozolnego dorabiania się, które dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat, dzięki życzliwej uwadze władz, nabrało rozpędu. Dla porównania:



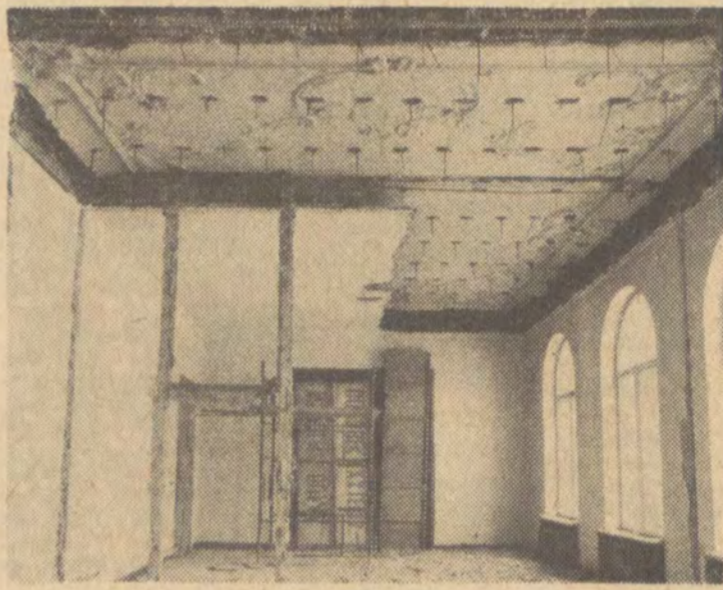
Remont i adaptacja „Bielnika”

Fot. J. Zawiejski

Jeżeli w czerwcu 1978 roku całą Łódź stanowiło 13 osób, dziś jest ich ponad 200, w tym 30-osobowy zespół projektantów 13 grup budowlano-konserwatorskie zorganizowane od zera (a wiadomo jak trudno jest dziś o dobrych fachowców w tej dziedzinie). Od roku 1973, kiedy to powołano w ramach oddziału kieleckiego Zakład w Łodzi, składający się z dwu pracowni, zorganizowano jeszcze trzy i Warzaty Produkcji Pomocniczej (ślusarsko-stolarski), bez którego trudno sobie wyobrazić samodzielne życie. A myśli się już o następnych specjalnościach (m.in. konserwacji papieru i pozłotnictwie).

Przeciętna wieku w wszystkich planach: naukowo-konserwatorskim, budowlanym i administracyjnym wynosi niewiele ponad 20 lat, co zdaje się zapewnić na dłuższą dopływ świeżości i entuzjazmu — cech niezbędnych w temacie „ochrona zabytków”. Rozwija się również baza lokalowa. Na razie PKZ mieści się w pałacu Scheiblera na placu Zwycięstwa, a tymczasem w „Bielniku” przy ul. 8 marca i w jednym z obiektów przy ul. Ceglanej trwa adaptacja pomieszczeń dla potrzeb PKZ.

Łatwo się dziś to wszystko wymienia i niedługo mało kto będzie pamiętał, że zanim doszło do „stworzenia warunków”, trzeba było z „Bielnika” wyprowadzić 30 zasiedziały rodzin, kilkadziesiąt młodym konserwatorom spoza Łodzi dać mieszkania, wysłać się o łabie samochodowy — bo zasięg prac Łódzkiej PKZ wykracza poza granice Łodzi, zapewnić odpowiedni sprzęt.



Odkrycie stropu w pałacu Poznańskich przy ul. Ogrodowej 15. Fot. J. Zawiejski

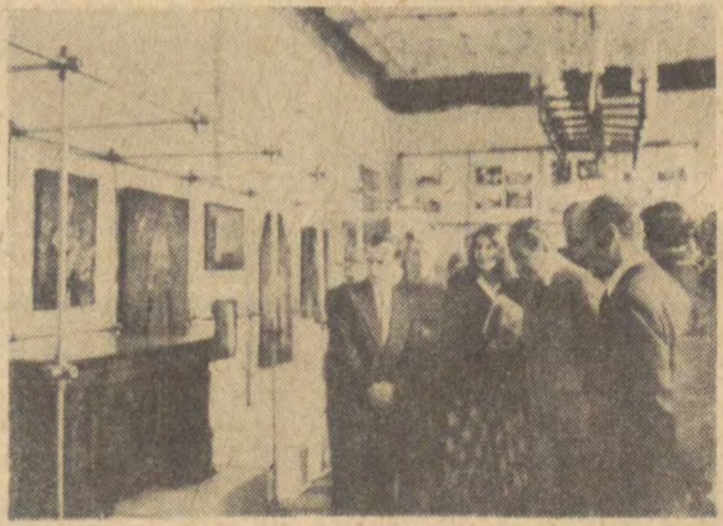
Bez bazy — wiedza o tym dobrze w Urzędzie Miasta, który jest jej twórcą, byłibyśmy nadal w epoce improwizacji i nie można by rozwinąć frontu robót do takich rozmiarów, które już w przyszłym roku mają dać 100 milionów złotych przerobu. A w samej tylko Łodzi czeka

bytków najściślej związanych z łódzkim przemysłem i tradycjami klasy robotniczej.

Wedle zapowiedzi dyrektora PKZ Juliusza Olszewskiego, przedsiębiorstwo chce uniknąć „nadmiernej” rozrzebywania frontu robót i najpierw skończyć to, co na 11 budowach zaczęto wcześniej. Większość prac skupia się rzecz jasna w województwie miejskim łódzkim. Oprócz wspomnianej adaptacji „Bielnika” dla PKZ, wymiennie prace konserwatorskie i zabezpieczające w pałacach Herbsta, Poznańskiego (Muzeum Historii Miasta) i Scheiblera, prace wykończeniowe w pabianickim Domu Tkacza, gdzie pomieści się Pracownia Konserwacji Tkanin, remont i adaptację dworu w Byszewach. Rekonstrukcję innego domu tkacza prowadzi się na terenie skansenu w Sieradzu. Liście prac w województwie sieradzkim uzupełniają: rekonstrukcja dworu w Ożarowie oraz remont i adaptacja dworu Walewskich w Tubądzinie. Natomiast w woj. konińskim przygotowuje się plac budowy pod rekonstrukcją pałacu w Gosławicach. W najbliższych łódzkich planach znajduje się m.in. konserwacja elewacji Muzeum Sztuki i odsłonięcie szklanki zlateryjnych w 1979 roku podczas przygotowywania pałacu dla potrzeb muzeum.

Dwie pracownie łódzkiego oddziału Pracowni Konserwacji Zabytków będą również uczestniczyć w pracach na Zanku Królewskim.

TOMASZ SOLDENHOFF



Wiceprezydent m. Łodzi Jan Morawiec zwiedza wystawę pn. „Osiągnięcia PKZ na terenie województwa: miejskiego łódzkiego, sieradzkiego i konińskiego w latach 1951—1977” w Muzeum Historii Miasta.

Fot. W. Parys

DO MAGAZYNIERA

„Regał pełen bublek”

W związku z faktem wykrycia wybrakowanego egzemplarza książki pod tytułem „Dy-skoteka”, drukowanej w Poznańskich Zakładach Graficznych imienia Marcina Kasprzaka, której defekt polegał na odwrotnym wszytciu jednego arkusza — pracownicy i dyrektor PZGMK najserdeczniej przepraszają Czytelnika, Księgarza i Wydawcę za zaistniały stan rzeczy.

Teoretycznie rzecz ujmując w przemysłowej produkcji książki może zdarzyć się podobny incydent, choć manualna kontrola techniczna winna eliminować książki z defektem. Przeoczenie, jakie powstało w przypadku egzemplarza „Dy-

skoteki”, wynika stąd, że przedsiębiorstwo nasze dotkliwie odczuwa braki kadrowe, w tym między innymi na stanowiskach brakarzy.

Pragnęlibyśmy zadośćuczynić powstałej stracie — materialnej i moralnej — przeto prosimy o zwrot egzemplarza, który w trybie pilnym naprawimy. Jednocześnie zapewniamy Szanownych Czytelników, Księgarzy i Wydawców o tym, że ze swej strony uczynimy wszystko, aby nie dopuszczać do podobnych incydentalnych wypadków.

z poważaniem
z-ca dyrektora ds. produkcji
inż. Zygmunt Chelminiak

MIECZYSLAW M. SZARGAN

LATKI ADRESATKI
Na Festiwal Piosenki

Wystąpiła z piosenki woda.
PIERWSZA NAGRODA!

TADEUSZ GIGGIER

DYSPUTA
O to, czym jest poezja
spór zawzięty. Ona wśród nich siedziała,
lecz jej nie dostrzegł.

PUBLICYSTA
Po czym wytrawnego
poznać publicystę?
Ze porusza sprawy
tylko oczywiste.

Wśród członków Obywatelskiego Komitetu Obchodów Święta Odrodzenia Polski Województwa Miejskiego Łódzkiego znaleźli się m. in. przedstawiciele świata kultury: Barbara Rachwańska — aktorka Teatru Nowego i Igor Sikirski — pianista. Natomiast w Komitecie Obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka — 1979 w województwie łódzkim kulturalną reprezentują: Wojciech Fiwek — reżyser WFO, Andrzej Hundziak — kompozytor, Zofia Lorentz — pisarka i Jerzy Michalak — dyrektor PTL „Pino-kio”.

Zakończyły się egzaminy wstępne na trzy łódzkie uczelnie artystyczne. W PWSFTViT na ogólną liczbę 50 miejsc kandydowało 649 chętnych, przy czym ponad jedna trzecia (236 osób) na dysponujące 7 tylko miejscami Wydział Reżyserii Filmowej. W PWSM dla 149 zdających przygotowano 88 miejsc na czterech wydziałach. Najlepiej zdawali kandydaci na Wydział Kompozycji i Teorii Muzyki, gorzej chętni na Wydział Instrumentalny, gdzie zaobserwowano dużą rozbieżność między wysokim poziomem umiejętności praktycznych a niską wiedzą z teorii muzyki. Natomiast w PWSSP przyjęto w wyniku zrealizowanych egzaminów 54 osoby. W tym roku, wskutek zwiększonej konkurencji,



najlepsi musieli osiągnąć więcej punktów niż w latach poprzednich.

Już niedługo skończy się lokalowe kłopoty artystów z łódzkiej Szkoły Baletowej i uczniów jedynie w kraju Studium Zawodowego Techniki Teatralno-Filmowej mieszkającego katedrą w Liceum Sztuk Plastycznych. Prawdopodobnie już na początku przyszłego roku szkolnego obu tym placówkom przekazany zostanie budynek przy ul. Zeromskiego 10.

Decyzją o przekazaniu domu przy ul. Zeromskiego wspomnianym placówkom podjął niedawno kurator łódzki, w imieniu dzieci i wszystkich tych, którym nieobojętna są losy łódzkiej kultury — dziękujemy!

Pomyślny dla łódzian okazał się XII Festiwal Piosenki i Złoty Pierścień i nagroda ministra obrony narodowej przypadła za piosenkę „Marsz bliski sercu” A. Hejmanowej (muzyka), K. Dzwonkiewiczemu (tekst) i K. Kowalskiemu (wykonanie). Wśród nagrodzonych znaleźli się również inni łódzianie: J. Lech, K. Cwynar i aranżer J. Malinowski.

Po raz pierwszy od szeregu lat program artystyczny tradycyjnej uroczystości w Teatrze Wielkim z okazji Święta Odrodzenia wypełni od dawna nie koncertująca w Łodzi Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji pod dyktando Henryka Debiaka.

Olejni konterfekt młodej kobiety na debiucie doświadczenia nieznanego malarza europejskiego, przynosiła do „Desy” jedna z łódzianek Ustalone, że liczy sobie ponad 300 lat, a jego wartość sięga 100 tysięcy złotych! O tej muzealnej rewelacji ukrytej przez wiele lat wśród rodzinnych pamiątek donosił niedawno łódzki „Express”.

Z Klubu Plastyka Amatora przy Klubie Środowiskowym „Chocelka” otrzymaliśmy zaproszenie na otwarcie wystawy rzeźby Sylwestra Urbańczyka. Reprodukujemy zdjęcie jednej z rzeźb, zatytułowanej „Kobieta”.

